

HYBRYDA

Pismo Artystyczno-Literackie Stowarzyszenia Twórczego POLART

Nr 38 /2021

MUZEUM
ŻUP KRAKOWSKICH
WIELICZKA
16 lutego - 4 maja 2021

saturacja

KAJA SOLECKA
MALARSTWO

Wystawa wpisuje się w IX Międzynarodowy Festiwal
„Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert-Chopin-Grieg.
Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze”.
XXII Salon Sztuki POLART 2021

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.



MUZEUM
ŻUP KRAKOWSKICH
WIELICZKA



• W numerze:	
• Joanna Krupińska-Trzebiatowska	3
• Słowo od redaktora	
• Walne Zgromadzenie Sprawozdawczo - Wyborcze ST POLART	5
• IX Międzynarodowy Festiwal Związki pomiędzy Kulturą Południa a Północy Schubert – Chopin – Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze – wystawa malarstwa Kai Soleckiej "Saturacja"	5
• Krzysztof Andrzej Jeżewski	
• Pamiętne stulecie	8
• Ewa Okoń-Horodyńska	11
• Co z innowacjami – czy nadzieja rzeczywiście umiera ostatnia	
• Krzysztof J. Barański	
• Wiersze	16
• Anna Adamus-Matuszyńska	17
• Rozstrojone społeczeństwo: czy można je nastroić? O tym, jak nauki społeczne rozumieją konflikty	
• Anna Szklarska	
• Liberalny konsensus w odwróceniu. Perspektywa Chantal Mouffe	23
• Józef Lipiec	
• Prolegomena filozofii partycypacji	29
• Maya Noval	
• Wiersze	35
• Wojciech Zalewski	
• Wokół nicości. Między Nishidą a Heideggerem	37
• Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska	41
• Romantycy w sieci. O możliwościach analizy społecznej	
• Marek Sołtysik	
• Z wierszy najnowszych	46
• Barbara Korta-Wyrzycka	47
• Zapiski roku pandemii	
• Joanna Krupińska-Trzebiatowska	
• Harmonia	52
• Edward Kurleto vel Robert Larken	
• Rok Królika / fragment powieści/	53
• Mariola Sternahl	
• Angielski park w Villa Reale	56
• Krystyna Habrat	
• Radość czytania – radość pisania	63
• Zbigniew Latała	67
• Chopin i jego muzyka jako inspiracja dla twórców plakatu artystycznego	
• Irena Kaczmarczyk	
• Anioł. Zza szyby. Sklejanie portretu Zuzanny Ginczanki	71
• Eligiusz Dymowski	
• Wiersze	74
• Ignacy S.Fiut	
• Teologia wiersza	75
• Stanisław Kieroński	
• Wiersze	76
• Janina Szcześniak	
• Ale zawsze w stronę słońca	77
• Yvette Popławska	
• Rozmowa z Małgorzatą Müller	81
• Tadeusz Skoczek	
• Wspomnienie na śmierć przyjaciela	83
• Żegnamy Romana Banaszewskiego	86
• Marian Rumin	
• Golgota Podgórska Wincentego Kućmy	89
• Zyta Misztal von Blechinger	
• Symbolika i kolor w obrazach Kai Soleckiej	91
• Krzysztof Andrzej Jeżewski	
• Jan Pamuła. W poszukiwaniu tamtej strony świata	93
• Wojciech Antoni Sobczyński	
• Odbicie w tafli szyby. Od Marsa do Aleksandrii z przystankami nad Wisłą i Tamizą	97
• Międzynarodowy festiwal NEXTUS w dobie pandemii	101
• Rafał Skąpski	
• Spotkania z Aleksandrem Krawczukiem	104
• Wystawa malarstwa Reine Form Janusza Trzebiatowskiego w Muzeum im Schafstall	110

**IX MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL
ZWIĄZKI POMIĘDZY KULTURĄ POŁUDNIA A PÓŁNOCY
SCHUBERT-CHOPIN-GRIEG
WZAJEMNE INSPIRACJE I REZONANS W MALARSTWIE I LITERATURZE
POLART 2021**



**01.02-9.05. MUZEUM ŻUP KRAKOWSKICH W WIELICZCE
WYSTAWA MALARSTWA KAI SOLECKIEJ
SATURACJA**

**15.09-30.12 MUZEUM KRASZEWSKIEGO W DREŹNIE
WYSTAWY:**

**JANUSZ TRZEBIATOWSKI
KATEDRA**

**KRYSTYNA NOWAKOWSKA
RZEŻBA**

**MAGICZNY KRAKÓW W FOTOGRAFII
RYSZARDA KARZMARSKIEGO, ZBIGNIEWA LATAŁY,
ANDRZEJA MAKUCHA,
KONRADA POLESHA, JANA ZYCHA**

**30.09 IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA
MUZYKA SALONOWA ZAPROSZENIE DO WALCA**

**30.09 JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA
WIECZÓR POEZJI ALLGEMEINE WERKE**

SŁOWO OD REDAKTORA



W 38. Numerze HYBRYDY znajdziecie Państwo, jak zawsze, informacje zaczerpnięte z życia Stowarzyszenia Twórczego POLART, któremu wiosną 2021r., pomimo trwającego wciąż lockdownu, udało się zwołać doroczne Walne Zgromadzenie Członków w Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce, o czym dalej.

Muzea otwierają się i zamykają w rytmie przyspieszającej i zwalnającej pandemii, która wciąż zbiera straszliwe żniwo na całym świecie, coraz bardziej niespokojnym i zdającym się staczać w przepaść, o czym świadczy skala narastających konfliktów międzynarodowych i wewnętrznych. Patrząc na polską scenę polityczną rodzi się niepokój o przyszłość demokratycznego państwa, którego priorytetem powinna być dbałość o rozwój kultury i o ludzi, dzięki którym ona powstaje. Tymczasem, wbrew zapewnieniom rządzących i mnożącym się konkursom dedykowanym głównie organizacjom pozarządowym, sytuacja pojedynczych artystów, zwłaszcza tych niezrzeszonych i niestowarzyszonych, stale się pogarsza i nikt nie zastanawia się nad tym, że aby tworzyć muszą z czegoś żyć, a niestety tylko nielicznym jednostkom udaje się znaleźć miejsce zapewniające godne życie na zmerkantylizowanym rynku sztuki. O tym, że można utrzymywać się z pisarstwa literaci już dawno zapomnieli, a co więcej z reguły, dopłacają do wydania książek, bo żaden wydawca nie zainwestuje w pozycje nie rokujące zysku. Tylko urodzeni pod szczęśliwą gwiazdą trafiają potem w widoczne miejsca na półkach księgarskich i w tym zakresie koronawirus niczego nie zmienił. Dramatycznie natomiast wpłynął na życie muzyczne i teatralne, zarówno w skali globalnej, jak i jednostkowej. Zamknięte teatry i filharmonie, zakaz organizowania imprez masowych i niewielkich nawet koncertów sprawił, że większość muzyków zamkniętych w swoich czterech ścianach zaczęła wypadać z orbity, licząc upływający czas bez perspektyw na rychły powrót do normalności. Obok licznie upadających firm głównie branży turystycznej, hotelarskiej i gastronomicznej, znalazły się też te prowadzące działalność artystyczną. Artyści prowadzący własną działalność gospodarczą w większości wypadków nie zarobili ani grosza. Utrzymali się na powierzchni tylko pracownicy etatowi wielkich instytucji kultury, choć gwoźli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że wszelkie próby przeniesienia działalności do sieci i niebiletowane koncerty online bez publiczności, a co za tym idzie bezdochodowe, stały się niezwykle cenną namiastką życia kulturalnego.

POLART, działający od ponad trzydziestu lat na kilku płaszczyznach jednocześnie i skupiający liczne grono artystów wszelakiej maści, pomijany permanentnie



Krystyna Nowakowska, *Impresje antyczne*, brąz

przez władze przy rozdziale środków dla NGO, w dobie pandemii znalazł się w niezwykle trudnej sytuacji, praktycznie uniemożliwiającej prowadzenie działalności statutowej na dotychczasową skalę. Rodzi się zatem pytanie, jak to możliwe, że żaden ze złożonych i formalnie poprawnych wniosków o dofinansowanie, zarówno działalności festiwalowej jak i wydawniczej, na przestrzeni ostatnich kilku lat nie spotkał się z aprobatą. Paradoksalnie nawet Departament Współpracy z Zagranicą MKiDN nie udzielił POLART-owi wsparcia na zorganizowanie wystawy ponad dwustu obrazów olejnych Janusza Trzebiatowskiego w Muzeum im Schafstall w Niemczech, która właśnie budzi tam spore zainteresowanie. Nie wdając się w szczegóły, kto pieniądze otrzymał a kto nie, można śmiało zaryzykować twierdzenie, że dbałość o prezentowanie dorobku polskich artystów za granicą jest znikoma. Wstrzymanie natomiast przez Urząd Marszałkowski w Krakowie finansowania organizowanego od dziewięciu lat Międzynarodowego Festiwalu "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy. Schubert - Chopin - Grieg wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze", na który rok rocznie składało się kilka wystaw malarstwa i rzeźby oraz cykl koncertów, podcina stowarzyszeniu i artystom skrzydła. I nie chodzi już tylko o pieniądze, jakże ważne w dobie pandemii, ale o brak możliwości występowania w ogóle...

Z tym większą więc radością donoszę, że jesienią 2021 r. pokażemy w Muzeum im. Kraszewskiego w Dreźnie wystawę "Magiczny Kraków", na którą złożą się prace fotografików – Ryszarda Karczmarskiego, Zbigniewa Latały, Andrzeja Makucha, Konrada Polescha, Jana Zycha – oraz część wystawy "Reine Form" Janusza Trzebiatowskiego. Do Drezna pojadą również rzeźby Krystyny Nowakowskiej, a całość zwieńczy wieczór poetycko-muzyczny z udziałem Izabeli Jutrzenka - Trzebiatowskiej i moim. Należy podkreślić, że zarówno Muzeum im Schafstall, jak i Muzeum im. Kraszewskiego w Dreźnie angażują własne środki finansowe i POLART nie ponosi w tym zakresie żadnych kosztów.

Niestety działalność wydawniczą finansujemy wyłącznie ze składek członkowskich bez wsparcia mecenatu Państwa, tym bardziej cięższy więc kolejny numer Pisma Artystyczno - Literackiego, ukazującego się od ponad dwudziestu lat dzięki społecznemu zaangażowaniu Autorów, piszących, jak zwykle *con amore*. Wśród autorów witamy ponownie, po dłuższej przerwie, Krzysztofa Andrzeja Jeżewskiego, znanego paryskiego literaturoznawcę, który tym razem powraca do tematu stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości i roli jaką odegrał Józef Piłsudski. Jednocześnie z wielkim żalem żegnamy Stanisława Dziedzica, ofiarę koronawirusa SARS - CoV - 2, którego artykuły *par excelance* naukowe stanowiły istotny element niemal każdego numeru HYBRYDY. Pisze o nim, jako o wielkim animatorze kultury, ale przede wszystkim o przyjacielu własnym i POLARTU, Tadeusz Skoczek.

Wielką stratą dla Stowarzyszenia jest również śmierć Romana Banaszewskiego, wybitnego artysty, który wielokrotnie wspierał POLART ofiarowując swoje dzieła na prowadzone przez nas aukcje.

Joanna Krupińska-Trzebiatowska



Krystyna Nowakowska, *Na wietrze, brąz*

8 MAJA 2021 r. MUZEUM ŻUP KRAKOWSKICH W WIELICZCE

WALNE ZGROMADZENIE STOWARZYSZENIA TWÓRCZEGO POLART

FINISAŻ WYSTAWY MALARSTWA "SATURACJA" KAI SOLECKIEJ



Kaja Solecka i Jej dzieła

Wystawa "Saturacja" Kai Soleckiej, zainaugurowała IX Międzynarodowy Festiwal "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy. Schubert – Chopin – Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze". Był to czwarty z kolei Salon Sztuki zorganizowany przez POLART we współpracy z Muzeum Żup Krakowskich, mieszczącym się w Zamku Żupnym w Wieliczce.

Wystawa była dostępna w muzeum dla turystów i zwiedzających przez ponad trzy miesiące, lecz *lockdown* uniemożliwił *de facto* wernisaż, a i finisaż odbywał się w kowidowym reżimie. Z tej przyczyny w dorocznym Walnym Zgromadzeniu Stowarzyszenia Twórczego POLART wzięła udział niewielka liczba członków, Po wysłuchaniu Prezes Joanny Krupińskiej-Trzebiatowskiej i Skarbnika Franciszka Gałuszki, zgromadzeni jednomyślnie opowiedzieli się za przyjęciem sprawozdania merytorycznego i finansowego, a następnie, po wystąpieniu Ewy Okoń-Horodyńskiej, jako przedstawiciela Komisji Rewizyjnej, za udzieleniem Zarządowi absolutorium. Za niewątpliwy sukces uznano wydanie w 2020 roku dwóch kolejnych numerów Pisma Artystyczno-Literackiego HYBRYDA oraz przeprowadzenie wyborów i powołanie nowych władz we wrześniu 2020 r. Wbrew trzydziestoletniej tradycji Zgromadzeniu odbywającemu się w Zamku Żupnym nie towarzyszył koncert, bo ten zaplanowany na 8 maja 2021 roku z powodu pandemii trzeba było odwołać. Trudno też przewidzieć, czy i kiedy uda się powrócić do szeroko zakrojonej działalności festiwalowej łączącej sztuki wizualne, muzykę i poezję w myśl greckiej trójjedynnej horei. Pewną nadzieję niesie nowozawiązana współpraca z Muzeum Kraszewskiego w Dreźnie, gdzie jesienią 2021 roku Polart ma zaprezentować Salon Sztuki – malarstwa i rzeźby – oraz wieczór poetycko muzyczny z udziałem Izabeli Jutrzenka-Trzebioatowskiej.

(Red.)



Finisz Wystawy "Saturacja". Od lewej: Kaja Solecka, Kinga Stabrawa-Powęska, Joanna Krupińska-Trzebiatowska



Kinga Stabrawa-Powęska – kustosz Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce i prof. Stefan Dousa – członek Rady Muzeum na tle Wystawy Jubileuszowej „70/70”

Na wystawie jubileuszowej „70/70” można zobaczyć 70 wyselekcjonowanych obiektów ze zbiorów Muzeum Żup Krakowskich Wieliczka. Ekspozycje pokazują kierunki zainteresowań i badań Muzeum, różnorodność i bogactwo kolekcji. W ten sposób wielickie Muzeum upamiętnia jubileusz 70 - lecia swojego powstania. Zastosowane przez autorów kryteria wyboru 70 „bohaterów” wystawy to wartość materialna, walory artystyczne, a także wartość historyczna obiektów, które stanowią punkt wyjścia do opowieści o ważnych tematach i osobach dla historii kopalni i Wieliczki.

Wśród eksponatów znajdują się: róg Bractwa Kopaczy z 1534 r., prace Władysława Skoczylasa, niezwykle cenna solniczka z agatu z końca XV w. – obecnie najstarsza w kolekcji i po raz pierwszy pokazana publicznie oraz różne okazy soli, prehistoryczne naczynia warzelnicze, rzeźby i obrazy, dokumenty królewskie, starodruki, księga personalna załogi i księga zwiedzających kopalnię, a także kukielki z szopki z czasów II wojny światowej wykonane przez założyciela Muzeum Alfonsa Długosza.

Warto podkreślić, że Zamek Żupny, w którym wystawa się znajduje, jako bardzo cenny zabytek, został zaliczony do grona 70 obiektów.

Autorami scenariusza są: dr Barbara Konwerska, Marek Skubisz.

Ekspozycja „70/70” jest dostępna dla zwiedzających w Zamku Żupnym w Wieliczce do 22 sierpnia 2021 r.

(Red)



KRZYSZTOF ANDRZEJ JEŻEWSKI PAMIĘTNE STULECIE

15 sierpnia 2020, Polska obchodziła stulecie bitwy warszawskiej, nazywanej też nieprzypadkowo « cudem nad Wisłą ». To niezwykle zwycięstwo uratowało Europę, której zagrażał już wtedy bolszewicki imperializm. Historycy angielscy, Simon Goodenough i Viscount d'Abernon określają ją jako *dziewiętnastą decydującą bitwę w dziejach świata* ! No cóż, nie pierwszy to raz Polska stawała w obronie Europy...

Pierwszy raz w 1241R. pod Legnicą, w starciu z hordami Batu-chana mimo klęski armii polskiej pod wodzą Henryka Pobożnego, drugi raz w 1259 i trzeci w 1288, co w końcu odrzuciło Mongołów do Azji. I w końcu w 1683, kiedy Jan III Sobieski pobił na głowę Turków pod Wiedniem. Nic dziwnego, że nazywano nasz kraj "przedmurzem Europy"... Spektakularne, nieoczekiwane zwycięstwo 1920 roku było owocem geniuszu strategicznego marszałka Józefa Piłsudskiego, wspomaganego przez jego znakomitych generałów, Władysława Sikorskiego, Tadeusza Rozwadowskiego, Józefa Hallera. Tym niemniej, to wydarzenie miało cechy prawdziwego cudu, bo armia polska, prawie dwa razy mniej liczna niż sowiecka, zdawała się być skazana na sromotną klęskę... W dodatku szereg krajów Europy starało się bojkotować i paraliżować tranzyt pomocy wojskowej dla Polski (np. Niemcy, Austria i Czechosłowacja albo stoczniońcy w Anglii i międzynarodowka socjalistyczna) z wyjątkiem dwóch zawsze wiernych : Francji i Węgier. Tu należy wspomnieć wielkiego przyjaciela Polski, premiera Węgier, Pała Telekiego, który pospieszył nam z nieocenioną pomocą dostarczając amunicji i uzbrojenia i współudział wraz z gen. Maximem Weygandem w pracach nad planem obrony ... A jednak sam Marszałek powiedział kiedyś, że "chyba go wiodła Ręka Boża"...

W tej dramatycznej epoce cały naród polski, zjednoczony jak rzadko kiedy, oddał się wspólnej modlitwie podtrzymywany przez nuncjusza Achillesa Rattiego, przyszłego papieża Piusa XI, jednego z rzadkich dyplomatów, którzy nie opuścili Warszawy wobec nadchodzącej bolszewickiej groźby... To on wypowiedział to słynne zdanie : *To było zwycięstwo Anioła Światła nad Aniołem Ciemności...* Przypomina to inny cud, który miał miejsce w Austrii okupowanej przez wojska

sowieckie po drugiej wojnie : pomimo trzystu kolejnych apeli o wycofanie armii sowieckiej z ich terytorium rząd austriacki napotykał nieustanne, bezwzględne "niet" ze strony Moskwy... I wtedy, na wezwanie franciszkanina, ojca Otto Augustina Pavlicka, który zorganizował w 1947 Pokutną Krucjatę Różańcową jako wcielenie w życie orędzia, jakie przekazała Matka Boska w 1917 w Fatimie trojgu portugalskim pastuszkom, cały naród austriacki zaczął się gorąco modlić. I nagle, w 1955, całkiem niespodziewanie, armia sowiecka opuściła Austrię ! Pierwszy raz się zdarzyło, że Rosjanie wycofali się dobrowolnie z kraju, który okupowali !

Ktoś kiedyś powiedział, że *są ludzie, którzy piszą powieści i tacy, których życie jest prawdziwą powieścią...* Otóż życie Józefa Piłsudskiego było rzeczywiście powieścią, a nawet eposem rycerskim XX wieku. Obdarzony wybitną inteligencją, dalekowzrocznością i energią, o osobowości niezwykle silnej i magnetycznej, wywodzący się ze starej rodziny szlacheckiej pochodzenia litewskiego, mający za przodków książąt Pużynów, wcześniej zaangażowany w walkę o niepodległość i przeświadczony o odegraniu kapitalnej roli w historii swego kraju, został skazany w wieku 20 lat na zesłanie na Syberię za udział w przygotowywaniu zamachu na życie cara Aleksandra II... Dalsze jego losy potwierdziły jego legendę... Jednakże, mimo iż Europa zawdzięcza swoją wolność i byt temu niezwykle zwycięstwu z 1920 roku, postać Piłsudskiego jest tu mało znana i niemal zapomniana ! Co za brak wdzięczności ! Poza Polską jedynie w Rzymie istnieje aleja Piłsudskiego z jego popiersiem... Wystarczy wyobrazić sobie, co by było, gdyby Marszałek przegrał bitwę warszawską : jest całkiem prawdopodobne, że Europa, bardzo osłabiona po pierwszej wojnie, padłaby łupem Sowietów i zamieniła się w ogromny gułag z milionami ofiar ! Czyż Marszałek Tuchaczewski nie powiedział, że *droga do rewolucji światowej wiedzie po trupie Polski* ?

Zrozumiałe, że po drugiej wojnie, kiedy Polska została wasalem Sowietów, postać Piłsudskiego została wymazana z jej historii i haniebnie oczerniona... Niejaki Karol Lapter wydał nawet szmatławca pt. *Pakt Piłsudski - Hitler* !! Typowo

sataniczny proceder przetrwania swoich własnych zbrodni na przeciwnika ! Tak jakby nie było prawdziwego paktu Hitler - Stalin... Na Zachodzie, zwłaszcza we Francji, gdzie Partia Komunistyczna, mówiąc delikatnie, wierny sługa- lec Sowietów, była gorliwym organem ich propagandy, ten wielki człowiek był odsuwany w cień, oczerniany i skazany na zapomnienie. To prawda, że stalinizm w żadnym kraju nie był tak zakorzeniony jak we Francji ! Nawet dziś można odczuć jego skutki... Kiedy zaproponowałem Frankowi Ferrandowi, który miewa codzienne gawędy historyczne na falach Radio Classique, aby poświęcił audycję stuleciu bitwy warszawskiej, nawet nie zareagował...Widać, jeszcze dzisiaj jest to we Francji temat tabu... Rzec by można, że Francuzi czują ciągle psi respekt do Sowietów ! W przeciwieństwie do Anglików, których temat wojny 1920 roku stale pasjonuje, jak tego dowodzą dwie świetne, stale wznawiane, monografie Normana Daviesa (*White eagle, red star*, 1972, 1983, 2008) i Adama Zamoyskiego (*Warsaw 1920*, 2008, 2014). Po upadku komunizmu, postać Piłsudskiego powraca na miejsce, które jej się należy, jako jednego z największych mężów stanu w historii Polski i Europy. Generał Adrian Carton de Wiart, który stał na czele brytyjskiej misji wojskowej w Polsce latach 1918 - 1924, stawia go w swoich pamiętnikach *Happy Odyssey*, na samym szczycie przywódców politycznych tej epoki. Generał Charles de Gaulle, który jako młody oficer był członkiem francuskiej misji wojskowej w Polsce w latach 1919 - 1921, był pilnym czytelnikiem jego *Pism wybranych* w przekładzie na niemiecki, o czym wspomina jego biograf, Jean Lacouture... I nieprzypadkowo, historyk niemiecki Hans Roos poświęcił cały esej paraleli Piłsudski - de Gaulle ("Kultura" nr 151/1960). Istotnie, te dwie postacie mają niemało wspólnego, pod wieloma względami : obu wypełniał ten sam żarliwy ogień, który długo jeszcze będzie płonął nad historią i przyszłością... Nawiasem mówiąc, obaj byli typowymi przykładami ludzi spod znaku Strzelca, których ożywia nieustający płomień, wielkość i szlachetność ducha : El Greco, Clemenceau, Churchill, Milton, Blake, Twain, Rilke, Kasproicz, Conrad, Kipling, Sołżenicyn, Beethoven, César Franck, Berlioz, Karłowicz, Sibelius, de Falla, Messiaen, Britten,, Penderecki, Górecki, Jan XXIII, papież Franciszek... i nader charakterystyczny przykład tendencji tego znaku : Jerzy Iwanow - Szajnowicz, bohater greckiego Ruchu Oporu... Dodajmy też, że Piłsudski był znakomitym pisarzem (André Maurois porównywał go nawet do Lwa Tołstoja !) a jego *Maksymy* zebrane w 2005 przez Ryszarda Świętka, ukazują ducha o rzadkiej głębości, mądrości i przenikliwości...

Tym niemniej, jak każdy niemal mąż stanu, a nawet bohater, Piłsudski nie był wolny od posunięć spornych albo wręcz nagannych. To jednak nadaje mu wymiar szekspirowski, jak pisze Henri Rollet w swojej *Histoire de la Pologne au XX siècle*. Nie zapominajmy, że epoka, w której mu przyszło żyć, rozdzielana przez najrozmaitsze konflikty i naznaczona cieniem nieuniknionej katastrofy miała znamie prawdziwej apokalipsy.

Lata 30. zwłaszcza przywodzą na myśl spądanie w przepaść... Potrzebny był mąż stanu niezłomny, aby móc stawić czoła największym z zagrożeń... Tak czy inaczej, bilans jego działalności jest pozytywny. Może dlatego, że sytuuje się raczej wśród tak drogich mu imponderabiliów, walorów duchowych, a nie w domenie świata materialnego... Jak w słynnym *Testamencie* Juliusza Słowackiego, ukochanego poety marszałka, z którym łączy go jakaś tajemna więź metafizyczna :

*Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi ;
Lecz po śmierci was będzie gniołta niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba – w aniołów przerobi.*

Po 44 latach czyścica czyli okresie PRL - u, jego pomniki wznoszą się we wszystkich większych miastach Polski, ulice i place noszą jego imię i stale pojawiają się nowe jego biografie, nie tylko w Polsce, jak na przykład znakomita praca Amerykanina Petera Hetheringtona : *Unvanquished*, (Pingora Press, Houston 2012, 750 stron !), wznawiane są jego pisma i maksymy. Czyż nie porównywał sam siebie do Sakyamuniego czyli Buddy, mędrca sytuującego się ponad ideologiami i doktrynami, które tylko dławia ducha ludzkiego ? Mało mężów stanu XX wieku może się poszczycić tak spektakularnym i trwałym bilansem :

Poświęcił całą swoją młodość walce podziemnej przeciw okupantom, aby przygotować ducha Polaków do niepodległości. W 1914, tworzy armię kraju, który jeszcze nie istnieje ! W 1919, ustanawia w kraju demokrację organizując wolne wybory do Sejmu i dając po raz pierwszy prawo głosu kobietom. W 1920, odnosi zwycięstwo nad armią sowiecką, dwukrotnie potężniejszą od polskiej i ocala nie tylko Polskę, ale i Europę od katastrofy ! Maksyma, którą wpisał do Złotej Księgi Pałacu Elizejskiego w czasie swojej wizyty w Paryżu w 1921, doskonale ilustruje jego filozofię władzy: *Siła bez wolności i sprawiedliwości jest tylko gwałtem i tyranią. Wolność i sprawiedliwość bez siły jest tylko gadulstwem i dziecinadą.* W 1926 powraca do władzy przez zamach stanu, który wydobyl Polskę z politycznego chaosu, ożywił ekonomię i przywrócił porządek w państwie rozdartym między skrajną prawicę i lewicę. Innym powodem tej akcji był zbliżenie między Niemcami a Związkiem Sowieckim, które nieuchronnie narastało : traktat w Rapallo w 1922, traktat w Locarno w 1925, który nie zabezpieczał polskiej granicy z Niemcami i w końcu niemiecko - sowiecki traktat berliński w 1926, na 18 dni przed jego zamachem stanu ! Wzmocnienie władzy centralnej w tej sytuacji stawało się nieuniknione... Należy przypomnieć jasnowidzącą wypowiedź Marszałka na posiedzeniu Rady Gabinetowej z 5 czerwca 1922 (już wtedy widział, co się święci!) : *Traktat w Rapallo powinien być zerwać łuskę z oczu – porozumienie rosyjsko - niemieckie zaszło tak daleko, że jest nie tylko faktem dokonanym, wspartym na doskonałej znajomości interesów stron obu, ale co więcej faktem nie do odrobienia. Istnieje sprzyśnięcie rosyjsko*

- niemiecko - litewskie (...) skierowane przeciwko Polsce. W 1926, decyduje nadać obywatelstwo polskie Żydom, którzy znaleźli się na terytorium kraju : 600.000 spośród nich uciekło przed prześladowaniami w Rosji i na Ukrainie. W 1932, podpisuje układ o nieagresji z ZSRR. Jednak, kiedy przyjmuje Anthony'ego Edena, który wracał z wizyty u Stalina w 1934, mówi do niego : *Winszuję Panu. Za każdym razem, kiedy patrzę na jego portret, mam wrażenie, że widzę bandytę!* W 1933, po dojściu Hitlera do władzy, rozważa « wojnę przewencyjną » przeciw Niemcom, którą proponuje Francji droga ultra - sekretną. W 1936, po tym jak Niemcy zajęli zdemilitaryzowaną Nadrenię, kontynuator jego polityki, minister Józef Beck, wystąpił tym razem oficjalnie do Francji z propozycją wspólnej interwencji przeciw Hitlerowi. Odpowiedź Paryża będzie za każdym razem negatywna... W 1934, wobec ślepoty i indolencji polityki francuskiej i angielskiej wobec Hitlera, podpisuje układ o nieagresji z Trzecią Rzeszą. Ale, w kwietniu 1933, powiedział do swego adiutanta, Mieczysława Lepeckiego : *Nawet gdybyśmy na niego napadli, to byłaby jeszcze obrona.* Znamiennie, że będzie unikał jak ognia spotkania z Führerem, który bardzo na to nalegał.. A jednak, jak powiedział 9 października 1919 w wywiadzie dla "Timesa" : *Gdybyśmy byli zmuszeni połączyć się bądź z Niemcami, bądź z bolszewikami, znaczyłoby to, że nasze dzieło nie było doprowadzone do końca. Cywilizacyjna misja Polski pozostałaby nie spełniona.* W 1935, na krótko przed śmiercią, przewidując wielką słabość Francji i rosnące zagrożenie ze strony Niemiec, zaklina swojego ministra Spraw Zagranicznych, Józefa Becka, o podpisanie traktatu z Wielką Brytanią, co ten ostatni osiągnie w ostatniej chwili, 25 sierpnia 1939. Dzięki niemu, ten kraj rozdarły między trzech zaborców przez 123 lata, zdołał się zjednoczyć, zespolić i odnaleźć świadomość narodową: w 1939, żaden kraj Europy nie potrafił z taką odwagą i żarliwością oprzeć się nazistowskiej nawaie. Jego adept, generał Stefan Grot - Rowecki, natchniony jego duchem, stworzył podziemną Armię Krajową, która liczyła około 400.000 członków!

Zacytujmy wreszcie tę piękną opinię, jaką wypowiedział marszałek, w listopadzie 1931 w rozmowie z historykiem Arturem Śliwińskim : *Pokolenie najmłodsze, obecnie w szkołach, stworzy nową treść życia Polski. Będzie solidne, ideowe, patriotyczne, będzie miało poczucie honoru i obowiązku. Odnaczać się będzie szlachetnością. Polski tknąć nie da.* Słowa prorocze ! Wszystko się sprawdziło, tak jak przepowiedział ! Warto na koniec przytoczyć opinię o Józefie Piłsudskim Witolda Gombrowicza, słynącego skądinąd ze swego bezlitosnego zmysłu krytycznego, który nie szczędził nikogo : *Piłsudski ! Nie mnie oceniać jego politykę – co prawda skłonny jestem sądzić, że gdyby na czele Polski stał wówczas Churchill, czy Mussolini, czy nawet Napoleon z Talleyrandem, niewiele by więcej mogli zdziałać albowiem możliwości polskiej polityki były niezmiernie ograniczone geopolitycznym położeniem tego małego państwa w konwulsyjnym sercu Europy – chorej już na wszystkie*

choroby, jakie wkrótce miały wybuchnąć. Piłsudski robił co się dało i jak się dało – a jego realizm, odwaga i męskość, jakże świetniały na tle tchórzliwych pacyfizmów przemądrzałego burżuazji francuskiego czy angielskiego z jego Briandem, Ligą Narodów, i Lokarnem. Mnie, artystę, zachwycał i bawił styl Marszałka, cały ten jego tak własny, pyszny, soczysty, barwny sposób bycia i ta wielkość jego tak swoista i soczysta. Było to zarazem doskonale polskie i niesłychanie jego własne, osobiste...

Jak to się czasem zdarza, śmierć męża opatrnościowego objawia się znakami Bożej Opatrzności. Straszliwa burza z piorunami i gwałtownym huraganem, jaka się rozpętała podczas pogrzebu Marszałka, w pełni maja 1935, najpierw w Warszawie, a potem w Krakowie, gdzie jasność dnia zamieniła się nagle w ciemności (« zaćmienie nieba » jak je opisał świadek, poeta Jalu Kurek) została zrozumiana przez naród polski jako zapowiedź przyszłej apokalipsy... Nie dała długo na siebie czekać... Nadeszła zaledwie cztery lata później... Ciało Józefa Piłsudskiego spoczęło w katedrze na Wawelu obok królów Polski, a serce na cmentarzu Rossa w Wilnie obok prochów jego Matki. Na płycie nagrobnej wyryto, wedle jego woli, fragmenty z *Wacława i Beniowskiego* Juliusza Słowackiego. To jakby portret Marszałka :

*Ty wiesz, że dumni nieszczęściem nie mogą
Za innych śladem iść tą samą drogą...*

I poniżej :

*Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orła... niechaj umie
Spać – gdy śrenice czerwone od gromu,
I słychać jęk szatanów w sosen szumie...
Tak żyłem...*

W 1986 doprowadziłem do wydania w szwajcarskim wydawnictwie L'Age d'Homme znakomitej biografii Marszałka pióra Wacława Jędrzejewicza, byłego ministra, historyka, dyrektora Józef Piłsudski Institute w Nowym Jorku. Dwa lata później, w 1988, wydałem w Paryżu, w wydawnictwie Spotkania, kronikę poetycką życia Józefa Piłsudskiego *W blasku legendy*, która zawiera 352 teksty 160 autorów, w tym 60 najwybitniejszych nazwisk literatury polskiej XX wieku, z przedmową samego Bruno Schulza (hołd, jaki złożył Marszałkowi po jego śmierci) i pięknymi drzeworytami Stanisława Ostoi - Chrostowskiego. Miała być wznowiona w 2020 w Polsce, ale jej wydanie zostało opóźnione z powodu pandemii. Chciałbym wydać także zbiór tekstów *Piłsudski w oczach Europy i świata*, który zawiera m.in. artykuły Marszałka Félix Franchet d'Espéray, prezydenta Alexandra Mille-randa, senatora Henri'ego Leméry'ego, André Maurois, André Suarcsa, Dimitri Mereżkowskiego, hr. Carla Sforzy, Otto Forst de Battaglia, Hansa Roosa, Zbigniewa Brzezińskiego, Normana Daviesa, Petera Hetheringtona etc.

/Artykuł ukazał się w wersji francuskiej w kwartalniku "Liberté Politique" nr 86, Octobre 2020 /

EWA OKOŃ-HORODYŃSKA



CO Z INNOWACJAMI CZY NADZIEJA RZECZYWIŚCIE UMIERA OSTATNIA

W kontekście pandemii opanowującej zglobalizowaną gospodarkę, można wykazać pewną uległość wobec specyficznie niepokojącego wydzźwięku płynącego z dyskusji młodych badaczy intelektualistów (Magazyn Kontakt.mht) na temat „losu” współcześnie rozwijanej aktywności innowacyjnej. I, choć być może w innych okolicznościach pewne, wynikające z tych dyskusji wnioski nie drażniłyby tak silnie umysłu, to w czasach zarazy zasłyszane tezy wydają się być o tyle drażniące, że sugerują jakobyśmy porzucili twórczy rozwój technologiczny pierwszej połowy XX wieku, i nie ukrywam, trudno nie ulec temu nurtowi. Nie-wiarygodnie wręcz wówczas rysowane, zarówno przez naukowców, jak i artystów obrazy przyszłości, co do sposobów przemieszczania się, opanowania dla życia i wypoczynku nieznanymi dotąd przestrzeniami w kosmosie, teleportacji, androidów, wszechobecności robotów – jako transferu umysłu do maszyny, i końca pracy niespecjalnie współcześnie się upowszechniły i często wręcz rozbawiają, zwycięża zaś zadowolenie się kompilacjami, imitacjami – lepszą lub gorszą symulacją postępu. Czy nie stanowi to jednego z symptomów niekorzystnej zmiany odnoszenia się do innowacji, która zaszła w ostatnim stuleciu? Oto, na przestrzeni jednego tylko pokolenia nastąpiło rozpowszechnienie się pralek, kuchenek mikrofalowych, środków antykoncepcyjnych, laserów, telewizji, samochodów, samolotów, nowych źródeł energii, komputerów, Internetu, klimatyzacji, szczepionek i nowych leków zatrzymujących starzenie się. Ale w kolejnym stuleciu większość wyczekiwanym, może naiwnie, wcześniejszym fantazjowaniem technologii się nie pojawiła, co więcej rozwój innowacji w wielu dziedzinach w ogóle się zatrzymał. (np. nie pobito rekordu prędkości statku Apollo 10 z 1969r., ani rekordu wydłużenia długości życia z początku XXw., nie wynaleziono szczepionek zapobiegających pandemiom, choć deklarowano bliskość sukcesu wielokrotnie, ba, nawet przygotowania do ich przetrwania są dla świata dramatycznie słabe, ustawowy 8 - godzinny czas pracy w większości sektorów gospodarki mimo wielokrotnego wzrostu produktywności od czasów J.M.Keynesa nie zmienił się). Czy może to oznaczać, iż są jakieś określone ramy, granice osiągnięć w rozwoju innowacji, których na przykład z uporem szukano w UE z końcem XXw. (Zielona Księga Innowacji, 1995)? A może z jakichś przyczyn rozwój społeczno - gospodarczy niekoniecznie jest napędzany innowacjami, mimo teoretycznych uzasadnień, że jest odwrotnie.

Inwestycje dla innowacji?

Zachłanność elit, jak dowodzą choćby analizy ostatniego kryzysu finansowego, doprowadziła do przeobrażenia gospodarek, polegającego na porzuceniu inwestycji w technologie,

które otwierały drogi do modeli przyszłości opartych na innowacjach zmieniających strukturę gospodarki i prowadzących do wyrównywania szans różnych grup społecznych, na rzecz inwestycji w innowacje technologiczne wzmacniające głównie dyscyplinę pracy i mechanizmy kontroli zapewniające wzrost zysków. Dzieje się tak przede wszystkim na skutek niemożności wyeliminowania neoliberalizmu, który jest radykalnym posthumanizmem – nie potrzebuje ludzi, o ile nie działają jak maszyny, eskalującym nierówności dochodowe i majątkowe. Pogoń przedsiębiorstw za nieustannym obniżaniem kosztów produkcji i wzrostem zysków, między innymi przez innowacje takie, jak mechanizacja, czy robotyzacja pracy niestety także ma swe granice konkurencyjne, bo, gdy tylko innowacyjne rozwiązanie zostanie skopiowane przez konkurentów, nadzwyczajne zyski lidera znikają (prawo malejących przychodów). Robotyzacja w przedsiębiorstwach nie była przecież czymś nowym już od lat 60. XXw., ale przezorni przedsiębiorcy, którzy dostrzegli zjawisko spadających zysków w branży wywołanych innowacjami, zaprzestali w wielu dziedzinach dalszego inwestowania w robotyzację fabryk na rzecz przeniesienia produkcji do krajów o niskiej cenie siły roboczej i uniknięcia kosztownych inwestycji, z szansą na dalsze konkurowanie ceną. Kreacje Chanel czy Diora o niebotycznych cenach we francuskich butikach nie zostały przecież wyprodukowane przez roboty, choć rozwój technologiczny na to pozwala a przez nędznie opłacane szwaczki z Azji Południowej czy Afryki. Ten sam mechanizm stosuje się w wielu innych branżach. Znane są przykłady wykorzystywania przez przedsiębiorstwa, całych grup indyjskich programistów piszących ręcznie kody służące budowaniu spersonalizowanych mobilnych aplikacji oraz stron internetowych (platforma Engineer.AI), czy filipińskich pracowników, tzw. „czyścicieli Internetu” chroniących społeczność użytkowników przed brutalnymi zawartościami, funkcjonujących oficjalnie w projektach rozwoju sztucznej inteligencji dofinansowanych ze publicznych środków, choć korzystają z tej całkiem „niesztywnej”. Czyżby więc przypadki te upoważniały do stwierdzenia, że to tania praca wypiera mechanizację a nie odwrotnie? Paradoksalnie, niezwykle pomocne są w takich praktykach innowacje w zakresie informatyki, jej skokowy rozwój, dzięki innowacjom właśnie pozwolił na wdrożenie nowych technik przetwarzania informacji – idealnych narzędzi w służbie kontroli, koordynacji i komunikacji na globalną skalę. Szczególnego rodzaju inwestorzy decydujący się ostatecznie ulokować swe kapitały w takich właśnie przedsięwzięciach wysokiego ryzyka robią to z przeświadczeniem, iż przez pewien okres mogą co prawda tracić pieniądze, ale pod warunkiem, że ostatecznie przejmą cały rynek, bo monopolizując dane, kadry i inwestycje uniemożliwiają wejście na rynek innym firmom innowacyjnym.

Czy państwo pomoże?

Wedle ideologii neoliberalnej rola państwa w procesie wytwarzania innowacji jest i powinna być marginalna. Jednym z praktycznych tego przejawów było np. w wielu krajach obniżenie przez polityków podatków dla przedsiębiorstw, pokładających w rynku wiarę w optymalną alokację prywatnych inwestycji w generowanie innowacji technologicznych. Logika przedsiębiorcy nie potwierdziła logiki polityków. Z perspektywy firmy, przy wyższym opodatkowaniu zysków właśnie motywujące było przeznaczanie większych środków na B+R, i generowanie wyższych kosztów, zamiast wypłacanie dywidend akcjonariuszom, zmiany w systemie podatkowym zatrzymały więc strumień funduszy płynących do tej pory na badania i rozwój oraz innowacje. Podobne były skutki finansjalizacji w systemach rozliczania pracy korporacji (wynagradzanie kadry kierowniczej akcjami), podnosiło to wartość portfeli giełdowych akcjonariuszy, choć zupełnie nie wpływało na długookresowy innowacyjny rozwój przedsiębiorstwa. Mity o „wyższości” prywatnego sektora, jako źródła finansowania innowacji, nad alokacją wsparcia rozwoju innowacji przez państwo w sposób drastyczny wykazuje M. Mazzucato („Przedsiębiorcze państwo”, 2016). Nie byłoby wielu kluczowych i przełomowych technologii opracowanych przez agencje państwowe i uniwersytety dzięki rządowym kontraktom, subsydiom, ukierunkowanych ulgach podatkowych, zamówieniom publicznym zapewniających popyt na innowacje i ich wsparcie w długim okresie, czego nie zapewnią nawet fundusze venture capital liczące przecież na wysoki zwrot w perspektywie kilku lat. Geniusz wielu prywatnych liderów innowacji polega raczej na poskładaniu już opracowanych pomysłów, czy monopolizowaniu „źródeł dla innowacji” i skutecznym marketingu niż na stworzeniu od zera rzeczywistych przełomowych innowacji, co pozwalało skutecznie obniżyć własne wydatki na badania i rozwój. To państwo głównie ponosi ryzyko pracy nad badaniami, które – choć często nieopłacalne w kilkuletniej perspektywie – mają szansę zupełnie odmienić losy ludzkości, co jest szczególnie widoczne w uruchomieniu nadzwyczajnej aktywności instytucji państwa wielu krajów we wsparciu badań i przygotowania szczepionki zwalczającej obecną pandemię. Co powinno martwić, najlepiej unaoczniają przykłady prywatnych koncernów farmaceutycznych przejmujących, prędzej czy później, utrzymanie prawa patentowego w postaci pozwalającej im czerpać zysk z wynalazków, które powstały w procesie stymulowanym przez państwo. Okazuje się, że za finansowanie aż 75% przełomowych leków odpowiadają państwowe organizacje, a przeciętny koncern farmaceutyczny wydaje 2,5 razy więcej na marketing niż na własne badania. (M. Mazzucato, 2016). Korzyści ze skupowania patentów w celu agresywnego zawyżania cen leków ratujących życie jest od

dawna dla firm farmaceutycznych po prostu lepszym modelem biznesowym, niż kreowanie innowacji. Dowodzi tego także aktualnie działający mechanizm uspołecznienia kosztów, podatnicy płacą za badania i prywatyzację zysków przez firmy farmaceutyczne windujące ceny, np. w aktualnej dramatycznej sytuacji pandemii, ceny płynów odkażających, czy rękawiczek i maseczek ochronnych wzrosły od 100 do 1000%, a respiratory są wykupywane przez miliarderów). Trudno nie uznać wskazanej dystrybucji korzyści za wątpliwą moralnie, gorzej, że jest też nieefektywna ekonomicznie, gdyż sprzyja demontażowi infrastruktury odpowiedzialnej za długookresowy rozwój inkluzywny oparty o innowacje, będący warunkiem rozwoju wielostronnie zrównoważonego, który wesprzeć mogłaby ideologia nowego pragmatyzmu, (G.Kołodko,2014), ale niestety nie zostały jeszcze usunięte systemowe i strukturalne źródła poprzedniego globalnego kryzysu finansowego wywołanego także wpływami neoliberalizmu.

Kto jeszcze rozwiewa nadzieję na innowacje?

Teoria innowacji wskazuje, że jednym z podstawowych źródeł innowacji są uniwersytety, jednostki badawcze, instytut naukowe, itp., reprezentujące niejako pola dla wypracowywania Floridowskiej „kreatywnej klasy”, czy państwowe agencje wsparcia, które w założeniu mają się przyczyniać do wzrostu efektywności całych struktur instytucjonalnych dla innowacji. Tymczasem przejęły one korporacyjne metody zarządzania wprowadzające mnożące się wciąż ilości mierzalnych wskaźników mających pozwolić na monitorowanie stopnia realizacji przyjętych celów, co niestety zupełnie zawodzi, gdy celem organizacji czy jednostki jest rozwój oryginalnych projektów edukacyjnych czy badawczych. Architektura korporacyjna bowiem mnoży liczbę nieproduktywnych zadań administracyjnych oraz premiuje nieoryginalne pomysły, których rezultaty da się przewidzieć. Da się przecież zauważyć rosnące ilości pracowników biurowych w uczelniach nie tylko państwowych, ale i w większej nawet skali – prywatnych, a wypełnianie formularzy zaczęło pochłaniać naukowcom coraz więcej czasu. Zestandardyzowany naukowiec i student zdecydowanie bowiem ułatwiają zadania biurokracji. Wnioski o granty, ocena kwalifikacji pracowników, ewaluacja procesów, mnożenie struktur organizacyjnych, (np. nowa ustawa o nauce) definiowanie projektów – papierkowa robota zamiast prowadzenia badań czy doskonalenia zajęć dydaktycznych. Narzędzia te zostały wprowadzone w celu zacieśnienia konkurencji między badaczami, co ma zwiększyć wydajność organizacji. W rezultacie praca naukowa sprowadzona została także do walki o to, kto się bardziej umiejętnie „sprzeda”, czyli za ile punktów. Przedsiębiorczy uniwersytet to zapożyczona od korporacji pogoń za opłacalnością i efektywnością, co zabija prawdziwe innowacje w zarodku. W istocie do lat 70.XXw.

światli naukowcy mieli zagwarantowane środki, by zająć się badaniami, po prostu pracować w atmosferze wolności i tolerancji, bez tracenia czasu na ewaluacje – udowadnianie w formularzach, że ich praca jest opłacalna, że przyniesie konkretne rezultaty w przyszłości. Ewaluacja to przecież śmietnik informacyjny, a udające ważność dane zatykają system oceny i spychają często najlepszych na margines. Zapewne Einstein nie miałby dzisiaj szans na wygranie konkursu finansującego jego badania, bez zaprezentowania statystycznego dowodu na istnienie. Jeszcze trudniejszą drogę mają nauki społeczne, pielęgnowane niegdyś przez wielkie uniwersytety szanujące błyskotliwych ekscentryków, i społeczeństwo wielbiące geniuszy bez względu na to czy ich praca przekładała się bezpośrednio na wyniki praktyczne czy nie. Aktualnie największe osiągnięcia zapewnia profesjonalna autopromocja i marketing.

Nie ma innowacji bez wyobraźni ?

Wyobraźnia jest ważniejsza od wiedzy, mówił Einstein, bo choć wiedza wskazuje na to, co jest, wyobraźnia wskazuje na to, co będzie, i w tym sensie wiedza jest ograniczona. Dzięki wyobraźni bada się niemożliwość dokonując odkrycia. Biurokracja przestała być narzędziem do urzeczywistniania fantastycznych wizji, dokonano odwrócenia celów i środków. Nawet w obliczu zagłady klimatycznej najpotężniejszy kraj świata przestrzega przed podejmowaniem zbyt ambitnych kroków, a w sytuacji globalnej pandemii nie wszystkie kraje były od początku przekonane do podejmowania szybkich i radykalnych decyzji hamujących zagrożenie. Prawda, że nikt nie wiedział, kiedy dokładnie pandemia nadejdzie i jak będzie wyglądać, ale, przecież wiadomo było, że nadejdzie, podobnie, jak nadchodziły zagrożenia wcześniejsze. Nie przygotowywano jednak innowacyjnych rozwiązań dla gospodarki i społeczeństwa broniących przed kataklizmami przyszłości. Istniejący system ekonomiczny i wynikający z niego system innowacji, wciąż przedkłada eksploatację nad strukturalne innowacje, raczej cofa się przed próbą realizacji „nieopłacalnych” projektów, koncentruje się na wzroście abstrakcyjnych wskaźników, zamyka ludzką wyobraźnię w korporacyjnym myśleniu, skłania do szukania pozornych rozwiązań wśród racjonalnych kalkulacji. I właśnie w aspekcie: wyobraźnia a rzeczywistość zaciekawia jedna z klasyfikacji innowacji ostatniego dwudziestolecia (Walczyński, 2018), ujmująca innowacje w trzech grupach. Z pewnością ta robocza typologia nie wyczerpuje osi podziału, ani też nie wskazuje zamkniętych grup, bo jest pomiędzy nimi naturalny przepływ, stwarza jednak ważną podstawę do dyskusji. I tak, grupę pierwszą określa się, jako innowacje peryferyjne, tzw. kategoria nowinek technologicznych, z wizją odmiany świata, jednak ostatecznie pozostających bez szerszego zastosowania. Przykłady: drukarki 3D, pozwalające na samodzielne produkowanie

przedmiotów codziennego użytku; technologie virtual reality – zapowiadały zniwelowanie różnic między symulacją i rzeczywistością; wearables – miały powiązać każdy element naszego ubioru z techniką a blockchain miał zrewolucjonizować korzyści z transakcji. Niestety, nadzieja na ich rozległe oddziaływanie, jak dotąd nie została spełniona, choć może z wyjątkiem drukarek 3D, które aktualnie zasilają służbę zdrowia w wydrukowane, profesjonalne maski ochronne. Druga grupa obejmuje innowacje, co do których wyobraźnia spłatała ludziom figła tworząc inną rzeczywistość, niż się spodziewali. Na przykład, Internet miał zdemokratyzować stosunki społeczne, a technologie *open-source* miały stworzyć przestrzeń bez własności środków produkcji i upowszechnić dostęp społeczeństwa do wiedzy, zaś Facebook, miał gromadzić ludzi wokół celów zapewniających powszechną szczęśliwość i zrównoważone środowisko. Do realizacji tych celów zastosowano jednak, (mimo wzniosłej retoryki) tradycyjne narzędzia generowania zysku. Jak twierdzą znawcy przedmiotu, algorytmy doboru treści pozostawione same sobie (rynkowi) mogą radykalizować społeczeństwo i demolować demokrację. Algorytmy oparte na big data czy uczeniu maszynowym używane przez firmy, czy organizacje polityczne, ucząc się na archiwalnych danych, odtwarzają znane mechanizmy relacji w przedsiębiorstwie, reprodukcji relacji władzy i biznesu, co oznacza, że nie osiąga się sytuacji, w której technologie powinny być bezstronne, wręcz przeciwnie – mogą niszczyć sferę publiczną, zwiększać nierówności i szkodzić wykluczonym wzmacniając pozycję uprzywilejowanych. (C. O’Neil „Broń matematycznej zagłady”, 2017). Trzecią, grupę stanowią technologiczne innowacje strukturalne, które tworzą przestrzeń na reorganizację struktury społecznej, czyli w ich wyniku powstają głównie innowacje społeczne. Przykładem może tu być gospodarka współdzielenia, oparta na wyobraźni zacierania podziału na konsumentów i producentów w pewnych sektorach gospodarki, co stanowiło jej potencjał. Niestety, istniejący system ekonomiczny i słabość wyobraźni państwa dopuściły do zmonopolizowania lub zoligopolizowania idei gospodarki współdzielenia przez korporacje, takie jak Uber czy Airbnb, nastawione na maksymalizację zysku. Podobny los spotkał wiele platform dzielenia wiedzy profesjonalnej.

Co z inną przyszłością innowacji?

Rewolucja przemysłowa dokonała reorganizacji systemu społecznego, ale nie naruszyła podstaw stosunków władzy, które rządzą społeczeństwem i biznesem – zmieniła tylko grupę zajmującą miejsce uprzywilejowane. I choć w pewnym zakresie nowe technologie wyrównały możliwości i pozycje poszczególnych grup społecznych to nie upowszechniły korzyści z nich płynących dla społeczeństwa. Jak to – ktoś zwątpi – przecież w gospodarce cyfrowej czy internetowej, czy gospodarce Przemysłu 4.0, jako rezultatu rewolucji cyfrowej usługi dla

społeczeństwa są w przeważającej mierze darmowe. Tak, ale dominuje też monopolistyczny charakter firm, co wywołują zresztą bądź sami użytkownicy, bo każdy woli być w tej samej sieci społecznościowej, co jego znajomi (np. Facebook) bądź załatwiają to „przejęcia” lub fuzje (np. plany na oligopol „GAFA” ,Google, Apple, Facebook, Amazon), a zjawiska te wynikają z różnych czynników, m.in. efektów sieciowych oraz wartości uzyskiwanej z danych. W gospodarce, w której na rynku ważne są efekty sieciowe, (odpowiadają za to trzy elementy: wykwalifikowani inżynierowie, którzy potrafią stworzyć sprawne algorytmy, dostęp do danych, które umożliwią trenowanie tych algorytmów oraz inwestorzy ryzykujący znaczne środki) normalne jest właśnie to, że występuje jeden dominujący gracz, a konkurencja toczy się o rynek nie na rynku. Wejście na rynek innych graczy, nawet innowacyjnych, jak np. małe innowacyjne *start-upy* spotyka się z zagrożeniem takim, iż niektóre firmy monopolizują same dane i uniemożliwiają *start-upom* wejście na rynek. Inne praktyki, to umowy niemal kartelowe znane z Krzemowej Doliny o niepodkupowaniu sobie wysokiej klasy inżynierów, (swoistego „wkładu” do innowacji), co zmniejszyło wymianę pomysłów, czyli spowolniło też rozwój innowacji. Pomocne może być tu jedynie silne instytucjonalne wsparcie regulatorów łagodzących bariery wejścia na rynek, co pozwala na lokowanie *start-upów* w niszach, krążących wokół firm dominujących, jeśli nie ma wsparcia to innowacje raczej się nie przebijają. Nowe technologie pozwalają na łatwe i relatywnie tanie zbieranie danych o użytkownikach usług, dlatego stały się one niezwykle ważne, mogą być monetyzowane, a ich ceny rosną w zależności od możliwości efektywnego dotarcia dzięki nim z produktami danych firm do potencjalnych klientów. Można nawet mówić o samonakręcającym się mechanizmie: dane są coraz cenniejsze, więc firmy, które je gromadzą rosną w siłę. Usługi są więc w istocie darmowe tylko teoretycznie, bo w istocie płaci się za nie swoimi danymi, niejako nową walutą, ryzykując oddanie zbyt dużo informacji. Paradoksalne jest więc to, iż powstała na gruncie innowacji gospodarka cyfrowa na skutek monopolistycznego charakteru firm spowolniła powstawanie innowacji, monopoliści mają interes w tym, żeby hamować rozwój nowych produktów, (monopolizując inwestycje, dane, patenty i inżynierów), w obawie o wyeliminowanie z dochodowego z biznesu. Tak więc, siły napędowe systemów ekonomicznych opartych na wiodących nurtach ideologicznych pomijając, czy jest to gospodarka cyfrowa, czy realna pozostają te same, są nimi chciwość i zysk po jednej stronie oraz systematycznie rekonstruowany konsumpcjonizm po drugiej, bez względu na rodzaj wdrażanych innowacji. Wciąż bowiem doznawane przemiany a nawet rewolucje technologiczne, choć

zmieniają funkcjonowanie gospodarek i społeczeństw, niosąc zapewne możliwości poprawy poziomu życia, same w sobie nie prowadzą do przekształcenia ani też dekonstrukcji systemów ekonomicznych (w tym systemów innowacji), w których funkcjonujemy, a co jest niezbędne. W świetle toczącego globalną gospodarkę wszechogarniającego kryzysu pandemicznego, gdy wielu polityków modli się o lepszą przyszłość, bo sami nie potrafią sterować jej tworzeniem; gdy przedsiębiorcy wolą oszczędzać niż inwestować, potęguje się niezdolność do wykroczenia poza wspomniane siły i zreorganizowania relacji społecznych w myśl tryumfu mądrości nad głupotą a empatii nad agresją, najpoważniejsze problemy, z którymi będzie trzeba się zmierzyć mają charakter społeczny. Stąd, jak można domniemywać największą przemianę przyniosą innowacje strukturalne, które zmienią sposób organizacji społeczeństwa i przebudują konstrukcje procesu decyzyjnego, relacje władza – społeczeństwo – biznes, proces formułowania celów, zmienią mechanizmy redystrybucji (np. dochód gwarantowany), mechanizmy przejmowania przez państwo ryzyka działalności gospodarczej w okresach zagrożenia ekologicznego, zdrowotnego, mechanizmy hamujące spekulacje finansowe odrywające je od sektora realnego, i wiele innych. Wdrożenie innowacji strukturalnych jest możliwe przy wykorzystaniu istniejących już technologii, ale nie jest możliwe w sytuacji braku wyobraźni politycznej decydentów, nawet przy nieograniczonej wyobraźni naukowców. Od rewolucji industrialnej, przez cyfrową, niemal wszystkie wynalazki – podstawa innowacji, które wydawały się mieć transformacyjny społeczno - ekonomicznie potencjał, bardzo szybko zostawały wpisane w istniejące relacje władzy na rynku. Zrozumienie ograniczeń obecnego systemu społeczno - ekonomicznego oparte na logice rynku może stać się trampoliną do sprośnięcia wyzwań przyszłości rozwoju innowacji. Pozostawanie w zgodzie z logiką głównego nurtu, gdzie innowacje podążają za zyskiem i prowadzą do akumulacji kapitału, oznacza brak rozwiązania wielu bolączek naszych czasów wynikających właśnie z nierównomiernego rozłożenia korzyści ekonomicznych. Bez względu na to, czy świat ma do czynienia z kryzysem ekologicznym, finansowym, zdrowotnym, rosnącą przepaścią między najbogatszymi i ubogimi, wykluczeniem społecznym czy bezdomnością przyczyną niemal wszystkich takich problemów jest pogoń za zyskiem. Nie da się przecież zarabiać na masowym rozdawaniu pieniędzy, mieszkań czy leków tym, którzy ich potrzebują, (choć i to pokonała logika rynku, co jest drastycznie widoczne przy obecnej pandemii). Potrzebna jest uwspólniona wizja przyszłości, (w czym dobrze sprawdzał się foresight, niestety zarzucony) będąca warunkiem działania zbiorowego w długookresowej perspektywie, która może skłonić do wymyślenia, w jaki sposób można zarobić na wydobywaniu dużych grup ludzi z bezdomności, wykluczenia

społecznego, czy ekonomicznego. Przyszłość może być wówczas inna, bo ludzie wspólnie mając świadomość wpływania na nią, gotowi są odroczyć chwilowe korzyści ekonomiczne w imię większej wypłaty w przyszłości. Dopust globalnej pandemii nie wywoła raczej światowej rewolucji ale narastał będzie chaos więc świat potrzebuje nowych idei i wielkich przywódców, globalnych mężów stanu, a nie demagogów. Najwyższy już więc chyba czas na twierdzenie, iż by świat uniknął dewastującej kulturę i gospodarkę anarchizacji, potrzebne są nowe idee i koncepcje rozwojowe, wspierane nowymi ideologiami a wyobrażenie sobie radykalnie lepszej przyszłości, w której innowacje technologiczne zaczną służyć większości społeczeństw, wiązać należy z możliwością istnienia jakiegokolwiek innego systemu ekonomicznego, w tym systemu innowacji, niż dotąd znany, zapewniającego klimat do badania niemożliwości dokonującego wyczekiwanego przełomu technologicznego, zamiast ciągłego doskonalenia i symulacji.

Bibliografia:

- Kołodko G.W. (2014), *Nowy Pragmatyzm, czyli ekonomia i polityka dla przyszłości*, „Ekonomista”, nr 2., s.161 - 180
- Magazyn Kontakt.mht, <https://magazynkontakt.pl/>, dostęp: 15.03.2020
- Mazzucato M. (2016), *Przedsiębiorcze państwo*, Heterodox, Warszawa
- O'Neil C.(2017), *Broń matematycznej zagłady*, PWN, Warszawa 2017
- Walczyński H. (2018), *Innej przyszłości nie będzie*, <https://magazynkontakt.pl/profil/walczynski-hubert/>, dostęp: 20.03.2020
- Zielona Księga Innowacji* (1995), KE, Bruksela

KRZYSZTOF BARAŃSKI

WIEK PODESZŁY

Lata jak znużone torby podróżne
padają pod ścianami

między ścianą płaczu a ścianą strachu
szklane milczenie

dotykasz z prawej
szkło
pukasz z lewej
cisza

dotyk nie widzi odbicia
palce nie słyszą słowa

po obu stronach niewidomego lustra
czas losuje kwatery

Kiedy ojciec umiera inne tu i teraz
żał ze smutkiem głęboko układają blizny
gdzieś księga się zamyka
gdzieś znowu otwiera
nowy ryt do pejzażu na twarzy mężczyzny
Kiedy ojciec umiera peknięta ariera
nie ma komu ocenić myśli słowa czynu
i cienka tylko zadra wciąż będzie uwierać
że nikt ci już nie powie

zrób herbatę synu

KRÓTKA PIOSENKA O TOLERANCJI

Feministka z próbówki, ultrapravicowiec,
Żyd narkoman, muzułmanin gej –
usiądź z nimi, coś miłego powiedz
i wysłuchać po kolei chciej.

To nie musi być śliczna
poprawność polityczna
ni kolorowa Unia,
rozkwitła jak petunia,
ani nawetlogika –
ta gdzieś w koncu umyka,
zostają twarze, oczy,
byle słowo zaskoczy,
kolega co ma Downa,
zakrzyknie nagle SAUNA!
ostra wymiana racji
skończy się na kolacji
w uśmiechach integracji

Feministka in vitro, ultrapravicowiec,
Żyd narkoman, muzułmanin gej –
usiądź z nimi, coś miłego powiedz
i wysłuchać po kolei chciej....



ANNA ADAMUS-MATUSZYŃSKA

ROZSTROJONE SPOŁECZEŃSTWO: CZY MOŻNA JE NASTROIĆ? O TYM, JAK NAUKI SPOŁECZNE ROZUMIEJĄ KONFLIKTY

Wprowadzenie: czy konflikty są nieuniknione?

Pojęcie 'konflikt' należy do popularnych słów używanych we współczesnym języku, zarówno codziennym i publicystycznym, jak i naukowym. Obok odwiecznych sporów pomiędzy rodzinami, klanami czy konfliktów pomiędzy różnymi grupami społecznymi (np. plemionami czy sąsiedzkimi wsiami), narodowymi i między państwami znanych z historii każdego społeczeństwa, dzisiaj mówimy o nowych, nieznanych w dawnych czasach, takich jak konflikcie globalnym związanym ze zmianami klimatycznymi, których jedni nie chcą dostrzegać, a inni krzyczą „na alarm” klimatowi, pomiędzy zwolennikami szczepień, a tymi, którzy zarówno Covid-19, jak i szczepionkę przeciw temu wirusowi lekceważą, napięcia pomiędzy tymi, którzy hołdują historii i tradycji, patrzą w przeszłość i tymi, którzy myślą w kategoriach przyszłości. W publicystyce dają się słyszeć zwroty „wojna Polaków z Polakami”, „wojna cywilizacji”, „Polska jest w stanie wojny”, „Polski Kościół toczy poważana choroba” i wiele innych, które podkreślają aktualny stan w jakim znajduje się polskie społeczeństwo roku 2021. Co więcej, słuchając codziennych wiadomości, czytając gazety, śledząc współczesne media masowe i społecznościowe człowiek może nabrać przekonania, że konflikty są konstytutywnym elementem życia społecznego, że bez nich po prostu nie istniejemy. Czasem, oglądając telewizję czy śledząc wiadomości w mediach społecznościowych, widz szuka przykładów współpracy między ludźmi, a nie na kolejną ilustrację sporu. W tym gąszczu dyskusyjnych sytuacji, antagonizmów, napięć i nieporozumień jednostka może – co często się dzieje – zagubić się nie rozumiejąc przyczyn mechanizmów rządzących danym konfliktem, a także nie znając sposobów jego rozwiązania. A przecież, jak napisał Charles H. Cooley, jeden z najwybitniejszych amerykańskich socjologów „konflikt, w jakiejś postaci, jest życiem społeczeństwa”¹, a niemiecki socjolog – Georg Simmel stwierdził, że konflikt jest formą socjalizacji².

Konflikt jest zjawiskiem obecnym we wszystkich znanych czasach życia ludzi na kuli ziemskiej. Jednakże konflikty na przestrzeni dziejów ludzkości były różne w zależności od społecznej sytuacji, ekonomicznych uwarunkowań, politycznych rozstrzygnięć czy kulturowych wzorów i modeli. Różnią się przyczynami, treścią, aktorami, dynamiką i metodami rozwiązywania. Dzisiaj, konflikt jest zjawiskiem tyle pożądanym, ile odrzucanym. W czasach, gdy demokracja zakreśliła globalny krąg, konflikt stał się zjawiskiem coraz mniej oczekiwanym, postrzeganym raczej jako zagrażający jej istnieniu, co nie znaczy, że demokracja potrafi go całkowicie zlikwidować³.

Liczba konfliktów, tych codziennych, jak i tych globalnych, na świecie jest zapewne porównywalna do liczby badań, publikacji czy naukowych rozważań nad tym społecznym zjawiskiem. Literatura specjalistyczna nie dostarcza jednoznacznych rozstrzygnięć kwestii związanych ze spornymi sytuacjami. O konfliktach piszą psycholodzy, socjolodzy, politolodzy, antropolodzy, filozofowie, ekonomiści, specjaliści od zarządzania oraz wielu innych badaczy różnych naukowych dyscyplin. Żadna z nauk nie odkryła do dzisiaj 'tajemnicy' konfliktu, choć przecież ludzie jakoś sobie z tymi konfliktami radzą.

Czy badacze i naukowcy rozumieją konflikt?

Konflikt jest zjawiskiem społecznym charakteryzującym się pewnym ciągiem działań. Wyjaśniając zagadnienie konfliktu trzeba dokonać rozbioru następujących kwestii: (1) źródeł, przyczyn i mechanizmów prowadzących do powstawania tego zjawiska, (2) analizy dynamiki tego procesu, (3) wskazaniu możliwych do zastosowania sposobów jego rozwiązywania. Na wskazane trzy etapy spojrzeć można, co wynika z historycznej analizy teorii konfliktu, z wielu różnych perspektyw. Pierwszą jest podejście psychologiczne rozpatrujące relacje między jednostką a społeczeństwem, rozwijane między innymi przez koncepcje psychodynamiczne koncentrujące się na nieświadomych mechanizmach zachowania jednostki⁴. Zdaniem psychoanalityków konflikty pomiędzy jednostką a jej społecznym i kulturowym otoczeniem są nieuniknionym elementem życia społecznego. Paradygmat psychologiczny nawiązuje przede wszystkim do wewnętrznych mechanizmów człowieka przyczyniających się do sytuacji konfliktowych, których znajomość jest istotna w procesie analizy dynamiki konfliktu, np. eskalacji czy deeskalacji. Drugim paradygmatem jest ujęcie psychospołeczne dominujące w dyskusji nad sporami. Począwszy od rozważań Georga Simmela aż po badania Mortona Deutscha, pioniera badań metod rozwiązywania konfliktów, daje się zauważyć dominację tego podejścia biorącego pod uwagę zarówno fundamentalne czynniki konstytuujące zachowania jednostki, jak i społeczny kontekst każdego konfliktu. Trzecia to perspektywa socjologiczna ze szczególnym uwzględnieniem koncepcji powstałych w latach 50. i 60. XX wieku jako odpowiedź na teorię funkcjonalizmu strukturalnego Talcotta Parsona. Wskazanie funkcjonalnego znaczenia konfliktu w ujęciu Lewisa Cosera czy dialektyczne podejście do konfliktu w rozumieniu Ralfa Dahrendorfa są do dziś uznanymi koncepcjami wyjaśniającymi to zjawisko. Politologiczne – to kolejne podejście w analizie konfliktu, choć słuszniej należy nazwać go podejściem nauk społeczno-politycznych, gdyż pewnych zagadnień nie da się w żaden sposób rozdzielić pomiędzy nauki społeczne i polityczne. Klasykami takiego rozumienia konfliktów są australijski

dplomata i badacz John W. Burton czy norweski socjolog Johan Galtung, którzy odwołują się do roli państwa oraz systemu władzy jako pewnych instrumentów socjalizacji mającej bezpośredni wpływ na zachowania jednostek i grup w sytuacjach spornych. Odmiennie analizują sytuacje konfliktowe antropolodzy. Stanowisko takie reprezentowane jest między innymi przez Marca Howarda Rossa, które opiera się na badaniach społeczeństw pierwotnych i literaturze etnograficznej i zakłada, że konflikty w społeczeństwie są wypadkową cech kulturowych. Innym, mającym korzenie w XIX wieku, jest podejście ekonomiczne. Jego przedstawicielem jest między innymi Kenneth Boulding – ekonomista patrzący na konflikt z punktu widzenia ekonomicznej teorii zachowań racjonalnych oraz teorii wymiany, choć w pełni świadom ograniczeń wynikających z takiego podejścia do konfliktu⁵.

Badacze więc różnych dyscyplin podejmują próby zdefiniowania i rozbioru zjawiska konfliktu przyjmując za podstawę dyscyplinę, którą reprezentują albo wprost konkretny cel badawczy. Stąd definicje konfliktu mogą podkreślać jego wymiar polityczny, ekonomiczny, psychologiczny, biologiczny, antropologiczny czy socjologiczny. Podsumowując liczne sposoby ujęcia konfliktu można przyjąć, że jest to antagonistyczny stosunek pomiędzy dwoma stronami, którymi mogą być jednostki, grupy, zbiorowości formalnie lub nieformalnie związane, zmierzające w określonym czasie do niedających się ze sobą pogodzić celów lub zmierzające do tego samego celu jednak różnymi, sprzecznymi drogami.

Dwudziesty pierwszy wiek zmusza do pewnych refleksji dotyczących konfliktów. Współcześnie poziom konfliktów międzynarodowych, w skali makro, tak licznych w pierwszej połowie XX wieku, został zamieniony przez konflikty lokalne, regionalne, wewnątrzpaństwowe, ideologiczne i kulturowe. Spory pomiędzy zwolennikami budowy autostart, a obrońcami natury, pomiędzy pracodawcami a pracownikami, prawicą a lewicą, zwolennikami budowy wieżowca a tymi, którzy walczą o każdy kawałek zieleni miejskiej, propagatorami różnorodności kulturowej, a głosicielami tradycyjnych wartości odwołujących się do utrwalonych wzorców, itp., to konflikty występujące w XXI wieku. Te nowe spory dostrzegalne już były w wieku poprzednim: „Mniej popularne jest teraz myślenie w kategoriach szerszej wspólnoty lub mówienie o obowiązku obrony wspólnego dobra. Zamiast tego obecnie postrzegana jest zmiana nacisku na wzmacnianie mikrointeresów”⁶. Poziom narodowych wartości został zastąpiony wartościami jednostki (indywidualna kariera, jednostkowy sukces, popularność w mediach społecznościowych⁷, celebrytyzacja⁸) lub wartościami grupowymi (np. kibice sportowi⁹), poziom norm etycznych, rozumianych jako absolutne zasady postępowania człowieka zgodnie z myślą Marii Ossowskiej,

jest zastępowany normami zgodnymi z interesami konkretnej grupy ideologicznej czy społeczności w mediach społecznościowych. Jak pisze Maria Hirszowicz „Wiele konfliktów, które w przeszłości stanowiły oś walk politycznych, traci na znaczeniu, jednocześnie zaś inne konflikty, które miały charakter marginalny, przenoszą się niejako do centrum.”¹⁰ W Polsce w latach 90. XX wieku dominowały konflikty płacowe oraz dotyczące spraw socjalnych wynikające z procesu transformacji, która dla całego społeczeństwa była przeżyciem traumatycznym. Dzisiaj konflikty dotyczą, np. praw związanych z grupą określaną akronimem LGBTQ+, planów zagospodarowania terenu np. spór wokół budowy nowego wieżowca czy problemów o bardzo złożonym charakterze, jakim jest konflikt wokół wymiaru sprawiedliwości lub zmian w systemie edukacji, dzielących często polskie społeczeństwo na dwa obozu. W innych krajach występują dzisiaj podobne spory. Konflikty są, pojawiają się, znikają, są rozwiązywane, czasem trwają wieki. Jednak ich specyfika zmienia się wraz z zmieniającymi się warunkami społecznego, politycznego i ekonomicznego życia.

Edward Azar zwraca uwagę na szczególnie rodzaj konfliktu nazywany przez niego – przewlekłym konfliktem (*protracted social conflict*), który wywoływany jest przez zwielokrotnione czynniki takie jak uwarunkowania wewnętrzne i zewnętrzne, zmieniające się cele, zmieniających się aktorów konfliktu oraz brak jednoznacznego początku i końca konfliktu. Amerykański badacz stosunków międzynarodowych jeszcze w latach 80 XX wieku dostrzegł przesuwanie się sporów z poziomu globalnego na konflikty o rolę i status wspólnot wewnątrz danego kraju, których przykładami są konflikty etniczne i religijne, a także konflikty wokół wartości występujące w każdym społeczeństwie demokratycznym.

Analiza dynamiki konfliktu ujawnia, że strony będące w sporze mają do dyspozycji trzy ścieżki: eskalację konfliktu, poszukiwanie sposobu jego rozwiązania lub zerwanie relacji. Przykłady sytuacji spornych oraz badania nad nimi wskazują, że strony *de facto* zgadzają się albo na ugodę (ang. *settlement*) będącą porozumieniem stron w sprawie zakończenia konfliktu lub rezolucję (ang. *resolution*) będącą porozumieniem stron, w którym większość problematycznych kwestii jest wyjaśniona. Powstaje pytanie czy takie sposoby zakończenia konfliktu faktycznie go finalizują?

Konflikty zawsze towarzyszyły ludziom, dzisiaj jednak lepiej je rozumiemy i dostrzegamy także ich pozytywną siłę np. są znakiem konieczności zmian lub są skutkiem ubocznym wprowadzanych zmian. Odpowiadając na pytanie zadane w tytule tej części artykułu nie można dać jednoznacznej odpowiedzi „tak”, co nie znaczy, że badacze potrafią wskazać nam receptę na konflikt, czy – odwołując się do oczekiwań dzisiejszych

użytkowników smartfonów, którzy potrafią opracować „aplikację na konflikt”.

Czy można definitywnie zakończyć konflikt?

Zakończyć konflikt oznacza powstrzymać podejmowanie działań wymierzonych przeciwko drugiej stronie. Rozwiązać – oznacza ujawnić przyczyny danej sytuacji oraz dokonać wyboru jednej z kilku alternatywnych opcji uporządkowania napiętych stosunków pomiędzy uczestnikami sytuacji konfliktowej. Zakończenie konfliktu nie zawsze oznacza jego rozwiązanie. Amerykański politolog Quincy Wright uważa, że konflikt jest rozwiązany, jeśli porozumienie będzie jednoznacznie zaakceptowane przez wszystkie zaangażowane strony. Podczas wojen prowadzonych z użyciem fizycznej siły pełna akceptacja zakończenia działań może mieć charakter bezwzględny, ale w sytuacjach konfliktów idei, polityki i wartości, słowa takie jak ‘definitywne rozwiązanie’ czy ‘akceptacja wyjaśnienia’ mają charakter relatywny. Zakończenie konfliktu może być rozumiane w odmienny sposób przez przeciwne sobie strony¹². Gdy uczestników konfliktu jest więcej niż tradycyjnie dwóch jego zakończenie może być inaczej postrzegane przez poszczególnych jego uczestników, co nie gwarantuje koniec problemu.

Rozwiązywanie konfliktów reguluje prawo i normy społeczne w krajach demokratycznych. Kampania wyborcza, będąca rodzajem sytuacji konfliktowej, kończy się zwycięstwem jednej partii politycznej w demokratycznych wyborach, a pozostałe akceptują wynik, bo wiedzą, że będą mieli szansę wygrać w kolejnych wyborach. W krajach totalitarnych i dyktaturach, wolne i rywalizujące wybory zastępuje tłumienie poglądów oponentów przez tych, którzy są aktualnie u władzy. Zakończenie konfliktu oznacza więc zmuszenie do poddania się drugiej strony politycznego sporu.

Obserwacje społeczeństw doprowadziły norweskiego badacza Johana Galtunga do opracowania koncepcji rozwiązywania konfliktów, którą opisuje za pomocą trzech RRR – rozwiązywanie, rekonstrukcja i pojednanie (*resolution, reconstruction and reconciliation*)¹³. Istotą tego podejścia jest założenie, że każdy konflikt musi być w jakiś sposób rozwiązany, a więc ten element – rezolucja – ma miejsce w każdej takiej sytuacji. Rekonstrukcja następuje, gdy w sytuacji sporu pojawiła się przemoc. Jest to złożony proces, na który składa się rehabilitacja ofiar, odbudowa zniszczeń, restrukturyzacja społeczna oraz odbudowa kultury. Pojednanie jest warunkiem zakończenia konfliktu, gdyż jego celem jest odtworzenie partnerskich relacji między oponentami. Rozwiązywanie, rekonstruowanie i pojednanie to równorzędne składniki procesu diachronicznego, dlatego konieczne jest uwzględnianie

wzajemnych zależności i związków stron konfliktu oraz porządku czasowego.

Dla Burtona rozwiązanie konfliktu nie polega na osiągnięciu porozumienia pomiędzy dwiema stronami konfliktu, ale na rozważeniu szerokiego społecznego kontekstu danej sytuacji i zbudowaniu środowiska, które będzie promować wartościowe relacje między tymi stronami. Wyróżnia on dwie metody rozwiązywania konfliktów – rozwiązywanie problemów i zapobieganie konfliktom, które Burton nazywa terminem 'provention'. Rozwiązywanie problemu to interaktywny proces angażujący obie strony sporu, które analizują problemy ze szczególnym uwzględnieniem poziomu ludzkiego i długoterminowych kosztów opcji rozwiązania danej sytuacji. Termin 'provention' to neologizm wymyślony przez australijskiego badacza, aby uniknąć używania terminu „zapobieganie”, który ma negatywne konotacje. Prowencja konfliktu to szersze niż rozwiązywanie spojrzenie na proces społeczny jakim jest konflikt. Burton wskazuje, że są to działania mające na celu usunięcie przypadkowych źródeł konfliktu i zbudowanie takiego środowiska społecznego, które będzie wspierać relacje kooperacyjne pomiędzy różniącymi się stronami. Analiza warunków poprzedzających sytuację konfliktową oraz analiza relacji społecznych w otoczeniu to główne narzędzia tej koncepcji.

Wobec nieuchronności konfliktów w życiu społecznym wielu badaczy, ale także praktyków zarządzania, podkreśla konieczność ich zarządzania, a nie tylko rozwiązywania. Proces zarządzania jest pewnym kompleksem dopełniających się zachowań, do których trzeba zaliczyć: komunikowanie pomiędzy stronami, rozwiązywanie problemów powstałych przed i w trakcie konfliktu oraz rozwinięty system stosunków interpersonalnych. Członkowie organizacji, zespołów realizujących projekty, instytucji gospodarczych, kulturalnych czy politycznych mogą znaleźć wspólne cele poprzez zaangażowanie się w proces kooperatywnego rozwiązywania trudności, który przyczyni się do wyjaśnienia istniejących niezgodności. Procedury zarządzania są szczególnie skuteczne w sytuacjach sprzeczności zachodzących pomiędzy bezpośrednio współpracującymi ze sobą osobami. Zarządzanie konfliktem oznacza podjęcie wszelkich działań w celu pokojowego rozwiązania konfliktu począwszy od dwustronnych negocjacji do, jeśli tylko to konieczne, zaangażowania trzeciej strony, np. w formie mediacji¹⁴. Jest to metoda szeroko stosowana w biznesie, pozwalająca na opis procesów i działań w zakresie zarządzania negatywnymi dla organizacji konsekwencjami konfliktu. Badacze podkreślają, że jest to forma zawieszenia broni, a nie rozwiązanie konfliktu, ma charakter raczej ustalenia bieżących działań pozwalających na kontynuowanie zadań biznesowych.

Innym podejściem jest model opracowany przez Jeffrey Z. Rubina, Deana G. Pruittta, Sung H. Kima, którzy wymieniają cztery style zarządzania konfliktem:

1. rywalizacja to sytuacja, kiedy jedna strona w konflikcie próbuje rozwiązać go bez brania pod uwagę interesów przeciwników używając takich technik jak groźby, żądania, straszenie prowadząca do wygrania jednej, a przegrania drugiej strony,
2. rozwiązywanie problemu, czasem nazywane współpracą, polegające na podejmowaniu wysiłków zidentyfikowania przyczyn, które podzieliły strony sporu oraz poszukiwanie rozwiązań korzystnych dla obu stron,
3. poddanie się (uleganie), co nie oznacza kapitulacji, a jedynie akceptację przez jedną stronę korzyści przeciwników w imię utrzymania z nimi poprawnych stosunków,
4. unikanie konfliktu, to znaczy wzbranianie się przed kontaktami z osobą lub grupą, z którą się różnimy (np. przejście na drugą stronę ulicy, gdy widzimy osobę o innych poglądach politycznych) lub unikanie podejmowania zagadnień o konfliktogennym podłożu (np. brak rozmów o różniących nas poglądach, by nie wywoływać napięcia).

Autorzy teorii zakładają, że unikanie konfliktu nie jest efektywnym sposobem jego rozwiązania, więc pomijają go całkowicie w dalszej analizie. Unikanie konfliktu to sytuacja, kiedy cele żadnej ze stron sporu nie są realizowane. Styl może być skuteczny, gdy cele są nieistotne dla stron, ale wówczas raczej nie podejmują żadnych działań. Jednak przynoszą więcej strat niż pożytku, gdy choćby jedna ze stron rezygnuje z własnych celów dla – tak zwanego – spokoju, choć owe cele w przyszłości mogą mieć znaczenie. Czy, na przykład dzisiaj w 2021 roku, ludzie rozumiejący problem zmian klimatycznych mają unikać konfliktu z decydentami bezpośrednio kształtującymi politykę energetyczną, ale nie podejmującymi skutecznych działań ochrony środowiska naturalnego?

Jak podkreśla Louis Kriesberg – prekursor badań nad pokojem, zagadnienie rozwiązywania konfliktów staje się coraz bardziej zróżnicowane, a w przyszłości będzie miało coraz większe znaczenie z powodu narastających napięć w społeczeństwach wynikających ze zmian cywilizacyjnych, technologicznych i komunikacyjnych.

Czy w XXI wieku wiemy, jak radzić sobie z konfliktami?

Rozważania socjologów końca XX wieku takich jak Zygmunt Bauman czy Ulrich Beck zwracają uwagę, że ponowoczesne społeczeństwo charakteryzuje niepewność i ambiwalencja, kulturowa fragmentaryzacja, upadek norm i obyczajów oraz coraz silniej zmniejszająca się rola tradycji i trwałych

wartości¹⁵. Zmiany te mają określone konsekwencje dla jednostki, która coraz mocniej odczuwa niepewność, złożoność, niejednoznaczność, brak zaufania w porządek społeczny i tradycyjne autorytety, rosnące zagrożenie w każdym elemencie codziennego życia. Świadomość ryzyka staje się coraz bardziej powszechna, a pandemia zakaźnej choroby Covid - 19 rozszerzyła to poczucie na wszystkie grupy społeczne na świecie.

Jak pisze Gerard Delanty – brytyjski socjolog, modernizacja wyraża głęboką ambiwalencję, która jest istotą nowoczesnego społeczeństwa. Owa ambiwalencja pociąga za sobą konflikt pomiędzy dwoma siłami: kulturowym i społecznym wyrazem modernizacji¹⁶. (Po)nowoczesność stawia przed jednostką konieczność wyboru pomiędzy dwoma skrajnymi wartościami: wolnością i dyscypliną, autonomią i fragmentacją, wolnością i równością. Tym, czym charakteryzuje się dzisiejszy świat jest niejednoznaczność wartości i norm, w tym także etycznych.

W dobie dominacji mediów społecznościowych coraz częściej konflikty koncentrują się wokół obrony tożsamości i poszanowania praw człowieka. Te powszechnie dostępne media z jednej strony są medium rozpowszechniającym treści w obronie tożsamości ludzi, ale także są środkiem podziałów społecznych wynikających z różnic tożsamościowych. Tożsamość w (po)nowoczesnym świecie jest kluczowym przedmiotem badań naukowych XXI wieku. Współcześni badacze reprezentujący różnorodne dyscypliny dostrzegają zmianę poczucia tożsamości w kierunku większej refleksji, podmiotowości i możliwości konstruowania siebie, ale także jako pewien obowiązek podejmowania odpowiedzialności za własny wizerunek i życiorys¹⁷. To stosunkowo nowe podejście do tożsamości ma swoje konsekwencje społeczne wpływając między innymi na przyczyny sporów, sporów o to kim jesteśmy, kim chcemy być, kim się czujemy, sporów o akceptację społeczną i uznanie. Takie spojrzenie na konflikt wyprowadzone z Hegłowskiej „filozofii prawa” wypracowane zostało przez niemieckiego filozofa Axela Honnetha i nazwane ‘walką o uznanie’. Konflikt społeczny wymaga analizy w trzech obszarach uznania: uznania jednostki jako podmiotu (tożsamość jednostki), uznania prawnego (moralna władza sądenia) oraz uznania instytucjonalnego (możliwość docenienia siebie a danym systemie społeczno - gospodarczym)¹⁸. W rezultacie mamy do czynienia nie z konfliktem pomiędzy grupami o różnych tożsamościach, ale pomiędzy tymi którzy pewnych tożsamości nie uznają, a tymi, którzy tak się czują. I tak można mówić o sporze wokół uznania tożsamości śląskiej czy podziałach wynikających z uznania tożsamości płciowej, innej niż biologiczna.

Czytając polską prasę i media społecznościowe dostrzega się całe spektrum różnego rodzaju napięć występujących w

społeczeństwie. Pisze Bartłomiej Nowotarski – prawnik konstytucjonalista, że współczesne reżimy podzieliły społeczeństwa na dwie nowe klasy. Członkowie jednej mają głosować, a ich lojalność kupowana jest programami socjalnymi, a drugiej – „głosować i płacić na politykę”¹⁹. W innym artykule publicystycznym pisze Marcin Matczak – profesor prawa, że Polska się rozpadła na dwa plemiona – Postępowców i Tradycjonalistów. „Rozdziela ona Polaków na dwie grupy, z innymi barwami i totemami, innymi bogami i bohaterami.” Dostrzega też duże niebezpieczeństwo w tej metaforze, choć jednocześnie podkreśla, że przecież owe dwa plemiona pochodzą z jednego pnia²⁰. Na stronie portalu Kultury Liberalnej czytamy w tzw. leadzie: „Kluczową zmianą jest antagonizacja obywateli związana z narracją progresywności. Słowa premiera o tym, że «bogaci nie płacą za drogi», mają na celu wywołanie konfliktu społecznego i są po prostu nieprawdą.”²¹ To jedynie kilka przykładów publicystycznych prób analizy napięć społecznych. Powstają jednak pytania: co one stronom sporu dają? czy podpowiadają rozwiązania? Są raczej ilustracją zjawisk społecznych, a nie metod rozwiązywania napięć i problemów.

Podsumowanie: czy współczesne społeczeństwa radzą sobie z konfliktami?

W tytule zasygnalizowany jest zwrot „rozstrojone społeczeństwo”, który nie ma charakteru naukowego. Socjologowie od lat posługują się terminem anomii na określenie stanu społeczeństwa, „w którym system normatywny traci koherencję i zmienia się w chaos”²². Jednak, by powiązać zjawisko konfliktu ze współczesną specyfiką polskiego, choć nie tylko, społeczeństwa, potrzeba nowych terminów. Każdy człowiek jest „zdroworozsądkowym socjologiem”, ponieważ obserwuje swoje środowisko i dla własnych potrzeb formuje wnioski jego dotyczące. Dziś dodatkowo bez mała każdy może być także medialnym nadawcą, a więc ma możliwość wpływania, a nawet kształtowania poglądów innych, w zależności od tego jak radzi sobie w cybernetycznej przestrzeni. Nauki behawioralne dostarczyły ludziom wiedzy nie tyle o „pułapkach myślenia”, ale o tym, jak możemy poprzez to, że kierujemy się w swych decyzjach heurystykami, a więc stereotypami, uprzedzeniami czy generalizacjami, być kierowani, sterowani i manipulowani. Te i wiele innych społecznych zjawisk powoduje, że współczesne społeczeństwa nie są skonfliktowane, ale w jakiś sposób ‘rozregulowane’.

Rozstrojone społeczeństwo jest jak rozstrojony fortepian, a więc można go nastroić. Proces ten jest jednak jak miecz obosieczny. Nastrojony instrument dostarcza uszom estetycznych doznań, wydaje się, że otrzymujemy harmonię dźwięku. Jednak, jak się okazuje, fortepianu nie da się nastroić „(...) czysto, tak by jednocześnie nie było

żadnych przykrych dla ucha dudnień oraz by dało się na nim grać wszystko we wszystkich tonacjach”²⁴. Podobnie ze społeczeństwem, które jest rozstrojone, a więc znajduje się w stanie konfliktowości systemu aksjonoramtywnego, tak charakterystycznego dla XXI wieku, w którym wartości zostały zrelatywizowane, normy zindywidualizowane, autorytety zdeprecjonowane, a prawo jest względne. To powoduje, że konflikt, który był zjawiskiem towarzyszącym ludziom od początku istnienia, stał się „masowym”, czyli ma, jak media masowe, publiczny, powszechny dominujący charakter.

Czy wobec tego, można nastroić społeczeństwo, a więc wskazać możliwe sposoby radzenia sobie z tym rozpowszechnionym zjawiskiem jakim jest konflikt? Chyba tak, jak nie da się nastroić fortepianu, bo to instrument działający w „żywym środowisku”, tak przy pomocy żadnej z metod rozwiązywania sporów nie można wskazać modelu, który podpowie ludziom, co mają zrobić, by wszystkie rozregulowane elementy tkanki społecznej złożyć w jedną harmonijną całość.

Jednak, tak jak są stroiciele instrumentów, którzy sprawiają, że muzyka brzmi miło dla ucha, tak samo badacze konfliktów podpowiadają, jak osiągnąć przynajmniej zadowalający efekt. Rozwiązywać, zarządzać czy unikać? Każda z metod jest dobra, kiedy stworzy warunki do zachowania godności stronom sporu. Jest to możliwe, choć nie łatwe do osiągnięcia.

Przypisy:

1 Cytuję za: L. A. Coser, *Funkcje konfliktu społecznego*. Zakład Wydawniczy „NOMOS”, Kraków 2009, s. 15.

2 G. Simmel, *Conflict. The Web of Group - Affiliations*. The Free Press, New York, 1964, s. 13.

3 Marcin Król historyk idei w jednej ze swoich wypowiedzi powiedział, że demokracja polega na nikaniu konfliktu, że każdy konflikt może stanowić jej zagrożenie. Zob. Rozmowy na koniec wieku, t. II ZNAK: Kraków 1998 s. 1993. Wypowiedź Króla wydaje się kontrowersyjna, gdyż sama demokracja, której podstawą jest wolność sprzyja ujawnianiu konfliktów. Problemem demokracji, więc nie są konflikty jako takie, ale brak wystarczających umiejętności kierowania, panowania nad i rozwiązywania konfliktów. Demokracja dając możliwość formułowania otwarcie poglądów i opinii, nieukrywanie swojej odmienności sprzyja powstawaniu sytuacji trudnych zarówno pomiędzy jednostkami, jak i grupami ludzi. Demokracja jako pewna forma społecznego systemu, nie uniknie konfliktów, jednak ludzie żyjący w warunkach demokratycznych muszą poszukiwać sposobów radzenia sobie z nimi.

4 Zob. J. Kozielecki: *Koncepcje psychologiczne człowieka*. Wydawnictwo „Żak”, Warszawa 1997, s. 110 i dalsze

5 K. E. Bouilding: *Conflict and Defense. A General Theory*. Harper Torchbooks, New York 1962

6 J. Babiuch - Luxmoore: *Kościół i społeczeństwo w powojennej Europie Wschodniej*. [W:] *W biegu czy zawieszaniu? Ludzie i instytucje w procesie zmian*. Praca pod red. A. Frieske, W. Morawski. Wydawnictwo Instytutu Socjologii UW: Warszawa 1994, s. 21
7 Zob. M. Szpunar: *Kultura cyfrowego narcyzmu*. AGH Wydawnictwa AGH, Karków 2016.

8 Zob. M. Molęda _Zdzich: *Czas celebrytów. Mediatyzacja życia publicznego*. Difin, Warszawa 2013.

9 D. Antonowicz, Ł. Wrzesiński: *Kibice jako wspólnota niewidzialnej religii*. „Studia Socjologiczne”, no 1 (92), 2009, s. 115 – 149.

10 M. Hirszowicz: *Stąd, ale dokąd. Społeczeństwo u progu nowej ery*. Wydawnictwo Sic! Warszawa 2007, s. 142

11 E. E. Azar: *The Management of Protracted Social Conflict. Theory and Cases*. Dartmouth Publishing Company Ltd Ader-shot, England 1990, s. 6

12 Q. Wright: *The Nature of Conflict*, op. cit, s. 28

13 J. Galtung (1996). *Violence, War and the Aftermath: On Visible and invisible consequences of violence and what to do about Them*. (manuskrypt udostępniony przez Johana Galtunga autorce artykułu).

14 S. S. Gartner, M. M. Melin: *Assessing outcomes: Conflict management and the durability of peace*. [W:] J. Bercovitch V. Kremenyuk, W. Zartman (reds.). London, Sage Publications 2009, s. 564–579.

15 Zob. Np. Z. Bauman: *Płynna nowoczesność*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2006; U. Beck: *Społeczeństwo ryzyka. W drodze do innej nowoczesności*, Wydawnictwo SCHOLAR, Warszawa 2004.

16 G. Delanty: *Social Theory in a Changing World. Conceptions of Modernity*. Polity Press: Cambridge 1999, s. 5

17 M. Świątkiewicz - Mośny (2015), *Konstruowanie nowych tożsamości w warunkach globalizacji*. Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków, s. 10.

18 A. Honneth: *Walka o uznanie. Moralna gramatyka konfliktów społecznych*, Zakład Wydawniczy „Nomos”, Kraków 2012.

19 B. Nowotarski: *czy Kaczyński zatrzaśnie układ*. „Wolna Sobota” Magazyn Gazety Wyborczej, 29. 05. 2021, s. 24.

20 M. Matczak: *Jak posklejać filiżankę*. „Wolna Sobota” Magazyn Gazety Wyborczej, 30. 04. 2021, s. 2.

21 <https://kulturaliberalna.pl/2021/05/25/polski-lad-pis-for-dudek/> (dostęp 17. 06. 2021).

22 P. Sztompka: *Socjologia. Wykłady o społeczeństwie*. Znak Horyzont, Kraków 2021, s. 512.

23 D. Kahneman: *Pułapki myślenia. O myśleniu szybkim i wolnym*. Media Rodzinna, Poznań, 2012.

24 <http://www.matematyka.wroc.pl/w-muzyce/dlaczego-nie-da-sie-nastroic-pianina> (dostęp 18. 06. 2021).

ANNA SZKLARSKA



LIBERALNY KONSENSUS W ODWROCIE PERSPEKTYWA CHANTAL MOUFFE¹

Celem niniejszego artykułu jest zaprezentowanie najważniejszych założeń krytycznej wobec liberalizmu filozofii politycznej Chantal Mouffe, uchwycenie jej twórczych aspektów z jednej i najjaskrawszych słabości z drugiej strony. Jaki jest sens polityki? Czy możliwe jest porozumienie, czy też jest ono iluzją liberalizmu? Oto pytania, jakie stawia i do których nieustannie powraca filozofka. Centralną dla jej filozofii, o najdonioślejszych praktycznych konsekwencjach jest próba wykazania jałowości doktryny liberalnej, która dowartościowuje konsensus, deliberację, głosi apologię indywidualizmu i racjonalizmu. Diagnoza Mouffe uderza w najważniejsze liberalne wartości z zamiarem ich skompromitowania, choć inne, jak pluralizm, stara się twórczo zaadoptować. Proponuje nowy paradygmat, w swoim przekonaniu dużo uczciwszy niż dotychczasowe, ponieważ nie neguje on konfliktowej natury polityki. Czy rzeczywiście agonistyczny spór oraz radykalna demokracja mają szansę na podważenie liberalnej aksjologii? Czy mamy do czynienia z przełomem w myśleniu o polityce?

Na przestrzeni dziejów teorie liberalne podlegały różnym rewizjom. Pewne hasła ideowe okazały się jednak niezmiennie. Wśród najważniejszych z nich wymienić należy: indywidualizm, wolność, gospodarkę wolnorynkową, prawo, demokrację, egalitaryzm, uniwersalizm, postęp, konsensus. Tymczasem podejście współczesnej filozofki Chantal Mouffe wyklucza projekt polityki demokratycznej bez konfliktów, krytykuje ideał pojednanego społeczeństwa obywatelskiego jako z gruntu fałszywy. W jej wizji nie ma partnerów czy stron sporu, nie ma optymalizacji rozwiązań i sieci kompromisów, horyzont pokojowych debat czy abstrahowania od własnego egoizmu (por. Rawls) ustępuje nowemu modelowi, w którym polityka jest walką o hegemonię pomiędzy grupami z konieczności rywalizującymi między sobą. Relacja partnerska zostaje zastąpiona relacją hegemoniczną. Mouffe, zatroskana o przyszłość demokracji, proponuje zastąpić podejście normatywne i ugodowe - realistycznym. Demokracja nie tyle usuwa konflikt, co sprzyja jego ucywilizowaniu, poskromieniu barbarzyńskiego charakteru konfliktu. Kolejne założenie jest następujące: im większy pluralizm na scenie politycznej, tym słabsza (choć nieuchronna) hegemonia najsilniejszej frakcji. Mamy tu do czynienia z nową formą emancypacji, niekoniecznie uwikłanej w ekonomizm i podział własności, jak wcześniej proponował Marks. Mouffe odrzuca marskistowski topos walki klasowej jak również jego ekonomizm jako horyzont dla swoich rozważań. Gospodarka jest jej zdaniem jedną z wielu dziedzin ludzkiej działalności, w której szczególną rolę odgrywają operacje językowe. Wykreowanie robotników przemysłowych na wybawicieli ludzkości, lub co najmniej na dominującą siłę polityczną udało się dzięki odpowiedniemu dyskursowi. Mouffe pomniejsza rolę ekonomicznych zależności, a podkreśla znaczenie specyfiki językowej konstrukcji świata społecznego. To dość znaczące różnice pomiędzy koncepcją Marksa a Mouffe. Jednocześnie jest otwarcie niechętna współczesnemu konsumpcjonizmowi i globalnym nierównościami, oskarżając neoliberalizm o ich umacnianie.

Mouffe, mając świadomość różnic w obrębie samego nurtu liberalnego, stawia mu jednak uniwersalny zarzut, iż dominująca w nim tendencja stanowiąca połączenie ideałów racjonalizmu i indywidualizmu „utrudnia adekwatne zrozumienie pluralistycznej natury rzeczywistości społecznej, z konfliktami, jakie pluralizm za sobą pociąga, konfliktami, dla których nie może istnieć żadne racjonalne rozwiązanie.”² Filozofka uważa, że liberalizm ze swej istoty lekceważy, by nie rzec więcej: neguje antagonistyczny wymiar każdego społeczeństwa i karmi się mrzonką o możliwości osiągnięcia powszechnego, opartego na rozumie konsensusu. Co więcej, liberalizm „nie jest w stanie uchwycić natury demokratycznej polityki”³. Z tych samych powodów – opierając się na metodologicznym indywidualizmie traci możliwość wglądu w proces tworzenia tożsamości zbiorowej, zbiorowych form identyfikacji. Niezależnie od tego, który model przyjmuje – racjonalności instrumentalnej (opartej na idei rynku przeniesionej do polityki) czy zyskującej na popularności racjonalności komunikacyjnej (deliberacyjnej) pomniejsza, a nawet pomija rolę namietności, afektów, irracjonalnych sił, które nierzadko decydują o kształcie polityki. Tym samym liberalizm zaprzecza istocie polityki, którą stanowi spór, konflikt, antagonizmy. Nie ma i być nie może żadnego trwałego, racjonalnego czy moralnego konsensusu, osiąganego dzięki szlachetnej debacie, w której zwycięża siła argumentów, finalnie jednoczących wszystkich – przekonuje filozofka. Co więcej, każda tożsamość ma charakter relacyjny, warunkiem każdej tożsamości jest istnienie różnicy pomiędzy zbiorem własnych celów, przekonań, wartości a zbiorem idei odmiennych. Czasem jest to relacja przyjaciel-wróg, innym razem, w słabszej wersji: dychotomia my-oni. Oczywiście korzystniej jest, gdy mamy do czynienia z tym drugim wariantem. W każdej relacji tlą się potencjalne bądź faktyczne antagonizmy, ponieważ ludzie różnią się w swoich interesach i światopoglądach, ale nie na poziomie jednostek, lecz grup (poszczególne jednostki łączy pokrewieństwo z jednymi i dzieli przepaść z innymi). Czy stanowisko to, zakładające kolektywny charakter tożsamości nie wydaje się intrygująco zbliżone do konserwatyizmu? Nie, ponieważ dla Mouffe tożsamości, choć konstruowane dzięki sile różnicy, w opozycji do odległych nam jakości i idei, same w sobie są czymś płynnym, nietrwałym, przygodnym, co łatwo ulega dekonstrukcji. Nie mają żadnych silnych korzeni, nie są istotowe, z góry dane.

Mouffe wychodząc z założenia, że wspólnota nie jest dana, lecz tworzona, że istnieje pewien niezagospodarowany obszar w przestrzeni społeczno-kulturowej, który wielu próbuje skolonizować - inspiruje się Bourdieu. Analiza Mouffe prowadzi do wniosku, że poszczególne jednostki wydają się być skazane na stanowienie obiektu manipulacji. Jej ujęcie to próba przeprowadzenia gruntownej rewizji tradycji marksistowskiej.

Nie jest ona jednak kolejną odsłoną postmarksizmu, który zakłada, że społeczna integracja ma swoje korzenie w podejmowanych przez jeden sektor społeczny usiłowaniach, by reprezentować wszystkie pozostałe sektory. Mouffe owszem zakłada możliwość zmiany tożsamości rozmaitych grup, tak, by ich żądania były ze sobą skorelowane (przy zachowaniu odmienności i równoważności)⁴ a nawet ustanowienie mniej lub bardziej trwałego nowego porządku za sprawą momentu hegemonicznego, występującego w demokracji radykalnej. Uznaje jednak, że niemożliwe jest funkcjonowanie społeczeństwa jako pokojowej całości, skupionej wokół dominującej grupy, zjednoczenie wokół jednego, prymarnego celu.⁵ Broni zasady demokratycznego pluralizmu. Jako obywatele, tworzący rozmaite polityczne podmioty, angażujemy się w wiele różnorodnych przedsięwzięć, radykalnie odmiennie postrzegamy swoje interesy. Zdaniem Mouffe polityczna wspólnota jest konstruowana na sposób hegemoniczny, co oznacza, że istnieje hegemon (zawłaszczający choćby język) i wiele mniejszościowych grup, niejednokrotnie wykluczonych, bez dostępu do władzy. Niemniej jednak one są i swoim istnieniem wpływają na rzeczywistość.

Propozycja belgijskiej filozof jest następująca: należy oswoić konflikt, zamiast podejmować starania, by go zlikwidować, zastąpić antagonizm - agonizmem opartym na relacji my-oni, „w której każda z przeciwnych stron, choć przyznaje, że nie istnieje żadne racjonalne rozwiązanie ich konfliktu – uznaje prawa swego oponenta”⁶ Chodzi o wzajemne poszanowanie faktu, że konflikt dzieje się we wspólnej przestrzeni symbolicznej, bez nastawienia na poszukiwanie wspólnego rozwiązania, „trzeciej drogi”, uniwersalnego spojrzenia na problem. Konsensus się nie wyłoni, ale nie oznacza to, że drugą stroną można znieważać, upokarzać, wyszydzać, lub traktować z pogardą. Agonistyczna konfrontacja nie stanowi apologii ordynarnej przemocy, choć należy przyjąć, że przestrzeń publiczna opiera się na pewnej hegemonii, poszczególne struktury mają różny charakter i zasięg wpływów (widać tu wyraźne inspiracje Marksem z jednej, a Schmittem⁷ z drugiej strony). Promowany przez Habermasa projekt sytuacji komunikacyjnej, sprzyjającej deliberacji i mającej racjonalny charakter nie jest po prostu nieszkodliwą, choć błędną teorią, lecz czymś dużo niebezpieczniejszym - utopią roszczącą pewne pretensje do urządzania rzeczywistości podług określonego wzorca.

Chodzi jej o to, by konflikty przybrały formę agoniczną, to znaczy sporu dużo łagodniejszego niż antagonistyczna wojna pomiędzy przedstawicielami wrogich sobie cywilizacji. Nie zgadza się z tymi, którzy dochodzą do wniosku, że jedynym sposobem na zapobieżenie wojnie domowej jest porządek autorytarny. Spiera się także z poglądem „że ustanowienie demokracji wymaga westernizacji i broni tezy, że ideał demokratyczny może w różnych kontekstach przybierać róż-

ne formy.”⁸ Pragnienie przeniesienia zachodniego liberalnego modelu demokracji na cały świat, zuniwersalizowanie wartości i celów uderza w podstawową prawdę o ludzkiej kondycji, która zasadza się na wolności. Aby być wolnym człowiek musi mieć wybór, pomiędzy realnymi odmiennymi perspektywami życia w jego każdym wymiarze. Tymczasem instytucje regulujące relacje międzynarodowe domagają się jednolitości. Mouffe przeciwstawia się uniwersalistycznym przesłankom, mrzonkom o prawdziwie globalnym świecie bez granic czy narzucaniu niektórym państwom wypromowanych jako jedynie słusznych rozwiązań systemowych. Pojedyncze regiony mają swoje swoiste problemy, tradycje, schematy myślowe, sposoby wartościowania, dlatego odmienne lokalne modele demokracji powinny być akceptowane.⁹ Nawet jeśli ich pokojowe współistnienie nie zawsze jest możliwe i skazuje ludzi na nieustanną rywalizację o wpływy. Mouffe krytykuje negatywny obraz walk lokalnych i narodowych zarysowany przez Antonio Negri w Imperium.¹⁰ Przede wszystkim wykpiwa charakterystyczne dla liberałów przekonanie o swojej moralnej wyższości i uznanie modelu demokracji liberalnej jako jedynego właściwego dla cywilizowanego, współczesnego świata. Jak pisze: „demokracja rozumiana jako rządy ludu może przyjmować inne formy – na przykład takie, gdzie większe znaczenie niż wolność jednostkowa mają wartości wspólnotowe. Zgodnie z poglądem dominującym (...)moralny postęp wymaga akceptacji zachodniego modelu liberalnej demokracji, bo jedynie ona dostarcza ram instytucjonalnych dla wprowadzenia w życie praw człowieka. Należy tę tezę odrzucić, co jednak nie oznacza konieczności porzucenia idei praw człowieka.”¹¹ Mouffe poszukuje funkcjonalnych ekwiwalentów pojęcia praw człowieka w innych kulturach, zasadzających się na rozmaitych tradycjach i wartościach, gdzie kluczowe decyzje podejmuje się mniej indywidualistycznie.

W niektórych fragmentach filozofka wydaje się nadszperkowanie zgodna z liberałami, dla których pluralizm jest niekwestionowaną wartością. Z drugiej strony wprowadza kategorię hegemonu, a jak wiadomo ta jest na ogół rozumiana jako umiłowanie jednolitości: jednolitego obrazu świata, wartości, prawa. Każda hegemonia rozbudza apetyt na coraz większą przewagę jednego wzorca kulturowego i społecznego. Jednak w ujęciu Mouffe hegemon jest figurą opisującą status quo, ale bynajmniej nie totalnie inkluzywną. Jej pragnieniem jest, aby wykluczona reszta, kwestionująca hegemoniczną perspektywę i nie wpisująca się w jej program działania, została dostrzeżona i dowartościowana. Należy jej się szacunek również z pragmatycznych względów – dzisiejszy inny jutro sam może zostać hegemonem. Dlatego warto, by reguły politycznej gry były przez wszystkich przestrzegane.

W przekonaniu Mouffe demokracja deliberacyjna zaprzecza samej rzeczywistości, forsując model, który nie bierze pod uwagę konfliktogennej natury polityki. „Konflikt, wrogość nie mają żadnych racjonalnych przyczyn – są po prostu podstawową formą istnienia społeczeństwa”¹². Liberałowie karmią nas iluzją, że konflikt może być przełamany, rozstrzygnięty przy wykorzystaniu siły racjonalnych argumentów, jest to jednak złudzenie, które może spowodować intensyfikację konfliktów ideowych z jednej oraz rozrost biurokratycznych instytucji stanowiących fasadowy bufor z drugiej strony. Zamiast opowieści o ostatecznym wyrugowaniu wrogości i podziałów lepiej byłoby przyjąć do wiadomości brak porozumienia w wielu kwestiach, ale jednak przemianować znienawidzonego wroga w godnego przeciwnika, a wojnę zastąpić walką, która ma pewien etos. Gdy fundamentalne przekonania stoją ze sobą w sprzeczności, poszukiwanie wspólnego mianownika przestaje być możliwe. Tak dzieje się w sprawie sporu o zakres legitymizacji aborcji czy praw związków nieheteroseksualnych. Z drugiej strony pozorny, szeroki konsensus, powodujący wrażenie silnego centrum powoduje wzmocnienie ruchów skrajnych, populistycznych, jako wyrazistych, bardziej przekonujących, gdyż wiarygodnych i żywotnych, stroniących od gładkich, politycznie poprawnych przekazów wywołujących niefortunne skojarzenia z zabiegami marketingowymi. Polityczne centrum operuje bowiem na sloganach, ogólnych frazesach stanowiących zestaw haseł nie budzących ani kontrowersji, ani emocji, kiedy polityka to pulsujący spór pomiędzy różnymi wizjami dobrego życia. Demokracja radykalna jaką proponuje Mouffe radykalizuje liberalizm, wielość łącząc z konfliktem, ponieważ takie są wyzwania nowoczesności, w której zdaniem filozofki fasadowe instytucje coraz bardziej się kompromitują, gdyż nie oferują realnych rozwiązań.

Tymczasem istotą demokracji jest konflikt stanowisk, Mouffe bynajmniej nie rezygnuje z idei pluralizmu jako ważnego komponentu demokracji. Konflikt nie stanowi anomalii, zagrożenia, które należałoby natychmiast wyrugować. Jak pisze Maciej Gdula: „Konflikt dzieli, ale także łączy ludzi ze sobą, dając im poczucie uczestnictwa w walce politycznej i doświadczenie sprawczości. Zamiast wykluczenia oferowanego przez bezkonfliktowe modele pragnące skończyć z polityką mamy do czynienia z polityczną partycypacją w wytwarzaniu wspólnego świata.”¹³ Jako obywatele proponujemy różne, alternatywne koncepcje urzędzenia świata społecznego, wszystkie one powinny być przedstawiane, rozważane i poddawane krytyce, należy jednak zapytać: ale jak, jeśli nie w ramach toczącej się debaty, dyskusji? Mouffe jest programowo niechętna deliberacji jako przedsięwzięciu jałowemu, jednakże zakłada, że gwarantem suwerenności obywateli jest możliwość wyboru przez nich jednej z wizji rzeczywistości społeczno-politycznej spośród zaproponowanych, konkurują-

cych ze sobą modeli. Tylko o ile wszystkie będą miały szansę wybrzmieć, będą stanowić realną alternatywę. Mają być prezentowane i dyskutowane nie jako punkt wyjścia dla osiągnięcia konsensusu, nowej jakości, która wyłoni się z dotychczasowych propozycji, lecz z pełną świadomością, że wybór jednego z modeli wyklucza realizację innych. Wybór jednego modelu oznacza (być może tymczasowy) upadek innego. Należy się z tym pogodzić.

Mouffe celnie zauważa, że polityczność zająbia się z moralnością, a problemy polityczne są cynicznie rozgrywane w rejestrze moralności. Nie oznacza to, że porzucona zostaje dychotomia my-oni, ta nadal obowiązuje, ale zostaje wypuklona w kontekście etycznym. Zmienia się język sporu, który nabiera moralnego charakteru. Walka right and left zastąpiona zostaje walką right and wrong, nie pytamy o społeczne i ekonomiczne skutki aborcji, polityki równościowej czy dekomunizacji, lecz spieramy się o ich moralną ocenę. Takie podejście legitymizuje brutalnie prowadzoną walkę, która przestaje mieć pragmatyczny charakter, a staje się walką o sprawiedliwość. Z takiej walki trudno się wycofać, nie chodzi w niej bowiem po prostu o korzyść czy interes, ale o zwycięstwo dobra nad złem, o to, kto ma rację w sporze o przyszłość ludzkości. Stawka, o jaką się walczy, może przyprawić o zawrót głowy.

Możemy się zastanawiać do jakiego stopnia Mouffe jest myślicielką oryginalną, jak dalece wychodzi poza prostą kompilację teorii polityczności określającej podział na przyjacielela i wroga Carla Schmitta, zmodyfikowaną teorię walki klas Marksa i paradygmat poststrukturalistyczny.

Każda filozofia, która zyskuje pewną popularność skłania ludzi do refleksji i do pewnego stopnia przekłada się na praktyczny wymiar życia społecznego, politycznego czy kulturowego. Przykładowo filozofia moralna Kanta sprzyjała upowszechnieniu przekonania o konieczności poszanowania godności każdego człowieka, stała się podstawą koncepcji uniwersalnych praw człowieka, jego filozofia polityczna zaś promująca ideę pokojowego sojuszu wielu narodów stanowiła podwaliny projektu Unii Europejskiej. Filozofia Marksa wyewoluowała w liczne nurty, które były ideową podstawą wszechświatowej rewolucji proletariackiej, a Herberta Marcuse przyspieszyła, jeśli nie uitorowała drogę XXwiecznej rewolucji kulturowej. Trudno byłoby sobie wyobrazić filozofię kapitalizmu bez teorii Adama Smitha czy współczesny feminizm bez wpływu Simone de Beauvoir. Mouffe głosi, że nie ma potrzeby wyrugowywania zasadniczych konfliktów z polityki, bo to one stanowią jej istotę. Ostatecznie zwycięża dyskurs, który ma przewagę językową, liczebną, instytucjonalną, medialną, przy czym zwycięzca nie musi liczyć się z racjami przegranego w tym ideowym pojedynku, lecz może z całą energią oddać się realizowaniu swojej wizji państwa i rozumienia dobrego życia w nim. Można się jednak zastanawiać

czy w takiej sytuacji walka polityczna nie staje się walką o wszystko, na śmierć i życie. Przegrana musi bowiem oznaczać oddalenie się (przynajmniej na jakiś czas) w polityczny niebyt, a to, czego możemy być pewni, to że nikt nie będzie naprawdę zainteresowany wysłuchaniem naszych argumentów. Takie podejście może umacniać populizm i sprzyjać ordynarynym manipulacjom i retorycznym sztuczkom w dziedzinie, której podstawą powinno być prawo, rozważa, dbałość o dobro wspólne, międzyludzka solidarność. Stawka jest bowiem wysoka, a hegemonia wyklucza współpracę. Nie bez powodu Książę Machiavellego działał w pojedynkę, tu także inne racje, perspektywa, wartości przestają się liczyć. Pochwała pluralizmu wydaje się być pozorna. W demokracji deliberacyjnej, jak wiadomo nie chodzi o to, że rządzi większość.

Liberałowie wierzą, że miarą postępu społecznego jest osiąganie coraz bardziej złożonych perspektyw. Już w latach 40tych XX wieku jeden z najbardziej błyskotliwych filozofów liberalizmu Karl Popper wskazywał na słabości tradycyjnego rozumienia demokracji jako woli większości. Popper chwalił system, w którym zagwarantowane jest poszanowanie prawa, niezależne sądownictwo, kontrola społeczna wymuszająca odpowiedzialne rządy, sprzyjający swobodnemu rozwojowi społeczeństwa obywatelskiego. Popper podkreślał także, że fundamentalna dla demokracji jest możliwość bezkrwawej zmiany władzy. Instytucje demokratyczne umożliwiają pozbycie się nieudolnej władzy bez rozlewu krwi i podsywania wewnętrznych napięć. Chodzi przecież o poszukiwanie najlepszych rozwiązań, o dialog, o podjęcie wysiłku próby zrozumienia odrębnej perspektywy.

Marks zakładał, że zjednoczenie się całej ludzkości w jednej, braterskiej społeczności, w której nie będzie podziałów na klasy ani walk pomiędzy nimi będzie ostateczny etap rozwoju dziejów. By ten upragniony moment nastąpił konieczna jest uprzednia rewolucja proletariacka, którzy wyzwalać siebie - wyzwolą całą ludzkość i nie zawahają się przy tym użyć najbardziej radykalnych środków, w imię wyższego celu, upragnionego, choć jak się okazało utopijnego „królestwa wolności”. Tymczasem nie zapominajmy, że Mouffe to filozofka rewidująca pewne założenia Marksa, ale pozostająca w orbicie marksizmu, choć operująca złagodzonej językiem – współzawodnictwo i przemoc nazywa „stałą możliwością”. Filozofka myśli w kategoriach walki pomiędzy stronnictwami i zarazem prezentuje pełen ironii stosunek do klasycznego liberalizmu. Przekonuje, że opiewająca racjonalność demokracja liberalna wyczerpała się i skompromitowała, także poprzez paradoksy, w które popada. Z jednej strony liberalizm miałby się opierać na naiwnym, zbyt optymistycznym, wyidealizowanym obrazie ludzkiej natury, z drugiej uzasadniać potrzebę konsensusu obawą przed wojną (jeśli się nie porozumiemy, pozostaje nam tylko walka). Czego jednak mielibyśmy się

obawiać, skoro jesteśmy istotami społecznymi, wyraźnie sobie życzliwymi? można byłoby kpiąco zapytać. Jeszcze bardziej paradoksalny charakter wydaje się mieć jednak propozycja samej Mouffe. Co prawda relacja hegemoniczna stanowiąca podstawę proponowanego przez nią porządku do pewnego stopnia oddala atmosferę nieustannej walki politycznej i społecznej (w imię zasady, że zwycięzca bierze wszystko, ustala hierarchię, przejmuje pełną odpowiedzialność polityczną), ale zarazem na niej właśnie się opiera. Na tym polega prawdziwy „paradoks demokracji”, która na poziomie praxis ma charakter demokracji radykalnej, a nie żadnej innej. Hegemonia jest pozornym gwarantem ładu, ustanowienie takiego wartościowania sprowadza politykę na ścieżkę irracjonalnej, a zarazem bezwzględnej wojny legitymizowanej strachem przed zwycięstwem przeciwnika. W założeniu filozofki agonizm ma służyć stonowaniu antagonizmu, ale centralna dla jej myśli figura hegemonu bynajmniej temu nie sprzyja.

Teoria Mouffe jako diagnoza politycznej rzeczywistości może się w kontekście niektórych zjawisk wydawać słuszna. W Polsce poszczególne stronnictwa nie są zainteresowane dialogiem, wzajemnym szacunkiem i poszukiwaniem kompromisu, lecz wyeliminowaniem odmiennej perspektywy i tych, którzy ją proponują z życia publicznego. I tak przedstawiciele różnych środowisk ideowych nie rozmawiają ze sobą, lecz wysuwają oskarżenia wobec oponentów, a jakiegokolwiek interakcje z przedstawicielami „wrogiego” obozu traktują jako okazje do wykazania swej wyższości (moralnej, ekonomicznej, kulturowej) – przy czym każda ze stron inaczej ową przewagę rozumie i definiuje (liberałowie skłaniają się ku wyróżnianiu praworządności, tolerancji i różnorodności, a konserwatyści skupiają się na apologii wysokich standardów moralnych). Tymczasem konstruktywny dialog nie może opierać się na chęci poniżenia przeciwnika, pysze i przekonaniu o własnej nieomyślności. Prowadzi ona często do medialnych manipulacji, ułatwiających pograżenie przeciwnego obozu i zachowanie spójności narracji za wszelką cenę. Nikt nie jest zainteresowany autentycznym dialogiem, chodzi o to, by wszystkie przesłanki jednoznacznie potwierdzały podział na zły i dobry obóz polityczny. W ten sposób jednak budowanie wspólnoty, wspólne działania stają się coraz bardziej nierzeczywiste i abstrakcyjne.

Ostatecznie nie ma żadnej neutralnej płaszczyzny, która stworzyłaby warunki dla porozumienia, pogodzenia sprzecznych interesów – dowodzi Mouffe. Można by jednak zapytać dlaczego uniwersytety i naukowe instytucje nie mogłyby służyć chłodnej, obiektywnej, racjonalnej debacie, w której stawką będzie poszukiwanie prawdy, metodą przedstawianie rzetelnych argumentów, a wszelkie inne cele zostaną uznane za niegodne. Mouffe zasłonegła niewiedzy Rawlsa, która miała by służyć zawieszeniu sporu i umożliwić rozstrzygnięcie go

poniekąd w oderwaniu od tego kim się jest i do czego dąży uznaje za sztuczną konstrukcję. Oderwany od rzeczywistości eksperyment myślowy. W rezultacie jednak prowadzi nas to do odrzucenia idei demokracji dialogicznej i samego dialogu jako podstawy ustroju demokratycznego.

W każdym razie koncepcja Mouffe nie jest wprost normatywna, lecz deskryptywna i na tym polega pewna jej wartość, to błyskotliwy opis polityki i jej mechanizmów w społeczeństwie demokratycznym podzielonym w sporze wokół wartości. Jednakże Mouffe pragnie być przede wszystkim teoretyką polityki, zwracającą uwagę na pewne niepokojące zjawiska i tendencje, które mogą mieć także negatywne konsekwencje dla samej demokracji. Za najgroźniejsze uznaje mieszanie porządku oraz języka politycznego z etycznym. Definiowanie oponentów niezgodnie ze stanem faktycznym, tzn. nie jako oponentów politycznych, którymi w istocie są, lecz w perspektywie moralnej prowadzi do tego, że nie traktuje się ich jako przeciwników, lecz jako wrogów, których można a nawet należy wyeliminować.

Myślicielka nie jest wyłącznie obserwatorem, stawia pewne postulaty, podważające sens dotychczasowego modelu ekonomiczno-politycznego, realizowanego w ramach systemu zachodniej liberalnej demokracji. W swoim myśleniu jest wyraźnie bliska poglądom Herberta Marcusa (do którego wprost jednak nie nawiązuje), przeciwna kulturze rozbuchanego konsumpcjonizmu, neoliberalnej gospodarce stanowiącej kontynuację dawnego kolonializmu i prowadzącej do podziału na kraje biedne, wyzyskiwane i bogate, wyzyskujące. Gotowa jest zaakceptować gospodarczy protekcjonizm i przewartościową niesprawiedliwy podział na kraje biedne i bogate radykalną rewizję globalnych relacji handlowych. Czy pragnąca przekonać swych czytelników, że potrzebują alternatywy myślicielka z Belgii ma szansę wpłynąć na światową geopolitykę w wymiarze gospodarczym? Skądinąd wiemy przecież, że „idee mają konsekwencje” (jak przekonywał Richard Weaver), co stało się widoczne np. po wydaniu „Anarchii, państwa, utopii” Roberta Nozicka, która wpłynęła na politykę Margaret Thatcher i Ronalda Reagana.

Każdej doktrynie możemy postawić pewne zarzuty. W modelu komunitarystycznym wspólnota zamyka się we własnych granicach, gubi otwartość na rozwój, a jej wartości są podporządkowane naczelnemu, choć nieśmiało wyrażanemu celowi: unifikacji społeczeństwa. Sami komunitarianie przedstawiają się jako obrońcy zagrożonej tradycji. Co prawda z życzliwością odnoszą się do indywidualnego odzwierciedlenia narracji wspólnoty, ale zasadniczo niechętni są głębszym różnicom w jej obrębie. Tymczasem tożsamość kon-



stytuowana przez różnicę (nazwijmy ją umownie liberalną) jest dużo ambitniejszym projektem i Mouffe ma tego świadomość. A jednak wymierza swe działa w projekt liberalny (jako ostatecznie utopijny) i tym samym osłabia liberalizm. Jest to o tyle dziwne, że cel jaki chciałaby osiągnąć wydaje się bliski liberalnemu podejściu. Pragnieniem Mouffe jest przekształcenie wrogów w adwersarzy, ocieplenie, udomowienie antagonizmu przez przemianowanie go w agonizm. Ma się to odbyć bynajmniej nie tylko na poziomie językowym i deklaracyjnym, ale dzięki respektowaniu formalnych wymogów procedury demokratycznej przez wszystkich zaangażowanych w spór. Jak wiadomo liberałowie mają wielki szacunek dla prawa, określonego przez sztywne, formalne ramy i wymogu jego przestrzegania jako buforu przed przemocą, upokorzeniem, szyderstwem, wyzyskiem czy kradzieżą. W ujęciu Mouffe na plan pierwszy wysuwa się jednak inny cel: umyć jałowej deliberacji.

1. Artykuł jest skróconą i nieco zmodyfikowaną wersją tekstu „The problems with liberal consensus. Agonistic politics according to Chantal Mouffe”, który ukazał się w czasopiśmie „Argument. Biannual Philosophical Journal” vol. 10 no.1/2020

2. Ch. Mouffe, *Agonistyczne przestrzenie publiczne i polityka demokratyczna*, tłum. Jakub Maciejczyk, [w:] *Recykling idei*. Pismo społecznie zaangażowane, listopad 2005, <http://recyklingidei.pl/mouffe-agonistyczne-przestrzenie-publiczne-polityka-demokratyczna>, DOI 24.06.2020

3. Tamże.

4. Zob. E. Laclau, Ch. Mouffe, *Hegemonia i socjalistyczna strategia. Przyczynek do projektu radykalnej polityki demokratycznej*, tłum. S. Królik, Dolnośląska Szkoła Wyższa, Wrocław 2007, s.193.

5. Zob. Ch. Mouffe, *The Return of the Political*, London-New York 1993, s.20, 66-68.

6. Tamże.

7. Zob. C. Schmitt, *Pojęcie polityczności* [w:] tenże, *Teologia polityczna i inne pisma*, przeł. M.A. Cichocki, Warszawa 2000, s.198 i dalsze.

8. Ch. Mouffe, *Agonistyka. Polityczne myślenie o świecie*, Warszawa 2015, s. 13.

9. Por. Ch. Mouffe *Polityczność*, Przewodnik Krytyki Politycznej, Warszawa 2008, s. 47.

10. Tamże, s. 131.

11. Ch. Mouffe, *Agonistyka. Polityczne myślenie o świecie*, op. cit., s.42-43.

12. L. Koczanowicz, *Antagonizm, agonizm i radykalna demokracja. Koncepcja polityki Chantal Mouffe*, [w:] Ch. Mouffe, *Paradoks demokracji*, Wrocław 2005, s.8.

13. M. Gdula, *Nie bójmy się konfliktu* [w:] *Polityczność. Chantal Mouffe. Przewodnik Krytyki Politycznej*, s.13.

JÓZEF LIPIEC



PROLEGOMENA FILOZOFII PARTYCYPACJI

Z ałożenia i kategorie

1. W warstwie teoretycznej problematyka partycypacji skupia się na kwestii modalności ontologicznej, antropologicznej i aksjologicznej, skoncentrowanej w pytaniu „j a k?": jak być człowiekiem (pełnym, wolnym i twórczym), a więc jak być w świecie nieprzebranej złożoności, w którym niepodobna być zamkniętą w sobie monadą? I dalej: jak uczestniczyć w różnych formach i na różnych szczeblach życia wspólnotowego, w konsekwencji zaś jak budować uniwersalną, gatunkową wspólnotę wspólnot, zarazem też wspólnotę indywidualów. W warstwie aplikacyjnej chodzi o zarysowanie dróg możliwych rozwiązań praktycznych, ale również przestróg przed wyborem niemożliwości lub po prostu rozwiązaniem zbyt kosztownym i szkodliwym. Każde teoretyczne „jak być” ma bowiem szansę uzyskać wzmocnienie poprzez odwołanie się do argumentu empirycznego, czyli do nagromadzonych w dziejach faktycznych urzeczywistnień, ale i najbardziej tragicznych błędów.

2. Założenia niniejszych rozważań mieszczą się w koncepcji trójwarstwowej struktury ludzkiego świata i tym samym trójznaczności pojęcia „człowiek”. Występuje on mianowicie, po pierwsze, jako *i n d y w i d u u m*, odpodające Arystotelesowskiej substancji, a także myślącemu podmiotowi nowożytnej filozofii (od Kartezjusza i Leibniza i Kanta, po Husserla i egzystencjalistów). Po wtóre, człowiek jest *b y t e m z b i o r o w y m* żyjącym z zasady gromadnie i poszukującym maksymalnie sprawnej i bezpiecznej konstrukcji systemowej (na przykład w państwie). Po trzecie, człowiek jest *b y t e m g a t u n k o w y m*, rozciągniętym na ludzkość całą, ale i na dzieje gatunku jako wielopokoleniowej ciągłości. Problemem ontologicznie i antropologicznie doniosłym staje się tedy zskreślenie pola możliwości jednolitej konstrukcji, zapewniającej równoczesną partycypację jednostek na poziomach społecznym i gatunkowym, partycypację społeczności w budowaniu bytu gatunkowego ale i bytów jednostkowych zarazem oraz partycypację praw i sił gatunkowych w konstrukcji obiektów indywidualnych i zbiorowych. Projekt przyjmuje zatem, iż zadaniem filozofii partycypacji jest przedstawienie uczestniczącej roli człowieka w szerokim planie *k o n k r e t y z a c y j n y m* na pewno zaś przekraczającym horyzonty rozmaitych abstrakcji, które sięgają wyłącznie do klasycznych relacji między jednostką a społeczeństwem (zwłaszcza z naciskiem na partycypację polityczną lub kulturową).

3. Niektóre wątki autor podjął we wcześniejszych publikacjach, przede wszystkim w książkach „Podstawy ontologii społeczeństwa” (1972), „Wolność i podmiotowość

człowieka” (1997), „Światwartości” (2001)/ „Kołoetyczne” (2005), „Drogi życia” (2020) i „My – ludzie” (2021). Zagadnienie partycypacji czyli „jak być?” wydaje się w tym ujęciu problemem zupełnie nowym.

4. Założenie innego rodzaju kryje się w przyjęciu *dynamicy natury bytu*, kiedy to zasadniczą rolę odgrywają takie związki przyczynowo - skutkowe, w obrębie których gwarantowana jest *względna wolność* działających obiektów, a na pewno ludzkich podmiotów, ale zarazem ich podatność na stosowne czynniki adaptacyjne i autokreacyjne w ramach ciągłych, nieprzerwanych zmian, tudzież stałych repetycji zarazem. Chodzi tedy (a) o zbadanie jakości i zasięgu ludzkich dyspozycji i szans na względnie swobodną autokreację indywidualną, (b) zbadanie podobnych zdolności w wydaniu podmiotów zbiorowych (zwłaszcza w obszarze rozwiązań cywilizacyjnych i humanizacyjnych) oraz (c) o wskazanie perspektywy i rozmiarów odpowiedzialności indywidualnej i zbiorowej za podejmowane tu i teraz rozstrzygnięcia w historiozoficznej skali gatunkowej. Inaczej mówiąc, przesłanką podjętych wywodów staje się myśl o aktywistycznych dyspozycjach człowieka, oraz o konieczności uruchomienia *partycypacyjnej woli*, niewykluczone, iż w rozmiarach rozszerzającego się repertuaru praw natury.

5. Filozofia partycypacji skoncentrowana jest, z jednej strony, na analizie i krytyce koncepcji antypartycypacyjnych, izolacjonistycznych, kwietystycznych, pasywistycznych i skrajnie indywidualistycznych, nie włączając monadyzmu i i wszelkich odmian metafizyki atomistycznej. Z drugiej zaś chodzi o wskazanie sojuszników filozofii partycypacyjnej, zarówno jawnie sprzyjających postawom świadomego uczestnictwa i kreacyjnym ambicjom człowieka, jak i koncepcjom zawierającym pośrednio wyznaczającym prezentowane tendencje. Aspekt historyczno - porównawczy i filozoficzno - krytyczny stanowi jednak tylko uverture dla zasadniczego wyводу, który powinien mieć charakter *systematyczny*, z dominującą metodologicznie *syntryczną refleksją fenomenologiczną*. Rozważania główne poświęcone będą tedy nie tyle formule drobiazgowej rekonstrukcji przyczynków i śladów konstruowanej teorii, ile samodzielnie prowadzonemu wywodowi, czyli możliwie wszechstronnej *obronie hipotezy partycypacyjnej*. Część argumentów wydaje się znana, albowiem weszła już dość dawno do krwioobiegu filozoficznej debaty (i naukowej także). Dotyczy to, na przykład, pozycji antycznej kategorii *zoon politikon*, albo renesansowej *societas civilis*, dialektyki Hegla i Marksa, romantycznej filozofii czynu i modernistycznej filozofii pracy, koncepcji społeczeństwa komunikacyjnego, zrębów antropologii filozoficznej neokantystów, pragmatystów, fenomenologów

i personalistów, a osobliwie filozofów życia i współczesnej myśli globalistycznej.

6. Filozofia partycypacji ma więc swoją prehistorię i licznych prekursorów, rzecz to oczywista, nie dysponuje jednak ujęciami syntetycznymi, ujmującymi w jedną, względnie harmoniczną strukturę wszystkie wyróżnialne poziomy aktywnego człowieczeństwa: indywidualny, społeczny i gatunkowy. Nie ma też zadowalających prób wykorzystania równoległego konkurencyjnych opisów pierwszo - i trzecioosobowych (w liczbie pojedynczej i mnogiej, dodajmy), w równie jednolitej, możliwej koncepcji przełamującej spór dwóch perspektyw poznawczych: czysto subiektywnej (odwołującej się do „ja” i „my”) oraz chłodnego uniwersalistycznego ujęcia obiektywistycznego.

7. Wysuwana na plan pierwszy w prezentowanym projekcie hipoteza partycypacyjna przyjmuje zaś, iż nie tylko możliwa jest ontologicznie ugruntowana i racjonalnie uzasadniona teoria partycypacji, ale, że jest prawdziwa (względem rzeczywistej historii ludzkiej), a przede wszystkim zdolna do *celowego u r z e c z y w i s t n i e n i a*, zwłaszcza z powodu rosnącej jej przewagi aksjologicznej. Filozofia partycypacji broni stanowiska, iż nie tylko lepiej jest być niż nie być, lecz najlepiej aktywnie i kreatywnie uczestniczyć we wszelkich procesach w mikro i makroskali, zawsze jednak w podmiotowej funkcji współdziału i współsprawstwa. Złym wyborem jest natomiast zarówno ucieczka przed światem, izolacjonizm, a zwłaszcza biernie się przyglądanie się jak poza nami toczy się proces bytu. Projekt ma charakter filozoficzny, ale poszukuje też dróg do sojuszy w różnych dziedzinach wartościordnej praktyki życia (kulturowej, w szczególności edukacyjnej).

8. Filozofia partycypacji podejmuje problemy obecne nie tylko w filozofii, ale i w sztukach pięknych (osobliwie w literaturze, później w filmie), a także w rozwijających się w czasach nowożytnych, różnych naukach o człowieku. Częstkowa i rozproszona wiedza o sposobach i walorach uczestnictwa jest niewątpliwie bogata i zróżnicowana, ukazując mnogość stron, sposobów i aspektów partycypacji, zarówno w zwierciadle jej zalet, jak i nieuchronnych wad, budując zachętę i wezwanie ale też i liczne ostrzeżenia, zwykle w wydaniu melancholijnych, zawiedzionych, dotkniętych porażkami arywistów. Tak tworzone, niemal od zawsze, podstawy potocznej świadomości społecznej, występującej tu zazwyczaj w kostiumie tak zwanej *mądrości życiowej*.

9. Filozofia nie powinna, ze zrozumiałych względów, podejmować zadań rekonstrukcyjnych w szerokim zakresie (nadto bliższym kompetencjom historii, kulturaznawstwa czy socjologii, nie może jednak zupełnie abstrahować od zawartości wiedzy potocznej jako interesującego układu od niesienia dla prowadzonych wywodów fenomenologicznych. Problem partycypacji stanowi bowiem jeden z istotnych składników tradycji,

zawartej w wiedzy jako takiej (łączącej *episteme* i *doxa*) oraz w siłach wartościujących nastawień zbiorowych i jednostkowych, decydujących o sensie i realnym kształcie *partycypacji* i *stosowania*. Zagadnienie to, zapewne różnoaspektowe, a pojęciowo uwikłane w rozmaite konteksty, jest niedość dokładnie zbadane, na pewno też nieuporządkowane w sposób systematyczny. Rozstrzygnięcia wymaga nie tylko kwestia *egzystencjalna*, a więc czy i jak człowiek ma istnieć, ale także kwestia *esen cjalna*, zawarta w pytaniu: jak być człowiekiem – indywidualnym, zbiorowym i gatunkowym zarazem. Zarazem, to znaczy pomimo sprzeczności i ponad sprzecznościami, jeśli takie się objawia, przez przypadek, albo i z konieczności.

10. Obydwie płaszczyzny rozważań – nad byciem i istotą – zdają się kulminować w problematyce partycypacji właśnie, nade wszystko zaś w dylemacie *ontologii* i *radykałnej* („hamletycznej”) czy w ogóle uczestniczyć właśnie takim jaki jest faktycznie oraz w jej kontynuacji *modalnej*: jak uczestniczyć w byciu takim, jaki mógłby i powinien być, gdyby aktywna partycypacja zdolna była stać się siłą autentycznie kreatywną i wydać aksjologicznie pożądane plony. Partycypacja winna odpowiedzieć tedy na pytanie, czy ma służyć dobru i doskonałości, czy też wartościom podrzędnym lub zgoła negatywnym.

11. Pojawia się w związku z tym pytanie o rzeczywiste *źródło partycypacji*. Historyczny spór toczy się o prymat w obrębie stosunku *polis* do indywidualnej substancji, przybierający postać konfliktu między socjocentrycznym a indywidualistycznym programem ewolucji twórczej. Punktem zwrotnym może okazać się wskazanie na możliwość kompromisu dopuszczającego równoległą partycypacyjną samoprzemianną zarówno człowieka pojedynczego, jak i podmiotowości poszczególnych wspólnot. Argument główny za takim rozwiązaniem ma charakter negatywny i polega na tym, że nie ma żadnych innych sił, zdolnych do bycia przemianami niejako z zewnątrz, toteż wyzwolenie partycypacyjnej energii – jeśli ma ziścić się w ogóle – musi czerpać wyłącznie z *ludzkiej* *zasobów wewnętrznych*. Efektem pochodnym stałby się impuls dziejowy (ewolucyjny w ścisłym sensie), skierowany w stronę podmiotowej regeneracji gatunkowej, odpowiadającej w zamyśle postulatami i ambicjom historiozofów. Partycypacja oznacza wówczas zdolność człowieka do *ontologicznego* *samostrawienia*, a zatem zmniejszenia presji determinizmu naturalnego na rzecz samodzielnego obierania wektorów, tempa i jakościowego zestawu form rozwojowych. Partycypacja oznacza wtedy znaczne zmniejszenie lub nawet uwolnienie się od roli podmiotu biernego, a więc zajmującego wyłącznie pozycję bezradnego obserwatora, rozumiejącego – co nieco – bieg własnych losów.

Istota i poziomy partycypacji

12. Życie ludzkie dokonuje się z konieczności poprzez uczestnictwo w procesie *życia świata*, albo pojętego szeroko jako życia w ogóle (wskali globalnej lub – jak kto woli – kosmicznej), albo w zakresie węższym, jako uczestnictwa społecznym organizmie danej zbiorowości. Uczestnictwo stanowi ontologiczna konieczność, albowiem niemożliwe jest występowanie w byciu obiektów bezwzględnie izolowanych, a więc pozbawionych otoczenia i poprzedzających je aktów kreacyjnych. Jeśli chodzi o substancje żywe, hipoteza bez - względnej samotności i bezwzględnej pierwotności wydaje się zresztą jawnie niedorzeczna. Partycypacja ontologiczna jest zatem właściwością wszelkiego przedmiotowego istnienia. Ten minimalny warunek istnienia da się sformułować jako zasadę *minimalnego*, *biernego* *uczestnictwa*, przynależnego każdemu obiektowi realnemu, a zatem i każdemu człowiekowi (pojedynczemu i zbiorowemu).

13. Jest to przede wszystkim partycypacja przestrzenna i czasowa, wskazująca, że jeśli coś istnieje realnie, to znajduje się *gdzieś* i *po miedzy*, granicząc z czymś innym oraz mieści się w pewnym, określonym czasowo *kie d y ś*. Czysto przedmiotowa partycypacja minimalna jest wszelako podstawą i punktem wyjścia dla budowania partycypacji wyższych poziomów zaangażowania. Ona to właśnie stanowi teren właściwych analiz, gdzie partycypację ujmujemy jako aktywność podmiotową, przynależną tylko ludziom, być może nie wszystkim nawet w stopniu jednakowym.

14. Partycypacja właściwa określona jest przez *świadomość*, *celowość* i *samodzielność intencjonalnego* *nastawienia*, a potem także *czyn*u. Poziom podmiotowo podstawowy można wyznaczyć przez stan klasycznej, kartezjańskiej *kogitacji*. Wtedy to podmiot zwraca się poza siebie aktami poznawczymi, a czyni to z rozmysłem, wiedząc co robi, nadto na własną odpowiedzialność. Poznawanie świata dokonuje się z perspektywy narzuconej przez los, toteż uczestnictwo poznawcze w byciu ograniczone być musi do sytuacji podmiotowi narzuconej (w dobranych fragmentach przestrzeni czasu, oraz uwarunkowań społeczno - kulturowych).

15. Kolejny poziom partycypacji oznacza włączenie się podmiotu w proces interpretacji i reinterpretacji świata (zarówno w wersji realistycznej jak i transcendentalnej), w konsekwencji zaś określenie odpowiedniej postawy *wartościującej*. Partycypacja oznacza zazwyczaj wkroczenie w sferę przeżyć metafizycznych, zwłaszcza estetycznej i etycznej *kontemplacji bytu*, ale *siębie samego* jako współtwórcy „nieba gwiazdzistego nade mną i prawa moralnego we ,mnie”.

16. Jeśli uprzedmiotowiająca człowieka partycypacja minimalna występuje z żądaniem adaptacji do zastanej rzeczywistości, to wszystkie szczeble partycypacji właściwej odwołują się do odwróconego kierunku zależności. Zamiast tworzenia harmonii człowieka ze światem poprzez jednostronne przyzwolenie lub co najwyżej zgodne przystosowanie do zewnętrznych wymagań, w ramach partycypacji właściwej dochodzi do budowania zestroju przemian równoległych. Zmienia się, oczywiście, sam człowiek (indywidualny i zbiorowy), lecz nade wszystko dokonują się procesy przeobrażeń otaczającej ludzi całości, ostatecznie bliskiej, ziemskiej przyrody oraz dalekiego kosmosu, zawsze zatem ujmowanych względem gatunku ludzkiego. Najwyższy pułap partycypacji polega tedy na zastąpieniu podmiotu poznawczo - kontemplacyjnego *podmiotem skutecznego działania*.

17. Partycypacja to tyle, co wzięcie przez podmiot na siebie odpowiedzialności za zadania, wyznaczających określony nurt przeobrażeń. Spełnienie tych zadań jest warunkiem koniecznym owych procesów twórczych, aczkolwiek zapewne nie wystarczających, a nawet obciążonych niekiedy ryzykiem Syzyfa. Odmowa uczestnictwa jest jednak – niezależnie od oceny etycznej – obciążona *grzechem zaniedbania*, zazwyczaj nieodwracalnym, a każdym razie trudnym do odrobienia przez daną jednostkę, przez daną zbiorowość, czy przez gatunkową ludzkość w danej epoce. Wypełnienie zadań partycypacyjnych przynosi na ogół efekty współmierne do włożonego wysiłku psychofizycznego, możliwe są jednak odstępstwa maksymalizujące bądź minimalizujące wkład podmiotowy. Jest to zależne od wielu okoliczności, w tym od siły współuczestnictwa innych podmiotów. Mechanizmy partycypacji nie są dokładnie poznane w tym względzie, toteż wyjątkowo trudno przychodzi tworzyć ogólne reguły czy też uniwersalne prawa partycypacji. Bliskie pewności wydają się jedynie zasady ekstremalne: (1) aktywna, podmiotowa partycypacja wpływa na bieg spraw osobistych, społecznych i dziejowych oraz (b) brak partycypacji skazuje ludzi na niepewny los, sterowany przez żywioły przypadków i generalny chaos naturalnych wydarzeń.

18. Warunkiem pierwszym partycypacji jest jej *świadomość*. Uczestniczącym podmiotem jest ten tylko, kto wie, że uczestniczy, pojmując siebie jako partycypanta, wie też w czym uczestniczy. Nieodzowna jest więc wiedza o sobie, ale też i wiedza o świecie. Wtedy też spełniona zostaje całość dyspozycji i ranga misja świadomości, skierowanej ku przedmiotowi, ku sobie samej i ku relacji „ja” z wszelkim „nie – ja”.

Warunkiem drugim jest możliwie jasno zdefiniowany *cel*. Aspekt celowościowy polega na tym, że podmiot wie ku czemu zmierza, wie którędy dotrzeć jest najprościej, zna skalę trudności drogi do celu i potrafi budować strategicznie alternatywne warianty sposobów i środków i metod dojścia. W pełni dojrzała

partycypacja nie jest więc tylko uczestnictwem w ruchu jako takim, ale w ruchu możliwie jednoznacznie wyznaczonym.

Warunkiem trzecim jest uzyskanie statusu podmiotu *samoistnego* (choć zapewne wielostronnie zależnego). Choć człowiek indywidualny jest zapewne bytowo autonomiczny, to w swoim działaniu niekoniecznie musi funkcjonować inaczej, niż poprzez sterowanie z zewnątrz (albo i na mocy zinte - rioryzowanych praw natury). Podobną charakterystykę mają szansę uzyskać także podmioty zbiorowe. Samodzielność – zarówno egzystencjalna jak i funkcjonalna – odwołuje się wyraźnie, jak widać, do pozytywnego rozwiązania problemu podmiotowej *wolności*. Partycypacja okazuje się możliwa tam i wtedy, gdzie i kiedy wyłania się samodzielny byt myślący, przekraczający zarazem aktualne „teraz”, wyposażony nadto w zdolność względnie swobodnego Manewrowania w gąszczu rozlicznych i nie zawsze dokładnie rozpoznanych determinacji.

19. Partycypacja jest stanem podmiotowym i relacyjnym procesem podmiotowo - przedmiotowym. Jest czynnym uczestnictwem w dokonujących się przekształceniach świata, ale i nadawaniem im określonego kierunku, tempa i jakościowych preferencji. Stanowiąc generalne proces rozwojowego przetwarzania każdorazowego *status quo*, zawiera w sobie przewagę *konstrukcji*. Nie może wszelako nigdy być pozbawiona czynnika destrukcji, wedle zasady, że akt kreacji jest z istoty destabilizacją, a nawet zniszczeniem tego co było dotąd. Partycypacja jest zatem z natury swej dążeniem do harmonijnej stabilizacji, ale zawsze wedle programu *perfekcjonistycznego*. Zmierzanie do kolejnych pokładów i stadiów *antropologicznej entelechii*, czyni ją postawą jawnie i dobitnie w tym duchu artykułowaną. Żaden stan dzisiejszy nie zasługuje na prostą kontynuację, toteż partycypacja jako idea przewodnia wyraźnie zwrócona jest ku niezrealizowanym dotąd projektom przyszłościowym. Przyszłość rodzi się zaś w głowach i czynach partycypantów całego świata.

Obszary partycypacji

20. Tradycja filozoficzna pozostawiła szereg koncepcji, z których każda może pretendować do roli teorii określonego wycinka ludzkiej aktywności, albo przynajmniej skromnego przyczynka dla przyszłych, solidniej uzasadnionych i rozbudowanych rozwiązań. Stosunkowo najlepiej przedstawia się sprawa z partycypacją społeczną, w szczególności polityczną, z różnymi propozycjami dotyczącymi udziału w zbiorowościach najbliższego zasięgu oraz strukturach organicznych (od plemienia do narodu, a także wspólnot religijnych i kulturowych), przede wszystkim zaś uczestnictwa w zakładaniu organizacji państwowych i współudziale w ich umacnianiu.

21. Obok partycypacji politycznej, dobrze wygląda też cały kompleks edukacyjny, zwłaszcza problematyka więzi między - pokoleniowej. Z jednej strony, podkreśla się obowiązek uczestnictwa generacji zstępujących w procesach wychowawczych, z drugiej natomiast powinność główną lokuje się w nauce partycypacji przez generację wstępującą. Liczne ślady rozwiązań fragmentarycznych znajdujemy również na innych terenach ludzkiego życia: estetycznym, medycznym, ekologicznym, sportowym i ludycznym w szerszym sensie. Istnieją też rozmaite próby podejmowane w imię indywidualizmu (z przykładowym hasłem „samorealizacji”). Nie wolno zapominać o rozwijającej się myśli uniwersalistycznej (globalistycznej z istoty). Materiału do refleksji jest niemało, toteż w niektórych przypadkach wystarczającym sposobem mogą stać się zabiegi porządkujące, w innych syntetyzujące, w niektórych jednak niezbędne są próby budowania koncepcji podstawowych.

22. Szczególnie ciekawy wydaje się obszar partycypacji indywidualistycznej, ku - jednostkowej, dokładniej zaś: skierowanej na samego siebie. Teorie pasywistyczne, osobliwie adaptacyjne przyjmują schemat przedmiotowy, gdzie człowiek występuje jako produkt uspołecznienia, wychowania moralnego i intelektualnej edukacji, zawsze sterowanej z zewnątrz, przez inne podmioty. Podmiotem staje się wyłącznie dzięki cudzym działaniom, ale kiedy otrzymuje patent podmiotowy sam od tej pory może w tej roli występować. Oczywiście wobec innych (zwykle młodszych od siebie). Filozofia partycypacji odrzuca ten wzorzec, uznając, iż (a) potencjalna podmiotowość stanowi atrybut całego życia ludzkiego, (b) w różnych fazach egzystencji jednostki objawiają się rozmaite szanse aktualizacji częściowej i pełnej podmiotowości, (c) choć człowiek podlega ustawicznie wpływom innych, może i powinien starać się i stać współpodmiotem, a jeśli się uda być pełnym podmiotem względem samego siebie, (d) postulat partycypacji dotyczący siebie samego oznacza wzięcie współodpowiedzialności za wszystko co tworzy moje, indywidualne życie podmiotowe, (e) partycypacja w szczególności odnosi się do samokształtowania i na wszystkich etapach indywidualnej egzystencji i we wszystkich okolicznościach. Wbrew utrwalonym teoriom naturalnego determinizmu, głoszącego, że co ma być to będzie, a więc co ma być z danym człowiekiem to się stanie na mocy programu jego osobniczej *entelechii* – teoria partycypacji dostrzega inne rozwiązanie. Co ma być i co będzie, wynika z esfoltów siły samosprawczej człowieka.

23. Niezależnie od poziomu zrozumienia i wewnętrznej akceptacji, faktem jest, iż człowiek rodzi się, staje się człowiekiem i żyje w gromadzie. Stan ten jest łatwiejszy do zaakceptowania na gruncie esencjalnej teorii *zoon politikon*, trudniejszy zaś dla zwolenników koncepcji skrajnie nominalistycznych, społeczeństwo uznających za twór okazjonalny i przypadkowy.

Bywa ono nawet szkodliwe dla jednostki., choć z powodów egzystencjalnych stanowi zapewne mniejsze zło od niebezpiecznej w praktyce izolacji. W ramach różnych koncepcji człowieka zbiorowego rozmaicie układają się zatem kwestie motywacji partycypacyjnych, a na pewno rodzajów wartościującego zaangażowania w procesy współuczestnictwa. Partycypacja realizowana w warunkach założonego, spontanicznego entuzjazmu prospołecznego musi się wspierać na innych impulsach, niż partycypacja chłodnej kalkulacji. Problem ten powinien zostać szczegółowo naświetlony, również przez filozofię.

24. Partycypacja społeczna analizowana jest w dwóch aspektach. Pierwszy to zagadnienie ogólne, usytuowane z zasady w kręgu zjawisk makroskali, głównie państwowej lub narodowej. Podjęwane są tutaj kwestie uczestnictwa we wspólnocie politycznej i kulturowej, zacieśnianiu więzów spistości i dyscypliny, w szczególności zaś tworzeniu postaw obywatelskiej ofiarności na rzecz bezpieczeństwa wspólnoty. Partycypacja analizowana jest nie tylko w sytuacjach normalnego, pokojowego życia, ale nade wszystko w warunkach ekstremalnych, na przykład wojennych. W ramach problematyki partycypacyjnej rozważamy całokształt powinności moralnych i obywatelskich tworzących fundamenty patriotyzmu, zwłaszcza gotowość do stałego przewartościowywania wartości na rzecz absolutyzowanych cnót społecznych (państwowych zwłaszcza).

25. W obrębie zagadnień ogólnych, roztrząsane są także kwestie wspólne dla wszelkich gatunków społecznych ugrupowań (od wspólnotowych po zrzeszeniowe), grup różnych szczebli i jakościowej charakterystyki, zawierających jednak powtarzalne właściwości w każdej formie uspołecznienia.

26. Obok ogólnych występują zagadnienia związane wieloaspektową, różnorodną partycypacją dziedzinową. W schemacie triady heglowskiej wyróżnia się tezy podstawowe domeny uspołecznienia: rodzinę, społeczeństwo obywatelskie (odpowiadające głównie za działalność gospodarczą) oraz państwo, bliskie ideałowi Arystotelesowej etycznej wspólnoty celów. Schemat ten, podobnie jak mnogość różnych późniejszych podziałów stratyfikacyjnych, prowadzi na grunt skomplikowanej sieci grup, stanowiących ogniwa pośrednie w strukturze systemowych całości, a tym samym decydujących o jakości i specyficznych formach uczestnictwa. Kryteria partycypacji wyznaczone są tedy przez rodzaj zaangażowania, swoistość obecności, przede wszystkim zaś przez znaczenie stosunków występujących między jednostkami w obrębie grup, zbiorowości wobec siebie oraz wszelkich społeczności względem całości.

27. Odmienny charakter mają często pomijane w analizach mikrogrupy uczuć podstawowych (miłosnych, przyjacielskich czy towarzyskich), przejmujące najbardziej istotne zjawiska partycypacji permanentnej.

W swoisty sposób formują się sposoby uczestnictwa poprzez zaangażowanie zawodowe (na przykład gospodarcze lub militarne). Jeszcze inaczej objawia się partycypacja w grupach sąsiedzkich, terytorialnych czy pokoleniowych (w tym ludycznych, erotycznych i wojowniczych). Spontaniczne grupy wspólnotowe różnią się od ugrupowań zrzeszeniowych, formowanych na mocy kulturowych konwencji i społecznego kontraktu. Odmienne właściwości przysługują wreszcie makrogrupom, wyróżnionym wedle kryteriów klasowych, warstwowych, tudzież światopoglądowo - religijnych, narodowościowych lub politycznych w ścisłym sensie. Wymienione przykłady dziedzin partycypacji społecznej uzupełnione być muszą długą i wciąż rosnącą listą udziałów detalicznych, zaskakujących często swą oryginalnością i niepowtarzalnością. Partycypacja społeczna odzwierciedla z jednej strony obraz każdego i danego społeczeństwa, z drugiej zaś gotowość do ujawnienia wielu różnaitych, czasem zupełnie nowych sposobów indywidualnego uczestnictwa w zbiorowościach.

28. Stosunkowo późno zrodziła się idea odpowiedzialności gatunkowej, a tym samym problem partycypacji na poziomie czynnego, podmiotowego zaangażowania w sprawy ludzkości i jako takiej. Chodzi nie tylko o odpowiednią, historiozoficznie pogłębioną interpretację dziejów dokonanych, lecz o rozumiejące uczestnictwo w teraźniejszości i jeśli to możliwe, zapanowanie nad nią, przede wszystkim zaś o wyznaczenie podmiotowych zadań w zględem przyszłości człowieka i ludzkiej cywilizacji oraz oczywiście, o zbudowanie programu racjonalnego i realnego zaangażowania. W partycypacji gatunkowej zbiegają się, *primo* wszystkie drogi bezpośredniego, indywidualnego uczestnictwa uniwersalnego zbioru podmiotów konkretnych. Jednostki ludzkie na tym poziomie angażują się w sprawy świata poprzez przejście na siebie obowiązków cząstkowych, lecz zawsze z świadomością współtworzenia z innymi dzieła całościowego. *Secundo*, mamy do czynienia z partycypacją pośrednią, uczestnicząc w rozwiązywaniu spraw świata przez dokonywanie ulepszeń we własnych społecznościach (grupowych, lokalnych). Jedna i druga droga partycypacji wydaje się użyteczna, a na pewno interesująca poznawczo. Co więcej, istnieją powody, by zamiast traktować je jak konkurencyjne alternatywy, uznać obydwie nie za formy komplementarne, z zakładaną nawet po cichu zachętą do kooperacji.

29. Partycypacja gatunkowa ma swe żywe źródła w egzystencjalnym lęku przed totalną zagładą, zwłaszcza przed nagłym samobójstwem nuklearnym lub ratalnym ekologicznym. Na horyzoncie niebezpieczeństw wyobrażonych wciąż powracają obawy o wynik konfrontacji z hipotetycznymi obcymi cywilizacjami, a także mniej lub bardziej pewny strach przed konsekwencjami destrukcyjnych procesów kosmicznych.

Równie silny w idei gatunku wydaje się jednak motywny, skoncentrowany w wizjach możliwości ludzkich i odległych rozwojowych perspektywach twórczych wolnego rozumu. Odwieczne spory progresywiistów z katastrofistami oraz fatalistów z woluntarystami stanowią nieustający nacisk bodźców do podtrzymywania żywotności i aktualności kwestii partycypacji gatunkowej. Mamy tu też zatem do czynienia zarówno z zagadnieniami porządku egzystencjalnego (odpowiedzialności za być albo nie być gatunku), jak i dalekosiężnego programu esencjalnego (odpowiadającego za aksjologicznie trafny, prawdziwie ludzki wymiar tworzonej przyszłości).

30. W badaniu kwestii trójpoziomowości partycypacji – indywidualnej, społecznej i gatunkowej – szczególnie ważne wydaje się zagadnienie ich wzajemnej konfrontacji, zwłaszcza z uwagą na kwestię prymatu w przypadku odkrycia sprzeczności. Problem znosi się sam automatycznie, jeśli uznamy, że zaangażowanie w sprawy własne jest zarazem dobre dla innych jednostek i dla całego społeczeństwa, a w konsekwencji dla gatunku. Odżywa natomiast w sytuacji, gdy któraś z form aktywnej partycypacji stanowi przeszkodę albo wprost wykluczenie innych, teoretycznie równie doniosłych rodzajów uczestnictwa na innych szczeblach zaangażowania. Idzie więc o to mianowicie, czy istnieje szansa na stworzenie w rozmiarach bezkolizyjnych między równoległe przebiegającymi procesami zaangażowania, autentycznymi i użytecznymi dla każdej sfery pospołu (mojej, naszej i wspólnej). Rozwiązanie tego problemu może być traktowane jako finalny rezultat całości badań nad filozofią partycypacji.

31. Jak jest możliwe szczere, wartościotwórcze i względnie trwałe zaangażowanie w pomyślność osobistą, w interes własnej zbiorowości i ludzkości w ogóle, i to bez szkody dla żadnej z warstw rzeczywistego człowieczeństwa? Jak pogodzić zatem parcie w stronę egoizmu, z altruistyczną partycypacją grupową, narodową i państwową, na dodatek zaś uniwersalną, owianą romantyczną odpowiedzialnością za ludzkość, a może i za byt cały? Odpowiedź na tak postawione pytania powinny – jeśli to możliwe – stanowić zamknięcie rozważań nad sensem partycypacji. Hipoteza autorska ma bowiem wyraz pozytywny, a więc w efekcie optymistyczny: możliwa jest partycypacja harmoniczna, wykorzystująca zdolność samoograniczającego się „koła partycypacyjnego”. Wolno i należy aktywnie uczestniczyć na każdym poziomie ludzkiego bytu, ale tylko do granic, nienaruszalności dobra innych warstw ludzkiej egzystencji.



MAYA NOVAL

/Z angielskiego i francuskiego przełożył
Krzysztof Andrzej Jeżewski/

PRZESZŁOŚĆ I TERAŹNIEJSZOŚĆ

Przeszłość i Teraźniejszość
spotkały się, poznały,
patrzą sobie w oczy:
„Jesteśmy krewnymi”
mówi jedna do drugiej.
„W tobie rozpoznaję
moje oczy podbite, zalęknione
– mówi Przeszłość –
„Moją historię i pamięć
wryte w twoim ciele,
odnajduję się w tobie”.
Teraźniejszość zapuszcza wzrok
w głąb oczu Przeszłości,
a ta ją pyta:
„Czego szukasz
tym przenikliwym spojrzeniem?”
„Moich dziejów w tobie”.
„I co tam widzisz?”
„Niewyobrażalną grozę,
ale i niespodziewane piękno,

czy to rzecz ludzka
wprawiać w drzenie świat?
Czy ten lęk, co dręczy me serce,
jest nieunikniony?
Czemu nie zachować
tylko piękna i pogody?
Skąd idziesz Przeszłości
i ty nasz losie
zawsze burzliwy?”
Przeszłość kładzie znużone
ręce na podbitych oczach,
a łzy gorące płyną
po jej pooranej twarzy:
„Tyle cierpienia!
Tyle cierpienia,
bo owego strasznego dnia
w Raju, człowiekowi
znudziła się Wieczność
i wtedy zjawiłam się ja”.

JESIENNE MYŚLI

Rozmyślam...

Krew ziemi wzbiera
w jesiennych drzewach
obojętnie
czy chłód czy upał,
w ostatecznej konfrontacji
i konflagracji
szalone czerwienie
stawiają czoła piorunnym
odblaskom
gniewu i urazy,
kiedy opadają, by zemdleć
w sercu
Współczucia ziemi...

Schylam się, by podnieść liść
na warszawskiej ulicy,
jego zielono - pomarańczowe odcienie
radośniej w mych rękach,
kiedy go kontempluję... i pytam siebie:
Jak wiele z tego jest ludzkie,
czyje geny nosi w sobie?

Czy dlatego – pytam – że
ich dzieciństwo i dojrzałość
żywiły się
ciałem i krwią
ludzkości ?

Czy dlatego
drzewa gubią liście
w płomiennym blasku
by wzniosły się nasze myśli
i czucia ?...

I jeszcze pytam...
w zwyrodnieniu
wszystkiego co ludzkie,
w nawale jego plag
ten liść daje mi jeszcze znaki
i śmieje się radośnie
by rozwiązać moje
wahania...

Co za tajemnica...
to piękno i chwala
w agonii
umierającego słońca...

Warszawa, Zaduszki, listopad 2011

TĘDY PRZESZEDŁ CZŁOWIEK

Czuję
jego kwaśny oddech
na tych murach i bruku,
Tędy przeszedł człowiek.

Odwieczne ruiny
skarżą się w nocy
mrużąc: chaos, chaos!
Tędy przeszedł człowiek.

Drzewa wczepione w korzenie
drżą ze strachu i grozy
gdy wichry jęczą: o, rozpacz! !
Tędy przeszedł człowiek.

Leniwe wody
spływają bezradnie

załękle na piasku i żwirze,
Tędy przeszedł człowiek.

Zranione ptaki
śpiewają fałszywie, skurczone
na bezlistnych gałęziach,
Tędy przeszedł człowiek.

Ziemia dusi się od krwi
jęcząc: dość, dość tego!
deszcze przestały padać,
Tędy przeszedł człowiek.

Morza
spragnione źródlanej wody
śledzą znikające niebo,
Tędy przeszedł człowiek,
niestety!
już nie na długo...

WIDNOKRĄG

(z mojego okna w Noisy le Grand)

Co jest z tamtej strony ?
Odwieczne pytanie...
Jaka obietnica ?

Widnokrąg
koi moje oczy.

Czy na tych ciemnych stokach gór
przepada
wrogie spojrzenie człowieka,
czy to wszystko tu się kończy
w tym ciemnym lesie,
nasza niepewność i lęk ?

Czy to granica
ludzkiego tchórzostwa i zachłanności ?
Czy ten mur oddzieli
słodczy od twardości
czy tu się kończy

nasz gniew i ból
czy tu się kończy,
na widnokręgu ?

Przyjdzie dzień,
gdy będę radosnym ptakiem
polatującym bez lęku...
moje szczęśliwe skrzydła
będą wznosić się... szybować
w tę światłość
poza cieniem
gdzie moje serce
odnajdzie pokój
i będzie śpiewać
melancholijne pieśni
samotnej rasy,
samotnej rasy.

WOJCIECH ZALEWSKI



WOKÓŁ NICOŚCI. MIĘDZY NISHIDĄ A HEIDEGGEREM

„Byt jest a niebytu nie ma”, stwierdził w VI wieku p.n.e. wybitny prekursor metafizyki zachodniej, Parmenides. Stwierdzenie Parmenidesa zdefiniowało i wyznaczyło na ponad dwa tysiąclecia sens filozoficznych poszukiwań tzw. świata zachodniego. Przez wieki, od starożytności przez całe średniowiecze, nowożytność aż po czasy współczesne filozofowie zapytywali o byt, o to, co istnieje, c o j e s t naprawdę, w pełni, absolutnie... I tak, według jednych, byt jest czymś statycznym, nieruchomym, niepodległym działaniu czasu, wiecznym. Wszelki ruch jest zaś pozorem, nicością... Według innych przeciwnie, tym, co istnieje jest właśnie ruch, zmiana, dynamizm... Nie brakowało także i takich nurtów, które utożsamiały byt z materia jako taką. Podobnie, na antypodach takiego stanowiska stało wielu, którzy – jak np. George Berkeley – uważali, że byt ma charakter wyłącznie niematerialny, duchowy. Najczęściej jednak starano się łączyć skrajne stanowiska w postaci podejścia dualistycznego: skrajnego (platońskiego), zgodnie z którym prymarną funkcję pełni czynnik duchowy, bądź umiarkowanego (arystotelesowskiego), który równoważył znaczenie formy i materii. Doniosłość wszelkich, takich lub innych „filozofii bytu” uprawianych na Zachodzie jest niewątpliwa. Ich wspólną wadą jest jednak to, że praktycznie w ogóle, z drobnymi marginalnymi wyjątkami, nie zajmowały się nicością, lekceważąc ją jako „po prostu” zaprzeczenie bytu, nieznaczący brak. Tymczasem problem nicości, przez wieki niedoceniany na Zachodzie, ma jednak ogromne znaczenie dla myśli tzw. Dalekiego Wschodu. Tamtejsza refleksja filozoficzna, czerpiąca inspirację z tradycji religijnych: hinduizmu, nurtów buddyźmu, taoizmu i innych, uczyniła z nicości/pustki swoisty absolut, cel wszelkich dążeń, ich tło i sens. O ile zatem, w pewnym uproszczeniu, nasz świat, świat zachodni, wręcz „opętany” jest przez kategorię istnienia, bycia, tego, co p o z y t y w n e, aktywne, o tyle, świat Orientu przeciwnie, żywi zainteresowanie pustką, nicością, niebytem. Dlatego w niniejszym eseju zechcę pokrótce nakreślić oraz porównać ze sobą dwie koncepcje nicości: „wschodnią” koncepcję Kitaro Nishidy, wyłożoną przez niego w tekście

*Funkcja świadomości jako samodeterminacja toposu, z „zachodnią” koncepcją Martina Heideggera, zawartą przez filozofa w eseju *Czym jest metafizyka?**

Na początku rozważań pragnę postawić pytanie o punkt wyjścia obydwu myślicieli. Na czym polega pierwsze, fundamentalne doświadczenie, które „odsłania” nicość, pozwala o niej myśleć i mówić?

Nishida

Kitaro Nishida twierdzi, że nicość „daje o sobie znać” poprzez świadomość, lub precyzyjniej, samoświadomość. Wydaje się, że japoński filozof rozumie świadomość na sposób nieodbiegający od jej klasycznie fenomenologicznego rozumienia. Po pierwsze, Nishida podkreśla, że świadomość jest zawsze intencjonalna, zawsze skierowana na jakieś zewnętrzne „coś”. Po drugie, świadomość jest procesualna, a zatem wydarza się w czasie. „Czasowość” świadomości wyznacza, z konieczności, jej kierunek. Zatem, świadomość n i e u s t a n n i e zmierza w jakimś niedościgniętym kierunku, nieustannie jest „pociągana” przez jakąś, wydaje się zewnętrzną względem niej, rzeczywistość, „punkt docelowy”. Nishida podkreśla jednak, że „zewnętrzność” przedmiotów świadomości jest pozorna. Jak czytamy: „To, co na zewnątrz, jest bowiem jednocześnie zawsze tym, co wewnątrz, i na odwrót. Prawdziwy proces jest możliwy dzięki absolutnie sprzecznej samotożsamości tego, co wewnątrz, i tego, co na zewnątrz”¹. O ile więc świadomość polega na wychyleniu się świadomego podmiotu „na zewnątrz” (pozornie), w stronę świata, o tyle samoświadomość polega na intencjonalnym zwróceniu się ku swojemu wnętrzu. To właśnie we wnętrzu, poprzez samoświadomość, człowiek, według Nishidy, po raz pierwszy „spotyka się” z nicością. Nicość jest bowiem najgłębszą tożsamością podmiotu, jego „sercem”. „Według mnie – pisze dalej Nishida – prawdziwa samoświadomość polega na tym, że ego postrzega samo siebie w swoim wnętrzu; co więcej, że ego postrzega swoje prawdziwe ‘ja’ tam,

gdzie samo staje się nicością i nie może postrzegać [podkr. – W.Z.]. Jeśli ego postrzega siebie przedmiotowo, nie postrzega swojego prawdziwego oblicza (...)”². Ważną charakterystyką nicości jest zatem to, że nie daje się ona uprzedmiotowić, a także, co najważniejsze, ma ona funkcję *i n d y w i d u a l i z u j ą c ą*. Nicość, by się tak wyrazić, „upodmiotawia”, chroniąc przed reifikacją i schematyzacją. Samoświadomość jest zatem dla Nishidy pierwszym i niezbywalnym warunkiem „wprowadzającym” w problematykę nicości.

Heidegger

Heidegger uważa, że nicość ujawnia się w fundamentalnym, egzystencjalnym doświadczeniu *t r w o g i*. Trwoga „objawia” nicość, nadaje jej realne, niepokojące, niezbywalne oblicze. Trwoga, tak jak rozumie ją niemiecki filozof, nie jest aktem intelektualnym, nie jest – tak jak świadomość – zdystansowanym, „chłodnym”, opanowanym oglądem. W trwodze, by tak rzec, „wszystko jest na opak”, wszystko się wymyka. „Wszystko”, czyli to, co daje się zrozumieć, skategoryzować, nazwać. „Wszystko”, czyli byt – przeciwieństwo nicości.

W życiu codziennym, w nawet najbardziej prozaicznych czynnościach człowiek spotyka się nieustannie z nicością. Heidegger podkreśla, że ilekroć człowiek zaprzecza, ilekroć wypowiada słowa „nic”, „nie”, „nikt”, w obojętnie jakim kontekście, tylekroć daje świadectwo „istnienia” nicości. Chronologicznie rzecz biorąc, nicość, zanim obudzi swoją niepokojącą, wymykającą się rozumieniu istotę u trwożącego się człowieka, sygnalizuje się najpierw w potocznych doświadczeniach życia codziennego, dając tym samym do myślenia. Dlatego myślący człowiek, ten, który zapytuje i szuka odpowiedzi, natrafia w pewnym momencie na opór, ścianę, poza którą nie może wyjść; natrafia na nicość. Czytamy: „Jesteśmy ‘zawieszeni’ w trwodze. Mówiąc wyraźniej, trwoga trzyma nas w takim zawieszeniu, ponieważ powoduje wyslizgiwanie się bytu w całości. (...) Trwoga odbiera nam mowę. Ponieważ **byt w całości wyslizguje się i tak właśnie narzuca nicość** [podkr. – W.Z.], przeto milknie wobec niego wszelkie stwierdzenie, że coś ‘jest’. (...) To, że trwoga odsłania nicość, potwierdza bezpośrednio sam człowiek z chwilą, gdy trwoga ustąpiła. Przenikliwość spojrzenia, którego dostarcza świeże wspomnienie, zmusza nas do powiedzenia: to, przed czym, i to, o co lękaliśmy się, było ‘właściwie’ niczym. I rzeczywiście: sama nicość jako taka była tu obecna”³. O ile więc można by powiedzieć, że dla Heideggera człowiek może osiągnąć, na poziomie „świata przedmiotów”, pewnego rodzaju świadomość, o tyle nie można mówić o świadomości na poziomie nicości; nicość dana jest bowiem w dezorganizującym porządek sensu doświadczeniu trwogi.

Powyżej starałem się nakreślić pewne wyjściowe dane, z których wychodzą obydwaj filozofowie. Następnie zechcę pokrótce przeanalizować najważniejsze i, w moim przekonaniu,

najbardziej charakterystyczne tezy obydwu przedstawianych wizji nicości.

„Wschodnia nicość”

Nishida zaznacza, że nicość jest dana w samoświadomości, która polega na intencjonalnym zwróceniu się człowieka ku swojemu wnętrzu. Należy jednak pamiętać, o czym była pokrótce mowa powyżej, że podział na zewnętrzne – wewnętrzne jest w gruncie rzeczy podziałem pozornym.

Japoński myśliciel zdaje się stopniować nicość. Nicość, jako „istota” ego, nie jest jeszcze prawdziwą, doskonałą nicością. Zasada się bowiem na podziale zewnętrzny – wewnętrzny. Nishida nie myśli tutaj na sposób europejski, tzn. nie dokonuje on eksplikacji „prywatnego”, indywidualnego, wewnętrznego doświadczenia nicości na obiektywny, transcendentny i niezależny od podmiotu świat zewnętrzny. Nicość nie tyle „znajduje się” w samoświadomości, co jest przez nią odkryta. Dlatego Nishida może napisać: „To, że ego postrzega samo siebie w swoim wnętrzu oznacza, że otacza (*tsutsumu*) sobą to, co przedmiotowe, czyli że topos staje się nicością. Jeśli postrzegana jest kulminacja, nawet jeśli jest ona traktowana jako czysta funkcja, wtedy topos zostaje zdeterminowany, a więc nie może wszystkiego otaczać – taki topos nie jest prawdziwą nicością”⁴. Powyższe zdanie, choć nie jest w pełni jasne, może jednak, w moim przekonaniu, zaświadczać o tym, że nicość w tym samym momencie, w którym zostaje „wpisana” w przyczynowo – skutkowy porządek przedmiotowy, porządek bytu, traci swoją istotową właściwość. Tymczasem nicość, w swojej istocie, jest pozbawiona kontekstu, tzn. jest absolutnie niezależna od czegokolwiek i kogokolwiek. Jest w tym sensie neutralna, transcendentna, absolutna i wszechobecna. Dlatego Nishida podkreśla kilka zdań dalej: „Samoświadomość jest determinowana nie w nicości, rozumianej jako przeciwieństwo bytu, ale w toposie prawdziwej nicości, która będąc nicością, determinuje byt”⁵. Nishida mówi o nicości jako toposie, czyli tym, co stanowi absolutną, wszechobecną podstawę, warunek myślenia i wydawania sądów. Nicość prawdziwa, nicość jako taka, ma to do siebie, uważa japoński filozof, że sama siebie determinuje, tzn. sama dla siebie stanowi podstawę, sama sobie jest uzasadnieniem. Nicość – topos nie ma swojego przestrzennego miejsca, nie jest poza bytem jako jego ewentualne tło, jako to, co poza nim czy obok niego. Dlatego realny, „twardy” podział na to, co zewnętrzne *contra* wewnętrzne nie znajduje głębszego uzasadnienia. Bowiem, pisze Nishida „w akcie prawdziwej samoświadomości niczym nieograniczona determinacja [nicości – W.Z.] następuje zarówno w kierunku noematycznym, jak i w kierunku noetycznym, z tym że *noesis* zawiera w sobie *noema*. Gdyby tak nie było, samoświadomość nie byłaby możliwa”⁷. *Noeza*, od - wewnętrzny akt świadomości, według Nishidy, zawiera w sobie *noemat*, zewnętrzny przedmiot świadomości. Można zatem postawić tezę, że u Nishidy podział na zewnętrzne i wewnętrzne jest immanentny, a zarazem konstytutywny dla

samoświadomości. Wszystko wydaje się zatem redukować do samoświadomości, do ego, będącego nicością.

„Zachodnia nicość”

Według Heideggera, trwoga przed nicością dokonuje istotnej dezorganizacji w człowieku, budząc go tym samym do p r z y t o m n o ś c i. Człowiek trwający się przed nicością to, w terminologii Heideggera, przytomność (*Dasein*). Pojawienie się nicości, myśl o niej, nie pozostaje bez znaczenia dla postrzegania bytu, czyli tego wszystkiego, na co – niejako ze swej natury – kieruje się ludzkie zainteresowanie. Nicość wytrąca byt przytomny z oczywistości, a także wymyka się rozumieniu. Nie jest ona bowiem bytem ani czymś do niego analogicznym; nie da się jej zmierzyć, nazwać, nie poddaje się kategoriom, nie podlega hierarchizacji; jest otchłanią. Co najważniejsze jednak, nicość o t a c z a świat, czyli zespół sensów, podważając tym samym znaczenie wszelkich ludzkich dążeń i poczynań. „W trwodze – twierdzi niemiecki filozof – byt w całości staje się kruchy. (...) Byt nie jest przecież unicestwiony przez trwogę, by pozostawić tylko nicość samą. Jakże mogłoby tak być, skoro trwoga czuje się właśnie całkowicie bezsilna wobec bytu w całości. Nicość raczej ujawnia się wraz z bytem i w nim o tyle, o ile jego całość wymyka się i wyslizguje”⁸. Nicość nie redukuje zatem bytu do siebie, a raczej podważa jego nienaruszalność, absolutność; nicość byt relatywizuje, wydobywając tym samym jego nienaruszalne oblicze. Co to oznacza?

Otóż, Heidegger mówi o czymś takim jak n i c e s t w i e n i e nicości. Nicość nie unicestwia bytu, tzn. nie redukuje go do pozorów, nieznaczącej „chwili”. Przeciwnie, nicość nicestwi, czyli odciska na bytach swoje piętno, a jednocześnie nie może ich znieść, unieważnić, wchłonać, pozbawić realności. Dlatego Heidegger może napisać, podkreślając negatywny charakter nicości: „Nicość nie przyciąga do siebie, przeciwnie: jest z istoty swej odpychająca. Ale jej odpychanie jako takie zapoczątkowuje wyslizgnięcie i odsyła do bytu, który zanika w swej całości”⁹. Między bytem a nicością dochodzi zatem do dialektycznego zderzenia, które kończy się odzyskaniem bytu, potwierdzeniem jego „autonomii”, choć z zastrzeżeniem, że jest to byt wtórny względem nicości, byt przez nicość naznaczony i do niej ostatecznie zdążający.

Dlatego Heidegger podkreśla, że przytomność polega na swoistym „utożsamieniu” się podmiotu z nicością, na próbie wytrwania w niepokojącym napięciu, jakie wytwarza się we wnętrzu człowieka rozpiętego między porządkiem bytu a „porządkiem” nicości. Nicość, pomimo swego negatywnego, złowrogiego nawet charakteru, funduje jednocześnie to, co przytomności jako takiej najbardziej właściwe, tj. jaźń i wolność¹⁰. Jaźń i wolność bytu przytomnego to nic innego jak przygodna wypadkowa bytu i nicości, która nie woła o żadną konieczność, nie zdąży w żadnym celu, nie szuka usprawiedliwienia w żadnej wyższej, transcendentnej zasadzie...

W porządku bytu, porządku rozumu i życiowej ludzkiej codziennej praktyki nie ma, zdaniem niemieckiego myśliciela, żadnej transcendencji prócz jednej: transcendencji nicości. Według Heideggera bowiem, „gdyby byt przytomny z samej swej istoty nie dokonywał transcendencji, to znaczy gdyby nie zatrzymywał się uprzednio wewnątrz nicości, nigdy nie mógłby być odniesiony do bytu, a zatem również do samego siebie”¹¹.

Przytomny podmiot dzięki „świadomej” transcendencji nicości odkrywa zatem swoją własną, indywidualną i niezbywalną skończoność, której finałem jest wydarzenie śmierci. Nicość objawi swoją pełnię w momencie śmierci, która unieważni tak indywidualną jaźń, jak i wolność.

W ostatniej części zechcę zapytać o ostateczne konkluzje, wynikające z analizowanych w niniejszej pracy koncepcji nicości.

Konkluzje

Dla Nishidy istnienie jest nierozzerwalnie związane ze sprzecznością¹²; nie da się go więc precyzyjnie i jednoznacznie opisać i wyłożyć. Tym zatem, na co warto zwrócić uwagę przy okazji rozważań nad nicością w myśli japońskiego myśliciela jest niewątpliwie status intuicji. Jest ona bowiem uprzywilejowaną „metodą” poznania. Nie ma charakteru spekulatywnego, lecz daje bezpośredni wgląd w istotę rzeczy, którą każdorazowo pozostaje nicość. Nishida pisze o intuicji: „Prawdziwa intuicja jest nicością, która postrzega, nicością, która determinuje byt. Intelktualna intuicja jest intuicją jedynie w tym sensie i jako taka musi zawierać w sobie dialektyczny proces”¹³.

I dalej: „Dialektyczny rozwój, w którym nicość determinuje byt, nie ma punktu kulminacyjnego [podkr. – W.Z.]”¹⁴. Intuicja, i tylko ona, pozwala na p r z e j r z e n i e r z e c z y w i s t o ś c i, które jest tożsamy ze zrozumieniem, że w istocie wszystko sprowadza się do samoświadomości *ego*, a w konsekwencji do nicości, absolutnej, bezzasadnej pustki, gdzie – jakkolwiek jest to paradoksalne – *ego* postrzega samo siebie dopiero wtedy, gdy *de facto* przestaje siebie postrzegać¹⁵.

Nie istnieje zatem żadna eschatologia, nie ma mowy o żadnej nadziei, możliwości indywidualnego i intersubiektywnego przetrwania „po śmierci”. Więcej, w istocie rzeczy nie ma nawet żadnego „twardego”, trwałego i niepodważalnego aktualnego, nieredukowalnego podmiotu; mowa jest natomiast o *ego*, którego „sukcesem” jest odkrycie własnej tożsamości z nicością, którą, w końcu, należy utożsamić z absolutem, Bogiem. Nie jest to jednak Bóg „samodzielny”, transcendentny, ale Bóg noetyczny, tj. Bóg „wypływający” z samoświadomości absolutnej nicości¹⁶. Dlatego, według Nishidy, dla nicości nie ma żadnej alternatywy, jest ona jedyną, pełną i prawdziwą rzeczywistością.

Według Heideggera, o dojrzałej ludzkiej egzystencji można mówić jedynie wtedy, gdy ta nieustannie konfrontuje się z nicością. Człowiek nie sprowadza się jednak do nicości, nie jest z nią tożsamy. A jednak, tylko i wyłącznie dzięki niej byt przytomny staje przed różnymi możliwościami wyboru projektu swojego życia. Jako trwająca się przytomność człowiek pozostaje bowiem niezdeterminowany, wolny, niejako „zaproszony” przez nicość do zadecydowania o sobie, swoim losie. Z jednej strony zatem, życie ludzkie „przesiąknięte” przez nicość nie ma sensu, jeśli ten rozumieć jako rodzaj odgórnego predeterminacji. Z drugiej jednak strony, brak jakiegokolwiek determinacji, absolutna twórcza dowolność wypływająca z nicości, pozwala na przeżywanie życia w jeden jedyny i niepowtarzalny, niedający się powielić sposób. Dlatego też nicość, koniec końców, wydaje się mieć charakter pozytywny, jest ona bowiem *nieskończonym* generatorem praktycznych możliwości bytu przytomnego.

Heidegger utożsamia nicość z byciem. „Bycie i nicość współtworzą się razem. (...) Samo bycie jest w swej istocie skończone i ujawnia się tylko w transcendencji dokonywanej przez byt przytomny, który przekracza byt ku nicości”¹⁷. Wydaje się zatem, że przy założeniu alternatywy byt – nicość Heidegger ostatecznie opowiada się za nicością (byciem), która wyzwala przytomnego człowieka (o ile jest przytomny!) od nudy i powszechności życia dyktowanego przez tzw. większość, w innych tekstach nazywaną przez Heideggera *Się*.

Według niemieckiego filozofa, nie ma żadnych racjonalnych podstaw do tego, aby móc wnosić o jakiejś rzeczywistości „wyższej” niż nicość. Problematyka metafizyczno – religijna jest dla myśliciela pseudoproblematyką. To nicość i tylko ona jest tym, co, można by powiedzieć, najwyższe, ostateczne, nieodwołalne. Dlatego też Heidegger nie jest myślicielem tragizującym, afirmującym rozpacz, uginającym się pod naciskiem wszechogarniającej nicości. Ta bowiem, przede wszystkim, „pozwała” przytomnemu bytowi na wolne, niezdeterminowane bycie.

Podsumowując, wydaje się, że koncepcja nicości Nishidy, mimo pewnych podobieństw do koncepcji Heideggera, jest jednak od niej zasadniczo różna. Przede wszystkim, dla Nishidy nie istnieje żadna alternatywa dla nicości, nicość jest „wszystkim”, a to, co ludzie uważają za byt jest tylko wtórnym, nieznanym pozorem, „chwila”. Heidegger nie jest tak radykalny. Uznaje on prymat nicości, ale jednak zaznacza, że nicość, mimo tego, że jest nieodwołalna i absolutna, to jednak nie znosi bytu, lecz przeciwnie, przywraca go takim, jakim jest w swojej faktyczności, niemającej przecież żadnej głębi, żadnego „drugiego znaczenia”. Między bytem a nicością zachodzi zatem ostra różnica, której brak w myśli Nishidy.

W konsekwencji, samoświadome ego opisywane przez japońskiego myśliciela, jakkolwiek każdorazowo indywidualne, to jednak pozbawione jest właściwości, czyli tego, co pozwala na jego wyróżnienie i charakterystykę. Prawdziwe ego, postulowane przez Nishidę, to czysta nicość. Dlatego nie istnieje, według myśliciela, coś takiego jak

autonomia podmiotu, związana z życiem wewnętrznym odpornym na absolutyzm nicości. Nieco inaczej jest u Heideggera. W jego przypadku także nie można mówić o podmiocie w ścisłym znaczeniu tego słowa. Heideggerowska przytomność (*Dasien*) nie jest osobą w klasycznym, grecko-chrześcijańskim znaczeniu. A jednak byt przytomny nie jest tożsamy z nicością, nie sprowadza się do niej. Nicość jest dla przytomności raczej rezerwuarem możliwych odsłoneń, rodzajem obietnicy, której treść wydaje się następująca: „wszystko jest możliwe, nic nie jest konieczne”.

Na sam koniec pozwolę sobie odnotować jeszcze jedną, pozornie nieznaczącą uwagę. Powszechnie jest przyjęte, że filozofia ma swoje źródło w **L u d z k i m z d z i w i e n i u**. Z pewnością, jest w tym sporo prawdy. Idąc dalej należałoby jednak zapytać, co jest powodem zadziwienia? Tutaj sprawa się komplikuje, bowiem na jedno takie pytanie można udzielić niezliczoną ilość odpowiedzi. Z czego zatem bierze się filozofia zdaniem opisanych w niniejszej pracy filozofów? Heidegger odpowiada, że filozofia bierze się z zaniepokojenia spowodowanego samym faktem istnienia bytu (na tle nicości). Ciekawsza i mniej oczywista wydaje się natomiast motywacja Nishidy, według którego źródłem filozofii jest rozpacz. Wydaje mi się, że ta uwaga dużo mówi o samej nicości...

Przypisy:

1. K. Nishida, *Funkcja świadomości jako samodeterminacja toposu*, s. 266.
- 2 Tamże, s. 267.
- 3, M. Heidegger, *Czym jest metafizyka*, s. 16.
- 4 K. Nishida, dz. cyt. s. 267.
- 5 Tamże.
- 6 Zob. tamże, s. 268.
- 7 Tamże.
- 8.M. Heidegger dz. cyt., s. 17.
- 9 Tamże.
- 10 Zob. tamże, s. 18.
- 11 Tamże.
- 12 K. Nishida, dz. cyt. s. 271.
- 13 Tamże, s. 272.
- 14 Tamże, s. 273.
- 15 Por. tamże, s. 274.
- 16 Tamże, s. 284.
- 17 M. Heidegger, dz. cyt., s. 22.



IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA

ROMANTYCY W SIECI. O MOŻLIWOŚCIACH ANALIZY SPOŁECZNEJ

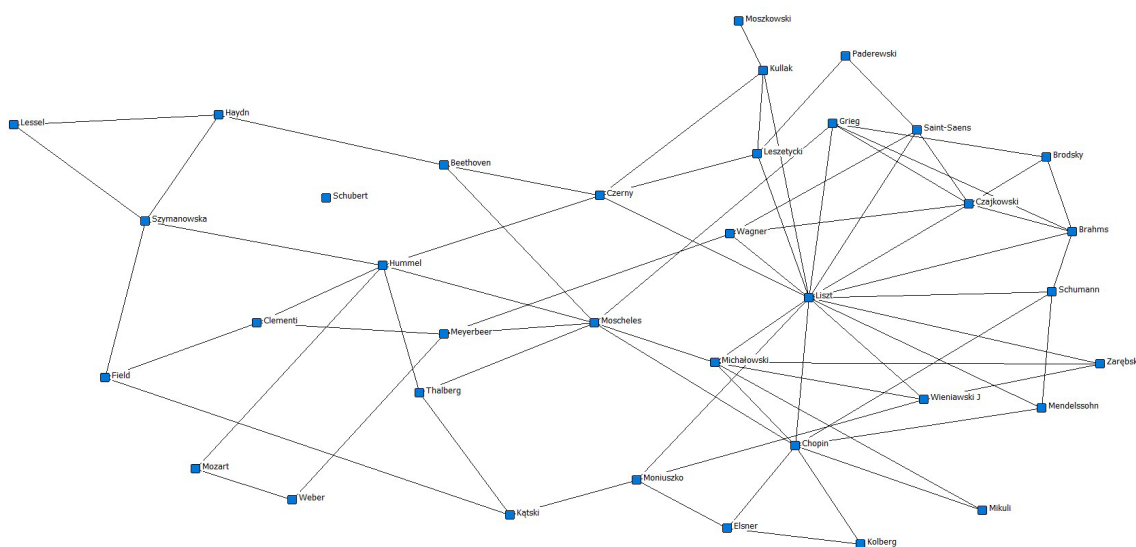
Wielcy artyści doby romantyzmu nie tworzyli w samotności. Salony stanowiły tygiel artystyczny, w którym twórcy regularnie przedstawiali nowe utwory literackie i muzyczne. Podczas wystaw, m.in. „paryskich salonów”, dzieła były szeroko komentowane i oceniane, a tego rodzaju wydarzeniom towarzyszyły recenzje prasowe. W ten sposób dokonywał się proces recepcji i swego rodzaju – rezonansu w odbiorze społecznym.

Kompozytorzy, kluczowi dla epoki „gorączki romantycznej”, znali się, grywali wzajemnie swoje kompozycje. Wiele utworów tamtego czasu posiadało dedykacje – dzięki temu kompozycje zyskiwały charakter spersonalizowany, upodmiotowiony. Wielcy wirtuozi stawali do artystycznych pojedynków, jak Paganini i Lipiński, czy Chopin i Liszt. Sieć połączeń wzmacniała regularna wymiana korespondencji, a zachowane listy należą do najciekawszych dokumentów i świadectw epoki. Kompozytorów łączyły zarówno sprawy przyziemne, dotyczące organizacji życia koncertowego, ale też jednoczyły wspólne wyższe ideały, a przede wszystkim: miłość do muzyki. Na ziemiach polskich artystów ponadto integrowało dążenie do podtrzymania i wzmacniania poczucia tożsamości narodowej. Ten sam etos wiązał Polaków na emigracji. Osobiste relacje, jak między Chopinem i Mickiewiczem, a tym samym sieć społeczna, były podstawą budowania wspólnoty poglądów, a dzięki temu służyły umacnianiu i rozwijaniu świadomości narodowej.

Sieć społeczna kompozytorów

W ujęciu socjologii społeczeństwo stanowi «ogół ludzi pozostających we wzajemnych stosunkach wynikających z warunków życia, podziału pracy i udziału w życiu kulturalnym; też: ogół obywateli danego okręgu, miasta itp.»¹. Natomiast sieć społeczna, to „układ powiązanych ze sobą i nawzajem na siebie wpływających interakcji społ.». Koncentruje się więc na relacjach pomiędzy jednostkami i grupami społecznymi.

Analiza sieci – jako metoda badawcza – łączy wiedzę różnych dziedzin naukowych, m.in. antropologii, psychologii społecznej, socjologii i nauk



Rycina : Socjogram przedstawiający relacje pomiędzy kompozytorami.

politycznych, a zajmuje się ona „istotną cechą struktury społecznej – wzorem relacji pomiędzy obiektami społecznymi, tak ludźmi jak zbiorowościami czy pozycjami”². Zdaniem Georga Simmela „podstawą każdego ujęcia struktury społecznej jest przekonanie, iż struktura składa się z relacji i połączeń pomiędzy obiektami. Analiza sieci zmusza nas do starannego określenia natury obiektów i relacji, a także cechy właściwości dynamicznych, jak i etkiw tych relacjach”³. **Sieć społeczna** [social network] definiowana jest jako „struktura społeczna złożona z węzłów, które są indywidualnymi elementami organizacji. Węzły z kolei połączone są poprzez różne rodzaje powiązań – od przypadkowych spotkań do bliskich relacji rodzinnych”⁴. Po raz pierwszy termin ten został użyty przez antropologa Johna A. Barnesa w 1954 roku⁵.

Analiza sieci społecznej [Social network analysis; SNA] jest narzędziem pozwalającym na modelowanie, wizualizację i rozeznanie interakcji pomiędzy jednostkami w obrębie grup i organizacji. Aby dokonać tego rodzaju badania, konieczna jest identyfikacja sieci i jej członków, zebranie danych na temat interakcji oraz przeprowadzenie ich analizy. Socjogramy stanowią graficzną reprezentację interakcji⁶.

Do właściwości, które można scharakteryzować należy: liczba powiązań, ukierunkowanie, odwzajemnienie powiązań, przechodniość powiązań, centralność, gęstość powiązań, siła powiązań, pomosty, pośredniczenie i równoważność.

I choć sieć społeczna jest pojęciem stosunkowo nowym, to umożliwia ona zbadanie relacji pomiędzy nieżyjącymi już osobami w oparciu o dokumenty – przede wszystkim listy, ale

też pamiętniki, dedykacje utworów czy wzmianki prasowe. Na zaprezentowanym socjogramie [rycina 1]⁷ punkty (węzły) odpowiadają postaciom poszczególnych kompozytorów.

Uwzględnieni zostali wszyscy twórcy, których utwory poddałam analizie i interpretacji w pracy doktorskiej *Walce fortepianowe wielkich romantyków. W nurcie muzyki salonowej XIX wieku*, ale też ich mistrzowie, uczniowie i przyjaciele. Linie łączące kompozytorów to powiązania. W przedstawionym socjogramie każde takie powiązanie reprezentuje przynajmniej jedno osobiste spotkanie. Rzeczne więzi „mają charakter społeczny, istnieją one w wymiarach materialnym, symbolicznym i uczuciowym”⁸. W ujęciu teorii sieci zasobami wymienianymi przez osoby uwidocznione w takim socjogramie są symbole (przykładowo: informacje, idee, komunikaty), rzeczy (np. listy, pieniądze), a także uczucia (choćby wymienić: szacunek lub sympatię).

Co można odczytać z rzeczzonego socjogramu? Pomiedzy kompozytorami epoki romantyzmu zarysowuje się wyraźna i gęsta sieć połączeń. Z jednej strony wynika ona stąd, że zarówno technika wirtuozowska gry, jak i warsztat kompozytorski były przekazywane w relacji mistrz – uczeń, z drugiej strony – wypływa to z wciąż zwiększającej się mobilności artystów, którzy chętnie wyruszyli w podróże po całej Europie. Warto przypomnieć, że topos wędrowni – jako analogon życia człowieka – stał się jednym z kluczowych dla epoki właśnie romantyzmu.

W obrębie sieci powiązania mogą być wzajemne, bądź nieodwzajemnione – o czym była mowa wcześniej. Jednakże przyjmując za podstawowy rodzaj powiązania spotkanie osobiste, dochodzimy do stwierdzenia, że w przedstawionym socjogramie wszystkie połączenia są wzajemne. Niezwykle

silne połączenia powstawały pomiędzy mistrzami - nauczycielami i ich uczniami. Ci pierwsi mogli oferować wiedzę i inspirację, którą podopieczni zwykle odwzajemniali szacunkiem i często, choć nie zawsze, gratyfikacją pieniężną. Sieć romantyków cechuje się wysoką przechodnością powiązań: młody człowiek, aby trafić pod skrzydła wielkiego mistrza, musiał posiadać odpowiednią rekomendację.

Wyraźnie zaznaczają się wokół postaci mistrzów grupy uczniów, którzy, oscylując wokół nich, tworzą tzw. „kliki” (może dziś, ze względu na pejoratywne nacechowanie tego określenia, użylibyśmy raczej terminu: szkoła). W teorii sieci społecznej kliki „wykazują silne, odwzajemnione i przechodnie powiązania w poszczególnym podzbiórze pozycji w obrębie całej sieci”⁹. Należy zaznaczyć, że sieć kompozytorów ma charakter zdecentralizowany.

W uwidocznionej sieci społecznej najwięcej powiązań posiada Liszt (15). Był twórcą i nauczycielem aktywnym przez bardzo długi czas, bowiem żył 75 lat dożywając tzw. stylu późnego i niemal całe życie nawiązywał bliższe lub dalsze relacje zarówno z kompozytorami, których zaliczyć można do twórców pierwszej połowy XIX wieku, a także ze swoim mistrzem – Czernym, czy też z Chopinem, z którym połączyły go więzy przyjaźni. Ale i później utrzymywał kontakty z artystami młodszymi o jedno, a nawet dwa pokolenia – Griegiem (ur. 1843), czy Czajkowskim (ur. 1866).

Na kolejnych miejscach z największą liczbą powiązań plasują się Chopin (8), Czajkowski (6) i Hummel (6). Niewielu jest kompozytorów pozostających całkowicie na uboczu. Można do nich zaliczyć właściwie tylko Schuberta, który stronił od podróży, a przy tym zmarł w młodym wieku. Kompozytorzy należący jeszcze do poprzedniej epoki – Mozart, Haydn, Beethoven – znaleźli się w niniejszym ujęciu jako punkt odniesienia, wskazujący na wspólne korzenie twórców młodszych generacji. Ich dalsze powiązania nie były poddawane analizie.

Co zatem może wnieść do badań teoretyczno - muzycznych metoda analizy sieciowej?

1. Metoda ta pozwala na ujęcie zjawisk, które obserwujemy i zwykle przedstawiamy opisowo, w sposób ścisły. Pozwala na użycie narzędzi matematycznych (m.in. teorii grafów) do przedstawienia i analizy zjawisk społecznych.

2. Pozwala na określenie właściwości sieci społecznej i konsekwencji jakie z nich wynikają. Określenie cech sieci, a zwłaszcza zbadanie liczby powiązań, przechodności połączeń i poziomu centralizacji sieci, dostarcza cennych informacji na temat sposobu funkcjonowania danej grupy społecznej.

Muzyka XIX wieku a tendencje kosmopolityczne

Idea kosmopolityzmu zrodziła się jeszcze w starożytnej Grecji, gdzie stoicy postrzegali kosmopolitę jako „obywatela świata”. Doszła ona do głosu w dobie oświecenia, kiedy zaczął rozwijać się handel międzynarodowy, a podróżowanie i komunikacja stały się łatwiejsze. Dziś pojęcie to jest rozumiane jako „idea, zgodnie z którą wszystkie istoty ludzkie, niezależnie od ich przynależności politycznej, powinny należeć (a przynajmniej mogą należeć) do jednej wspólnoty, a ta wspólnota powinna być przez nie kultywowana”. Używam tego określenia bez odcieni pejoratywnych, za Rogerem Scrutonem, który w *Słowniku myśli politycznej*, w zespole definicyjnym pojęcia zwraca uwagę na ideał „kosmopolis” tożsamy z koncepcją „państwa światowego”¹¹.

W ujęciu filozofa prawa Jeremy’ego Waldrona kulturę może zatem postrzegać jako negocjowalny i otwarty proces zaangażowania i wycofania się ze społecznej struktury i porządku swojej społeczności¹². Jego zdaniem ideał kosmopolityczny jako „wspólny sposób życia nie musi być ograniczony do obszaru geograficznego (aczkolwiek może tak być), jest kształtowany przez zachowania społeczne, rozwijane z czasem poczucie inkluzji i przynależności, a także wiele innych uczuć, które składają się na ludzką egzystencję i rozumienie świata”¹³. Waldron zauważył także oddziałujący do dziś wpływ koncepcji badaczy dziewiętnastowiecznych, którzy byli skłonni podkreślać bardziej rolę narodowości w muzyce, niż zwracać uwagę na powtarzające się w twórczości różnych kompozytorów elementy wspólne i ponadnarodowe.

Należy zaznaczyć, że idee uniwersalizmu, zarówno w sferze politycznej jak i kulturowej, powracają w różnych momentach historii dziejów. U progu XIX wieku oświeceniowa teoria socjopolityczna przemieniła się w realne doświadczenie kosmopolityzmu. Kosmopolityzm stał się rzeczywistością dnia codziennego wielu twórców, którym z różnych przyczyn, niekiedy całkowicie od nich niezależnych towarzyszyło poczucie bycia obywatelem świata¹⁴. Coraz większe znaczenie odgrywała burżuazja, której sfera społeczna kształtowała się raczej przez więzi społeczne i ideologiczne, niż te stricte narodowe.

Kultura a rynek

Europejskie miasta stanowiły silne ośrodki kulturalne: można odnieść wrażenie, że życie miejskie toczyło się w oderwaniu od polityki centralnej. Rozwijały się w nich wielkie instytucje – teatry operowe, sale koncertowe, a także wydawnictwa muzyczne. Zdaniem Cristiny Magaldi, autorki pracy *Cosmopolitanism and Music in the Nineteenth Century*, miasta europejskie scentralizowały rynek produkcji

muzycznej, a dzięki zgromadzonemu kapitałowi i sile politycznej pozwalały na szeroką dystrybucję muzyki na skalę międzynarodową. Wagner opisywał Paryż jako „centrum świata, gdzie sztuka każdego z narodów zlewa się razem w jedno ognisko”¹⁵.

Doświadczenie kosmopolityczne zmieniało postrzeganie świata, a w tym także poglądy estetyczne twórców. Problem ten został zauważony przez Carla Dahlhausa, którego zdaniem „pojęcia wspólnoty ludzkiej, kosmopolityzmu, nacjonalizmu i indywidualizmu, szeroko rzutowały na estetykę muzyczną XIX wieku”¹⁶. Na przestrzeni wieku XIX intelektualisci i artyści musieli mierzyć się z napięciem na linii tendencji narodowych i kosmopolitycznych. Uniwersalizm i narodowość stanowiły opozycyjne siły, określane też – m.in. przez Gerarda Delanty’ego – mianem „paradoksu modernizmu”. Goethe z jednej strony wierzył, że literatura może reprezentować zjednoczony naród niemiecki, a z drugiej strony mogłaby stać się siłą popychającą ludzkość ku większej samoświadomości i jedności w kontekście całego świata. Nicholas Vazsonyi określał ten dylemat „paradoksem Wagnera”¹⁷, gdyż autor *Tetralogii* z jednej strony wspierał idee germańskości, a z drugiej postrzegał dzieło sztuki totalnej jako uniwersalne, mające siłę, aby poruszyć całą ludzkość.

Bruce Robbins, autor pracy *Feeling Global: Internationalism in Distress*, zauważa, że tendencje kosmopolityczne były skutkiem rozwoju kapitalizmu i gospodarki wolnorynkowej, która traktowała kulturę i muzykę jako rodzaj „kapitału kulturowego”¹⁸. Potwierdza tę tezę Cristina Magalidi, stwierdzając, że „ekspansja globalnego kapitalizmu na przestrzeni dziewiętnastego wieku doprowadziła do przejścia od lokalnego i prywatnego do publicznego wspierania działań muzycznych, a także do rosnącego oddziaływania między muzyką a rynkiem, kształtowanym przez modę, nastawionym na zyski i uzależnionym od nowych relacji społecznych i oddziaływań przekraczających granice lokalne i krajowe.

Nowy muzyczny profesjonalizm zwiększył zapotrzebowanie kompozytorów i wykonawców na umiejętność negocjacji, a tym samym zmusił ich do refleksji nad swoimi zawodowymi aspiracjami i potrzebą autoekspresji, w kontekście potrzeb mecenasów i publiczności, tej bliskiej i znajomej, ale też dalekiej i niepoznanej. Aby stać się istotnym i znaczącym dla dużej i zróżnicowanej publiczności, muzycy z różnych środowisk (w tym ci aktywni w salach koncertowych, teatrach i kawiarniach oraz amatorzy) musieli nawigować subiektywne media, aby przekroczyć fizyczne granice, ale też granice kontekstów społecznych i kulturowych”¹⁹.

Należy zgodzić się z autorką: otwierające się rynki, możliwość łatwiejszych i szybszych podróży uczyniła z muzyków epoki

romantyzmu „obywateli świata”, a kluczem otwierającym lepsze możliwości zawodowe była właśnie sieć społeczna. Przed kompozytorem stało więc wyzwanie, aby uczynić muzykę interesującą zarówno dla publiczności lokalnej, jak i tej odległej, żeby sztuka dźwięków i jej przesłanie mogło przekraczać granice kulturowe. Wciąż otwartym, ale ważkim w tym kontekście pytaniem pozostaje, jak kompozytorzy postrzegali publiczność i jaki wpływ miało ich postrzeganie świata na dzieło muzyczne. Ważna staje się także kwestia jakie środki kompozytorskie pozwalały na dotarcie do zróżnicowanej publiczności i zapewnienie sobie sukcesu artystycznego i finansowego.

Wielu ze wspomnianych tu kompozytorów z odwagą przemierzało granice – i te fizyczne, podróżując po całej Europie, i te kulturowe, zjednując sobie przychyłość publiczności zarówno rodzimej, jak i obcej. Z pewnością do najbardziej znamienitych osobowości o niebywałej wręcz zdolności przekraczania granic i zjednywania sobie ludzi był Fryderyk Chopin. Niezwykle silnie na wielu twórców oddziaływała postać i muzyka Franza Liszta epatującego diabolicznym temperamentem, którego z Chopinem połączyła gorąca przyjaźń, pomimo że pod każdym względem stanowił jego całkowite przeciwieństwo. Na tle epoki interesująco rysuje się też osobowość Piotra Czajkowskiego, który choć urodzony w carskiej Rosji, większość życia spędził w licznych podróżach i trasach koncertowych po Europie. Zwraca uwagę Maria Szymanowska, która jako kobieta, rozwódka i samodzielna matka trójki dzieci, wykazała się podobną odwagą i z powodzeniem podbijała estrady koncertowe i salony.

Bardziej złożonym problemem pozostaje poszukiwanie przez kompozytorów strategii dla owego „przekraczania granic” – dokonywania swego rodzaju aktu transgresji – w celu uzyskania aprobaty w różnych miejscach i na styku różnych kultur. Zdaniem Joanne Cormac, Franz Liszt i Giacomo Mayerbeer, jako kosmopolici, posiadali zdolność „zamieniania kodów” [*code switching*] pomiędzy różnymi narodowymi językami muzycznymi²⁰. Należy postawić tezę, że w przypadku kompozytorów pierwszej połowy XIX wieku zwrot w kierunku wirtuozerii i czerpanie z popularnego stylu *brillant* był jedną ze strategii właśnie kosmopolitycznych. Młodemu Chopinowi dzięki atrakcyjnej, wirtuozowskiej grze, nie przynależnej przecież do jednego kręgu narodowego, udało się podbić serca publiczności paryskiej.

Również inspirowanie się utworami najpopularniejszymi w danym czasie stało się taką uniwersalną strategią, stąd powstawały liczne parafrazy na tematy operowe czy też

wariacje nawiązujące do niemal mitycznej postaci Paganiniego, archetypu romantycznego wirtuoza. Wykorzystanie jednego z najpopularniejszych w tym czasie tańców – walca – także można uznać za tego rodzaju strategię. W drugiej połowie XIX wieku styl *brilliant* stał się przebrzmiały, a kompozytorzy zwrócili się ku nowym horyzontom. Jednakże język muzyczny w całej Europie, i w miejscach do których docierała kultura europejska, na przestrzeni całego wieku dziewiętnastego stał się zespołem wartości wspólnych. Można zaobserwować to niezwykle łatwo, chociażby spoglądając na wybór walców, którego dokonałam dla swojej pracy doktorskiej. Chociaż w każdym z nich do głosu dochodzi styl indywidualny kompozytora, to jednak silnie wpisuje się on również

w uniwersalny czy „kosmopolityczny” wzorzec kulturowy.

Współczesna metoda analizy społecznej, zastosowana do zjawisk dziejących się 200 lat temu, pozwala na ujęcie powiązań pomiędzy postaciami epoki w innym świetle i na postawienie tezy, że owa sieć mogła być czynnikiem decydującym o sukcesie danego kompozytora, a także źródłem kosmopolityzmu czy uniwersalizmu. To ona sprzyjała wspólnemu kształtowaniu światopoglądu, a w konsekwencji: budowaniu wspólnego stylu i języka muzycznego, obejmującego cały świat kultury zachodniej.

Przypisy:

- 1 <https://sjp.pwn.pl/sjp/spo%C5%82ecze%C5%84stwo;2523094>
- 2 Jonathan H. Turner, Alexandra Maryanski, *Analiza sieciowa*, rozdział [w:] *Jonathan H. Turner, Struktura teorii socjologicznej*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2010, s. 604.
- 3 Jonathan H. Turner, Alexandra Maryanski, op.cit., s. 604.
- 4 *Sieć społeczna*, hasło [w:] Wikipedia, [https://pl.wikipedia.org/wiki/Sie%C4%87_spo%C5%82eczna; dostęp 25.11.2020].
- 5 J. A. Barnes, *Class and Committees in a Norwegian Island Parish*, „Human Relations”.
- 6 Adam C. Springer, J. E. de Steiguer, *Social Network Analysis: A Tool to Improve Understanding of Collaborative Management Groups*, „Journal of Extension”, December 2011 Vol. 49 Number 6, [<https://www.joe.org/joe/2011december/rb7.php>; dostęp 26.11.2020].
- 7 Socjogram został stworzony w programie UNICET 6, licencja: Lin Freeman, Martin Everett i Steve Borgatti.
- 8 Jonathan H. Turner, Alexandra Maryanski, op.cit., s. 606.
- 9 Jonathan H. Turner, Alexandra Maryanski, op.cit., s. 609.
- 10 Pauline Kleingeld, Eric Brown, *Cosmopolitanism*, hasło [w:] *Stanford Encyclopedia of Philosophy*, [<http://plato.stanford.edu/entries/cosmopolitanism>; dostęp 19.11.2020].
- 11 Zob. R. Scruton, *Słownik myśli politycznej* (1982), przeł. Tomasz Bieroń, Zysk i S - ka Wyd., Poznań 2002, s. 178.
- 12 Cristina Magaldi, *Cosmopolitanism and Music in the Nineteenth Century*, [<https://www.oxfordhandbooks.com/view/10.1093/oxfordhb/9780199935321.001.0001/oxfordhb-9780199935321-e-62>, dostęp: 11.11.2020].

13 Jeremy Waldron, cyt. za: Cristina Magaldi, *Cosmopolitanism and Music in the Nineteenth Century*, op.cit.

14 Cristina Magaldi, op.cit.

15 Richard Wagner, cyt za: Cristina Magaldi, op.cit.

16 Carl Dahlhaus, cyt. za: Cristina Magaldi, op.cit.

17 Nicholas Vazsonyi, *Richard Wagner: Self - Promotion and the Making of a Brand*, Cambridge University Press, Cambridge 2010, s. 1.

18 Bruce Robbins, cyt. za: Cristina Magaldi, op. cit.

19 Cristina Magaldi, op.cit.

20 Por. Cristina Magaldi, op. cit. Por. Joanne Cormac, *Liszt, Language, and Identity: A Multinational Chameleon*, “19th - century Music” 36/3/Spring 2013.

Bibliografia:

- Barnes J. A., *Class and Committees in a Norwegian Island Parish*, „Human Relations”.
- Cormac J., *Liszt, Language, and Identity: A Multinational Chameleon*, “19th - century Music” 36/3/Spring 2013.
- Słownik Języka Polskiego* PWN, [<https://sjp.pwn.pl/sjp/spo%C5%82ecze%C5%84stwo;2523094>; dostęp 20.01.2021].
- Kleingeld P. , Brown E. , *Cosmopolitanism*, hasło [w:] *Stanford Encyclopedia of Philosophy*, [<http://plato.stanford.edu/entries/cosmopolitanism>; dostęp 19.11.2020].
- Magaldi C. , *Cosmopolitanism and Music in the Nineteenth Century*, [<https://www.oxfordhandbooks.com/view/10.1093/oxfordhb/9780199935321.001.0001/oxfordhb-9780199935321-e-62>, dostęp: 11.11.2020].
- Scruton R. , *Słownik myśli politycznej* (1982), przeł. Tomasz Bieroń, Zysk i S - ka Wyd., Poznań 2002.
- Sieć społeczna*, hasło [w:] Wikipedia, [https://pl.wikipedia.org/wiki/Sie%C4%87_spo%C5%82eczna; dostęp 25.11.2020].
- Springer A. C. , J. E. de Steiguer, *Social Network Analysis: A Tool to Improve Understanding of Collaborative Management Groups*, “Journal of Extension”, December 2011 Vol. 49 Number 6, [<https://www.joe.org/joe/2011december/rb7.php>; dostęp 26.11.2020].
- Turner J.H., Maryanski A., *Analiza sieciowa*, rozdział [w:] *Jonathan H. Turner, Struktura teorii socjologicznej*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2010, s. 604.
- Vazsonyi A., *Richard Wagner: Self - Promotion and the Making of a Brand*, Cambridge University Press, Cambridge 2010, s. 1.



MAREK SOŁTYSIK

Z WIERSZY NAJNOWSZYCH

ARKA NOWA

To nie tak miało być; włączone warczenie
wbija się w resztówkę miłości; szyderstwo
w nędznych reprodukcjach ośmiela nikczemnych.
To nie tak miało być; stracona szansa zmartwychwstania
hurtem odebrała godność pod okiem hodowców smrodu.
Wbij gwóźdź w odrzucony patyk, wyrośnie drzewo arki.

Wielkanoc 2021

ZAKUTA WOLNOŚĆ

Cztery czarne ryby
Fruną nad naszym dachem.
Fruną, ale nie lecą, utkwili w miejscu
Z migotliwymi pozorami ruchu.
Ludzie mówią, że to ryby i że nie fruną,
Ludzie widzą, ale już ich nauczono zaprzeczać.
O, spowiadacie się, dziejopisy, o, skandujecie, tłumy.
Wypowiadajcie się, rześcy układacze wierszy.
Sprawiedliwi czekają na Godota,
Na Godota czekają ciekawscy,
A jutro i tak przyjdzie Brok.
Cud, smród, ultra gumm.
Marzenia ściętej głowy, marzenia świętej gały,
Złorzeczenia, bluźnierstwa,
Zakuta wolność.
Trzy martwe ryby pozują na desce,
A czwarta się schowała i pożyje jesce.

17 kwietnia 2021

LOGO 2021

Popatrz, jestem w pustce, rzną - piłują, za oknem.
To znośne jest do zniesienia, rzną - piłują, wycinają
wrażliwość.
Idziesz ponad tym, powycinany, straszny kogut zbrukany;
mówisz, że nic, że to bilet na wczasy,
wystawiony przez służbistego redaktora - potwora.

10 maja 2021

BARBARA KORTA-WYRZYCKA



ZAPISKI ROKU PANDEMII

Wiadomości dla Ciebie

kwiecień 2020

Budzik niezawodnie odezwał się o 8.30.

Jak co dzień wsunęłam stopy w kapcie i poczłapałam w miękkiej, przyużytej pizamce do dużego pokoju, by przejrzeć najnowsze wiadomości. Włączyłam laptop. Zdążyłam porządnie się przeciągnąć i przewietrzyć głębokim ziewnięciem płuca, zanim się włączył.

No, wreszcie. Patrzyłam na ekran i robiłam odruchowo selekcję. To znam, to widziałam. Najnowsza wiadomość była z przedwczoraj. Kliknęłam na świecąca się opcję „Wiadomości dla Ciebie”. Obraz zafalował, wiadomości lekko się poprzestawiały, ale nic nowego się nie pojawiło.

„Ki czort?!” – pomyślałam.

Lekko zaniepokojona wyszłam na balkon. Bujna w tym roku zieleń kryła łaskawie nieodległą ulicę, skąd dolatywał zwykły o tej porze szum przejeżdżających samochodów.

„Wszystko jak co dzień.”

Przymknęłam oczy i uniosłam twarz. Wiał dzisiaj, jak już od wielu dni, wschodni wiatr. Spojrzałam na niebo. Napędzał znowu chmury. Będzie padało. Dzień, jak co dzień.

Śniadanie zjadłam w ciszy. Nie włączyłam telewizora. Skoro nie ma dla mnie wiadomości, to nie będę oglądać tych przeznaczonych dla innych, bo im też może braknąć.

Rutynowo sprawdziłam barek: zapasy winka porzeczkowego od cici Jasi, porto i napoczęta butelka ginu.

„Nieźle” – zaakceptowałam. – No, nie będę taka. Wstrzymam się do 13.00”.

„Skoro nie ma dla mnie dzisiaj wiadomości, to muszę zadbać o codzienne wydarzenia sama.” – podjęłam życiową decyzję.

Wyjęłam z szafy zahibernowaną tam sukienkę. Mój pierwszy i jedyny, jak dotąd, zakup przez Internet. Zamówiłam ją, jak sądziłam, w krajowej sieci wysyłkowej, a paczka przyszła po trzech tygodniach z chińskimi napisami i mnóstwem nalepek. Na dużej metce, mocno przyszytej na karku widniały ikonki: prać max w 30 °C ręcznie. Widocznie barwniki marne.

Sukienka nie przetrwa testu pralki, to pewne, ale może zmieni się cyrkulacja wiatru i nastaną słoneczne dni... można będzie pójść na spacer.

Zrobię przepierkę, zobaczymy co z tego wyjdzie.

Wieczorek autorski czerwiec 2020

Słońce nie szczydziło swej energii wytrwale ogrzewając nasz mały północny bogoojczyźniany zakątek. Dni zrobiły się wreszcie długie i ciepłe, a przecież od ilości nasłonecznienia zależy nie tylko dawka wytworzonej w organizmie witaminy D, ale i wzrost poziomu endorfin. Sklepy i restauracje cieszyły się z odzyskanych klientów. Ilościowe restrykcje wydawały się w czerwcowym słońcu błahe i nieistotne. Na otwartej przestrzeni można było poruszać się bez maseczki. Niektórzy próbując w pełni skorzystać ze świeżo odzyskanej pandemicznej wolności planowali bliższe lub dalsze wypadki wakacyjne. W powietrzu dawało się wyczuć radosne ożywienie. Z telewizorów płynęły słodkie jak miód słowa o pokonaniu wirusa. Odrąbiono sukces jednak z zachowaniem podstawowych zasad bezpieczeństwa i dystansu.

Twardy *lockdown* odchodził pomału w zapomnienie.

W jeszcze radośniejszy nastrój wprowadził mnie niespodziewany telefon. Szefowa biblioteki dzielnicowej chciała zorganizować wieczorek autorski ze mną w roli głównej. Endorfiny aż zaszumiały mi w głowie. Pewnie, że chciałam. Marzyłam o takim prawdziwym wieczorku, który nie byłby wyrazem dobrej woli życzliwych znajomych i sąsiadów ani spędem licealistów zwabionych piątką za aktywność z polskiego, ale spotkaniem kameralnej grupki czytelników, zainteresowanych moją pisaniną. Nazajutrz popędziłam na umówione spotkanie. Chciałam poznać tę fantastycznie życzliwą osobę. Bibliotekarka okazała się energiczną, postawną czterdziestoparolatką. Zdecydowanie i konkretnie poprowadziła rozmowę. Ustaliliśmy termin na najbliższy tydzień. Drobnym poczęstunkiem wzięłam na siebie. Bezproblemowo omówiliśmy program i afisze. Twarde hamowanie poczułam, gdy doszliśmy do uczestników, a ja emocjonalnie zwierzyłam się ze swej wizji autentycznego, spontanicznego wieczoru autorskiego. Twarz mojej rozmówczyni stężała. Patrzyła na mnie badawczo jak na wijącą się dżdżownicę. Zapadła niezręczna cisza. Po dłuższej chwili odezwała się wyskrobując resztki życzliwości:

– Mamy działające przy bibliotece kółko dyskusyjne. Praktycznie mogę obiecać, lecz nie zagwarantować, obecność trzech pań.

– Och, to wspaniale! – Rozpromieniłam się jak idiotka. – Nie zależy mi żeby przyszło wielu. Ważne żeby byli zainteresowani. Pewnie z dziesięcioro przyjdzie. Osiedla tu takie liczne.

Dwa dni później postanowiłam sprawdzić słowność dyrektorki i zapuściłam się w rejony przyjaznej biblioteki. Szefowa okazała się solidna. Afisze reklamujące moje spotkanie autorskie dostrzegłam na płocie pobliskiej szkoły, garażach, w witrynie spożywczego i apteki, a nawet, chyba nielegalnie, na otaczającym kościół murze.

„Dobra nasza” – pomyślałam jakoś tak w liczbie mnogiej i uskrzydłona pognałam na przystanek autobusowy.

Nadszedł dzień zero.

Przed jedenastą wypakowanym samochodem zaparkowałam, najbliżej jak się dało, przed wejściem do biblioteki. Placówka zajmowała większą część piętra dwupoziomowego pawilonu, dzieląc ją jedynie z prywatną przychodnią stomatologiczną. Uznałam, że osobnicy z obolałymi szczękami nie będą zainteresowani słodyczami i opracowałam plan transportu. Po szerokich i na szczęście wygodnych schodach wносиłam pudełka i ustawiałam obok siebie spory kawałek przed drzwiami biblioteki. Na koniec zablokowałam samochód i czując obolałe kolana zataszczyłam ostatnie pudło z małymi buteleczkami soków.

Ogarnęłam gospodarskim spojrzeniem zgromadzony dobytek. Sporo tego było. Dwadzieścia pięć czekoladowych muffinek z wiśnią. Każda owinięta w folię spożywczą. Karton oryginalnie zapakowanych kawałków biszkoptu przełożonego masą czekoladową. Kilogram mieszanki wedlowskiej. Pięć butelek wina białego i pięć czerwonego. Moją kontemplację przerwała młoda usmiechnięta dziewczyna, która przedstawiła się jako starszy bibliotekarz i ku mej radości zwołniała mnie z dalszych czynności obiecując, że sama wszystkiemu zajmie. Pożegnaliśmy się jednomyślnym: „No to do wieczora”. Wesoło pognałam do auta i do domu, by zadbać o swą aparycję.

Kwadrans przed osiemną przekroczyłam próg gościnnej placówki.

Bibliotekarki spisały się na medal. Uchylone okna. Ustawione w odstępach krzesła z boku fotel dla szefowej no i przede wszystkim biurko dla prelegenta, za którym na ścianie przykleiły spory plakat z moim korzystnym zdjęciem i powiększoną okładką jedynej opublikowanej książki. W takim ujęciu nie rzucało się w oczy, że była tak rozpaczliwie cienka.

Przywitałam się z gustownie wyszykowaną szefową i zaczęłam wyklądać niezbędne rekwizyty na blat biurka. Co chwilę zerkałam w stronę drzwi wypatrując czy ktoś nadchodzi. Obserwację ułatwiały przeszklone drzwi, dające wgląd na cały podest aż do gabinetu dentystycznego.

Niespiesznie przyszło kilka osób.

Nie traciłam czujności. Przy drzwiach stała krucha staruszka z siateczką. Dreptała w miejscu. Wyglądała na niezdecydowaną. Podeszłam do niej niezwłocznie.

– Czy tu jest spotkanie z poczęstunkiem? – zapytała konfidenicznym szeptem nie spuszczać ze mnie wzroku.

W momencie utonęłam w jej ogromnych bladobłękitnych oczach, powiększonych jeszcze szklami okularów. Wydawały się nadnaturalne i wyjątkowe. Nigdy takich nie widziałam. Niewiele myśląc potwierdziłam

– Tak, tak! Zapraszam. Proszę tylko założyć maseczkę.

– Jestem przygotowana – odparła również szeptem i zaczęła gmerać w siateczce.

Odwrociłam się. Trzy aktywistki biblioteczne, tłustawy niechlujny jegomość w polo, para emerytów, no i niebieskooka staruszka. Mogło być gorzej.

Usłyszałam za sobą natarczywe pukanie.

– Otwarte! – powiedziałam głośno.

Za przeszklonymi drzwiami zobaczyłam dwójkę nastolatków. Wyglądali jak dwa Michały. Może siedemnastoletni mały chudzielec wymachiwał rękami nad głową jak rozbitek na widok statku ratowniczego. Mimo tych wysiłków i stawania na palcach sięgał zaledwie do łokcia swojemu zwalistemu dwumetrowemu koledze.

Zaciekawiona zrobiłam krok w kierunku wejścia, gdy silne szarpnięcie za ramię osadziło mnie w miejscu. Poczułam niehigieniczny gorący oddech na ucho i usłyszałam:

– To są łobuzy. Nie można ich wpuszczać. Zadają głupie pytania, dręczą personel, rysują po książkach i nie oddają w terminie.

Dyrektorka, bo to ona jak lwica błyskawicznie doskoczyła do mnie, powstrzymywała mnie przed wpuszczeniem niecierpliwie przestępującej z nogi na nogę młodzieży męskiej.

– Ależ co takiego mogą zrobić w obecności innych? Dajmy im szansę. – zaparłam się, chcąc za wszelką cenę powiększyć pulę uczestników.

Dyrektorka spurpurowiała ze złości i przez zacisnięte wargi wysyczała:

– Proszę bardzo, ale na pani odpowiedzialność.

Niespeszona odmową współpracy otworzyłam drzwi i ogarnęłam, że problem z wejściem polegał na braku maseczek.

– Zaraz panom podam maseczki jednorazowe. Proszę zająć miejsca – szerokim gestem zaprosiłam nieproporcjonalną parę.

Był już kwadrans po osiemnastej. Nie było na co ani na kogo czekać. Zająłam miejsce przy biurku. Dyrektorka demonstracyjnie włożyła maseczkę, wzięła z rąk młodej bibliotekarki wazon z kwiatami i stanęła przed biurkiem. Trochę zduszonym, lecz dobitnym głosem krótko przedstawiła mnie i moje niewielkie osiągnięcia i postawiła wazon na biurku, co miało zastąpić niedopuszczalne nadal w pandemii uściski.

Postanowiłam nie wkładać maseczki, bo nie dysponowałam siłą głosu dyrektorki, a poza tym zachowywałam bezpieczny dystans od pozostałych. Złożyłam ją na pół i wsunęłam pod etui na okulary. Uśmiechnęłam się i zaczęłam ze swadą opowiadać o tym, jak swoje życiowe doświadczenia zamieniam w materiał literacki. Potem przeczytałam krótki, według mnie zabawny, fragment opowiadania.

Żadnej reakcji.

Popatrzyłam na salę. Jedna z działaczek pilnie notowała coś w zeszytiku. Emeryt majstrował coś przy uchu. Pewnie próbował pogłościć, a może ściszyć, aparat słuchowy. Jegomość w poplamionym polo wyprostował relaksacyjnie nogi na całą długość i chyba drzemał. Ożywił się, gdy młoda bibliotekarka przeszła za ażurowy regał, by na dotąd pustym stole, oddalonym od przygotowanych wcześniej z artystycznie

wręcz ułożonymi słodyczami, poustawiać jednorazowe papierowe kubki i napełnić je winem.

Zmieniłam temat i zaczęłam opowiadać o rejsie małą łodzią po zarośniętej chaszczami i opanowanej przez żaby rzece Ropotamo. Niewiele to zmieniło. „Mogłaś dodać jakiegoś żarłocznego krokodyla – skarciłam się w myślach – kogo obchodzi siedlisko żab albo że Miczurin to już nie Miczurin a primorsk”.

Chudzielec nie mógł usiedzieć spokojnie. Zajęli miejsca najbliżej biurka z mojej prawej strony. Miałam więc pełny wgląd w ich zachowanie. Zwalisty siedział spokojnie. Otoczył ciałem krzesło, które stało się niewidoczne, i wyglądało jakby zawisł nad ziemią. Iluzję burzyły jedynie wystające spod siedzenia cienkie metalowe nóżki.

Mały, pewnie z ADHD, wyczytniał łamańce z nogami, przewieszał długie ręce przez oparcie krzesła, grzebał w przepaścistych kieszeniach bojówek albo dla urozmaicenia czochrał się po kudlistej czuprynie. Odpowiadałam za nich, więc czytając fragmenty zsunęłam okulary nisko na czubek nosa, żeby móc swobodnie obserwować młodych podopiecznych.

Spróbowałam nawiązać kontakt z obecnymi zadając pytanie wprost, co się im w mojej książce nie podoba, drażni bądź przeszkadza.

Nic. Żadnego odzewu. Martwa cisza na sali. Po dłuższej chwili przerwał ją głos zwalistego:

– Za mało akcji.

– I seksu – dołączył o dziwo basem mikry chudzielec.

Działaczki pogdakały coś niezrozumiale przez maseczki, kręcąc z dezaprobatą głowami.

Skupiłam się na wertowaniu książki próbując szybko znaleźć jedyny opis stadnego mordobicia. „Jest” – pochwaliłam się w myślach. Nie zwlekając zabrałam się do czytania. Zerknęłam na zwalistego. Wyraźnie słuchał, bo powieki przestały mu się sennie kleić. Kontynuowałam z zapalem czytanie. Przeszkadzały mi tylko powtarzające się bzyknięcio-świśnięcia nad moją głowę. Spojrzałam na chuderlaka. Przestał się więc na krześle, bo znalazł sobie nową aktywność. Pstrykał zapalkami celując we mnie na plakacie. „Cholerny łobuz – pomyślałam – ale nie dam ci satysfakcji”.

Niezrażona jego praktykami kontynuowałam wartką narrację. Pewnie zaczęłam upajać się własnym głosem, skoro nie zauważyłam, kiedy dyrektorka podeszła do biurka. Zobaczyłam tylko, że stoi przede mną i chlusta mi prosto w oczy wodą z wazonu. Nie ochroniły mnie opuszczone na koniec nosa okulary, dyndające się teraz smętnie na jednym uchu. Oślepią nagłym prysznicem odruchowo szukałam czegoś do wytarcia. Zapamiętałam, gdzie położyłam maseczkę. Namacałam ją i wytarłam oczy i całą twarz, żeby zobaczyć co się dzieje. Odwróciłam się i dojrzałam dopalające się na podłodze resztki ślicznego plakatu ze mną. Myślałam błyskawicznie. Pewnie jedna z zapalek, którymi pstrykał chudzielec zapaliła się, a że celnie trafiła w papierowy plakat,

to wywołała lokalny pożar. A może celowo ją zapalił? Skończyłam z myśleniem i przeszłam do czynu. Zerwałam się i rzuciłam ku krzesłom ze zwalistym i chudzielcem. Łebscy chłopcy dali dyla i zobaczyłam tylko ich plecy za przeszklonymi drzwiami.

Dyrektorka wysunęła się na środek i unosząc rękę spokojnie, lecz stanowczo, oznajmiła:

– Sytuacja opanowana. Nic się nie stało. Proszę pozostać na miejscach.

Towarzystwo niespecjalnie się zbulwersowało. Jedyne jegomość w polo zerwał się z siedzenia i wtulił w parapet przy oknie. Za to trzy działaczki zbite w niehigieniczne stado majstrowały bulgocząc coś niezrozumiale przy swoich smartfonach. Niewiele myśląc doskoczyłam do nich i zawyłam:

– Proszę nie wzywać straży pożarnej, a jeśli chcecie wrzucić nagrany filmik do internetu to ostrzegam, że swoje prawa autorskie mam i podam was do sądu. Nie wygracie! Rekwiruję smartfony!

Musiałam wyglądać groźnie ze skołtunionymi, mokrymi włosami i twarzą w nieregularny wzór z tuszu do rzęs, cieni i różu, bo bez słowa podały mi swoje telefony. Dyrektorka po raz pierwszy spojrzała na mnie z uznaniem. Podałam jej zarekwirowany sprzęt i poprosiłam o pomoc w wykasowaniu ewentualnych nagrań. Żadnej z nas taka reklama nie była potrzebna, że nie wspomnę o młodzieńcach.

Dyrektorka przejęła inicjatywę:

– Sądzę, że na tym zakończymy nasze dzisiejsze spotkanie.

Przyjęłam tę decyzję z ulgą. Wiedziałam, że muszę dokładniej wytrzeć twarz, a przede wszystkim zobaczyć jak wyglądam, ale nie mogłam, bo nagle zaktywizowała się staruszka z błękitnymi oczami, która wstała i wyraźnie ze szkolną dykcją zapytała:

– A poczęstunku nie będzie?

– Będzie, ale na wynos. Zapraszam do częstowania się! – wyrwałam się samowolnie, bo szkoda byłoby zmarnować przytąszczone produkty, a staruszka tylko po to tu się zapędziła.

Dyrektorka wyraźnie mi odpuściła i zajęła się razem ze swoją pracownicą sprawdzaniem smartfonów. Mogłam dogrzebać się wreszcie do lusterka i chusteczek. Makabra. Wyglądałam jak stary indianin na ścieżce wojennej. Tusz najpierw rozmoczony i rozmazany, teraz nie puszczał na sucho. Plunęłam dyskretnie na chusteczkę i na ile mogłam ogarnęłam sytuację. Zerkałam z ciekawości, co się dzieje w strefie poczęstunku. Najlepiej radziła sobie błękitnooka, wpychając bez grymasów wszystko jak leci w pojemną siateczkę. Reszta pakowała słodczyce do serwetek. Jegomość w polo przechwycił mój wzrok i podnosząc w górę obie ręce z kubkami wina wesoło oznajmił:

– Ja spożyję na miejscu. Zdrowie pani literatki!

Przesunął się w stronę okna, gdzie na parapecie stały już dwa opróżnione kubki po winie. Pomachałam mu ręką i uśmiechnęłam się. Wzruszyła mnie ta „literatka”. Z nagłą zamiast złości poczułam przypływ dobrego humoru. Przecież jest fajnie. Ludzie się cieszą. O, nawet rozmawiają ze sobą i sięgają po wino. Wyłączone z ogólnej radosnej konsumpcji były tylko trzy aktywistki nerwowo oczekujące na zwrot swojego sprzętu. Młoda bibliotekarka okazała się bystra i szybko uporała się z zadaniem. Odzyskawszy swoją własność zademonstrowały niezadowolenie opuszczając z uniesionymi głowami bibliotekę.

Od razu zrobiło się swojsko i spokojnie. Okazało się, że jedna z działaczek sfilmowała zajście. Na szczęście nie zdążyła go nikomu przesłać. Dobrze że pozostałe nie były zbyt biegłe w obsłudze smartfonów. Dyrektorka nie mogła sobie odmówić swojego „a nie mówiłam”:

– Jest pani naiwną idealistką. Ostrzegałam przed łobuzami. Za to nie przypuszczałam, że z aktywistek takie łowczyni skandali.

– Na szczęście to zwykłe łobuziaki. Dobrze, że do imentu nie wciągnął ich świat wirtualny. A pani fanki to spryciule – spointowałam.

Uczestnicy wieczorku wyraźnie poczuli się ugosczeni, bo pojedynczo, taszcząc słodkie zapasy, opuszczali bibliotekę. Zaoferowałam pomoc w sprzątaniu, ale młoda bibliotekarka wyraźnie ubawiona wydarzeniami gwałtownie zaoponowała.

– W takim razie pora i na mnie. Serdecznie paniom dziękuję... za wszystko – zakomunikowałam.

– Czy jest pani samochodem? – zainteresowała się dyrektorka.

– Nie. Planowałam wrócić taksówką, bo myślałam, że na koniec skosztujemy razem wina. Nie takie najgorsze kupiłam...

– No właśnie – weszła mi w słowo dyrektorka – nic nie stoi na przeszkodzie i jakoś wyraziście podsumujemy dzisiejsze spotkanie.

Wino było faktycznie niezłe, ale po dwóch kubeczkach podjęłam zdecydowany odwrót.

– Jeszcze raz dziękuję. Pewnie się już więcej nie spotkamy. Życzę paniom rozsądnych autorów.

Nie zaprotestowały. Uśmiechnęły się obie i wbrew zaleceniom epidemicznym uściśnięły sobie serdecznie ręce.

Młodsza odprowadziła mnie do drzwi i wyszeptowała:

– Wie pani, nie pamiętam żeby wcześniej tyle się tu działo. Do widzenia.

Widziałam, że macha mi ręką. Odmachałam. Zamówiłam taksówkę przez aplikację. Musiała być niedaleko, bo szybko podjechał srebrzysty hyunay. Otworzyłam drzwi i grzecznie zadysponowałam:

– Dzień dobry. Proszę na ulicę...

– Bez maseczki nie biorę – przerwał mi zdecydowanie kierowca. Zorientowałam się, że ostatnią maseczkę użyłam do wytarcia twarzy. Zaczęłam nerwowo przeszukiwać torebkę,

ale nic z tego. Myśli kłębiły mi się w głowie.

– Proszę pana – odezwał się – zróbmy tak. Ma pan przegrodę z plexi, a ja przyłożę do twarzy i będącały czas trzymać dwie rozłożone chusteczki higieniczne i dojedziemy.

– No, wyjątkowo – przystał niechętnie na propozycję. Wróciłam do grzebania w torebce. Cała paczka chusteczek wyparowała.

– Cholera – wyrwało mi się – chusteczki zostawiłam w bibliotece.

– To niech pani wróci.

– Nie mogę, już zamknięte – skłamałam, bo nie chciałam tam wracać.

– Bez maseczki nie biorę – powtórzył zdenerwowany.

W miarę sprawnie opuściłam pojazd i już na zewnątrz głośno przeprosiłam za kłopot. Oj, na dzisiaj mi już ich chyba wystarczy.

Przypomniałam sobie, że niedaleko jest apteka. Kupię maseczkę i po sprawie. Wewnątrz stały w kolejce do jedynego okienka cztery osoby. Wszystkie w maseczkach. „No tak. W pomieszczeniach publicznych i środkach komunikacji należy...bla, bla”. Wycofałam się na zewnątrz. Pomyślałam, że poproszę kogoś wchodzącego o kupienie maseczki. W końcu są jeszcze życzliwi ludzie na świecie.

Sięgnęłam po portfel, żeby przygotować drobne. Niestety, w kieszonce na bilon zobaczyłam tylko kilka pięciogroszówek i trochę sfatygowany bilet MPK. „Ale mam dzisiaj niefart, a myślałam, że to już koniec” – pomyślałam. Od mieszkania dzieliło mnie jakieś sześć kilometrów i dobrze byłoby ten dystans nieco skrócić. Byłam niemal na wysokości przystanku autobusowego.

Przyspieszałam kroku. Właśnie podjeżdżał jakiś. „Może być, trzy przystanki w moją stronę” – pomyślałam. Wsiadłam tylnymi drzwiami i odwróciłam tyłem do wnętrza. Ruszyliśmy. Dyskretnie rozejrzałam się. Nie było najgorzej. Niewielu pasażerów. Niestety na siedzeniach zwróconych ku tyłowi, czyli na mnie, siedział facet, a po drugiej stronie przejścia dorodna pięćdziesiątka. Poszukałam wzrokiem najbliższego kasownika. Pomyślałam, że jak uda mi się przejechać jeden przystanek, to skasuję sfatygowany bilet, który odkryłam w portfelu.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Nabrałam przekonania, że mi się udało. Nic z tego.

– Coś ty, heep, taka zmarnowana kobieto? Pora jeszcze wczesna – zwrócił się do mnie siedzący najbliżej drzwi jegomość.

Czkał i mówił niewyraźnie, więc zapewne był podпиты. Wątpliwości rozwiął zionący od niego odór lekko przetrawionego alkoholu. Postanowiłam się nie odzywać, bo po pierwsze z pijakiem jak z wariatem się nie zaczyna, a po drugie nie powinnam ściągać na siebie uwagi. Pijakowi było w to graj:

– Pośladki masz nawet apetyczne. Jędrne. Pełne. Ciekawe ile bierzesz. Pewnie niewiele, bo luksusowe mają kierowców.

Cisnienie mi się podniosło, ale niemal przykleiłam twarz do szyby drzwi i milczałam.

Zamilkł na chwilę. Niespodziewanie poczułam uszczypnięcie w pośladek. Tego było za wiele.

– Nie dotykaj mnie ty zwyrodniały pijaku! – zawarczałam i odwróciłam kryjąc atakowany tyłek.

– No to już jasne! Z tyłu liceum, a z przodu muzeum. I co się tak certolić, jak się ma podstarzałe wdzięki – rechotał na cały głos.

– Spieprzaj obslizgły opoju! – wybuchłam.

Pijak z uśmiechniętą gębą trzymał się rurki i rytmicznie kiwał do przodu i do tyłu. Chyba zbierał myśli, bo zamilkł. Zastąpiła go urodziwa pięćdziesiątka, siedząca po drugiej stronie przejścia, która wysokim głosem zaintonowała:

– Patrzcie państwo, ona nie ma maseczki i jeszcze obraża pasażerów!

Była to tak jaskrawa niesprawiedliwość, że zaniemówiłam. Niespodziewanie kierowca gwałtownie przyhamował. Trzymałam się mocno uchwytu na drzwiach, więc tylko mną delikatnie zarzuciło. Macacz niby też trzymał się rurki u szczytu schodów, ale widać słabo, bo pierwsze szarpnięcie rzuciło go bezwładnie na kolana obrończyni, a drugie sprawiło, że poleciał głową w przód i uderzył w oparcie pustego siedzenia naprzeciwko. Ostatecznie całym ciężarem wyładował na stopach dorodnej. Babsko zawyło.

Na szczęście autobus dojeżdżał do przystanku. Wsiadłam w pośpiechu. Z przyjemnością odetchnęłam świeżym, no innym, powietrzem. Przebyty przystanek był dość długi, więc zostało mi jeszcze jakieś pięć kilometrów do przejścia. Za godzinę będę w domu. Może być.

Znienacka, chyba z pomieszana zapachów autobusowych i ulicznych, kichnęłam potężnie. Odruchowo chciałam dłonią dotknąć nosa, ale wstrzymałam się, przecież ręce dezynfekowałam ostatnio w bibliotece, a później obmacałam taksówkę, drzwi apteczne i nadzwyczaj dokładnie uchwyty w autobusie. Sięgnęłam po buteleczkę płynu dezynfekcyjnego, którą przezornie upchnęłam pionowo w zewnętrznej kieszonce torebki, żeby się nie wychłapała.

Chwila szarpaniny z krótkim zameczkiem i moim oczom ukazała się buteleczka szczelnie owinięta w błękitną, jednorazową maseczkę. Oczywiście na wszelki wypadek.

JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA

HARMONIA

Po lewej Boecjusz, po prawej Pitagoras
wpisuję w okrąg pierwszy trójkąt

Wenus ustawiła się centralnie
na wprost moich okien
jak dziewiątka na szczycie koła
i od niej wytyczam dwie linie
na Wschód i na Zachód

po lewej wpisuję cyfrę sześć
trzy po prawej
i łączę je u podstawy
uczę się czynić to machinalnie
tak jakbym otwierała drzwi

łączę jedynekę z siódmką i czwórką
siódmką z piątką
zapalam pierwszą świecę
wsluchuję się w szum wiatru
liczę krople deszczu

/Boecjusz wyróżnia muzykę świata
i instrumentalną muzykę człowieka /

Trzeba jeszcze połączyć ósemkę
z dwójką i piątką
podpowiada mi własny wewnętrzny głos
widzę teraz koronę stworzoną z cyfr

Księżyc przesuwany się na Zachód
zaraz zniknie za wzgórzem Kamedułów
a na Wschodzie wynurzy się
w różowej poświacie Aurora
przed moimi oczami
przesuwają się ramiona
obraz staje się ruchomy
i linie tańczą wewnątrz koła

Czuję puls własnego serca
zgodny z rytmem wszechświata
absolutna harmonia

gdy połączę ósemkę z czwórką
i jedynekę z piątką
powstają pola rombów
jak na norweskim swetrze mego męża
Eneagram Marko Rodina
magia liczb

siedem równych części okręgu
wyznacza siedem dźwięków gamy
wznoszą się i opadają

*każda liczba dzielona przez siedem
tworzy (po przecinku) powtarzający się
w nieskończoność matematyczny układ
Eneagramu*

to już wiedza dla wtajemniczonych

*gdy podnosimy ton wyjściowy o oktawę,
jego częstotliwość wzrasta dwukrotnie
materiał wyjściowy do zabawy*

Podmuch wiatru gasi płomień świecy
ktoś kryje się w mroku
ktoś szepce za moimi plecami
za oknem wiatr śpiewa
słyszę szelest szat i odgłos kroków
skąd czerpał wiedzę Pitagoras

ósemka kładzie się na mych oczach
w rytmie nieskończoności
ale noc nie dobiegła jeszcze kresu

liczby tworzą układy geometryczne
okręgi nakładają się na siebie
niczym równoległe światy
dziewięcioramienna gwiazda migocze
niczym Wielkie Oko Boga

Cyklon przesuwa się tuż nad moją głową
i rozrywa myśli
kłębią się niczym chmury
liczby wirują jak zaczarowane
w kole unoszącym się w powietrzu
i grają na niewidzialnych strunach
a po chwili toczą się jak kula
w formie foremnego sześcianu

We śnie cofam się w czasie
i na wielkiej łące pełnej kwiatów
obrywam płatki stokrotek
na mych oczach otwiera się
kwiat lotosu
płyną fraktale
wielki pierzasty wąż
na nieboskłonie

O świecie wszędzie wokół
powalone drzewa
pozrywane dachy
lament i płacz

25.06.2021

EDWARD KURLETO veI ROBERT LARKEN



ROK KRÓLIKA

Po nocy spędzonej ze swoją narzeczoną Ying w Crown Casino w Melbourne, Mark Brody zostaje zatrzymany przez policję, jako podejrzany o jej zgwałcenie i zabójstwo. Nieznane siły organizacji przestępczej są przeciwko niemu. Mark musi ujawnić głębię spisku, wyciągnąć prawdę na światło dzienne. Przestępcy porywają jego córkę, by przyznał się do niepełnionej zbrodni.

Po przybyciu Kijanego, który przywitał Pam niezwykle chłodno, ale rozchmurzył się, gdy adwokatka przyznała się, że skopiowała z laptopa Ying pewne dokumenty, które pozwolą jej prowadzić sprawę dotyczącą odzyskania ziemi Aborygenów na Cape Yorku, zdecydowali, że Pam wspólnie z Aborygenami pojedzie do Laury do rodziny Ying, zaś Alex i Armanda do Hong Kongu.

Następnego dnia po ich wyjeździe, Pam z Kijanem zblizali się do rodzinnej wioski Ying. Tam mieli rozmawiać o Ying, ale Pam nie tylko chciała bliżej poznać rodzinę nieżyjącej dziewczyny Marka, ale również zwyczaj i tradycję aborygeńską. Okazja była ku temu wielka, bowiem jak powiedział jej Kijani właśnie w tym czasie odbywały się w okolicy Laury tradycyjne uroczystości wprowadzenia w życie młodych chłopców. Było to ważne wydarzenie w życiu społeczności aborygeńskiej, bowiem stanowiło jakby specjalną ceremonię wchodzenia młodych członków aborygeńskiego klanu w świat dorosłych. W czasie ceremonii chłopcy byli zaznajamiani z mitami, symbolami i obrzędami. Kijani opowiadał Pam, że chłopcy aborygeńscy między 10 a 16 rokiem życia musieli uczestniczyć w wędrówkach inicjacyjnych, pozostając od kilku dni do kilku miesięcy w buszu, a wtedy poddawani byli oni różnym próbom wytrzymałości: milczenia, głodu, pragnienia, wytrzymałości na ból. Kijani zapewniał Pam, że może być spokojna, bowiem wojownicy, którzy ją pilnują najlepiej przeszli wszystkie próby i jak wszyscy dorośli Aborygeni są obrzezani, co symbolizuje ich dorosłość.

W tym czasie, trwała uroczystość, w którą zaangażowana była cała plemienna społeczność i chłopcy uczyli się panować nad ogniem. Wpatrywali się z bliska w ogień aż ulegali oszołomieniu,

po czym ku przerażeniu Pam, obsypywano ich rozżarzonymi węglami i okadzano. Uczestniczący w uroczystości Aborygeni pomalowani białą farbą wykonywali w takt szybkich rytmów rytualne pieśni i tańce.

– A co z dziewczętami? – zapytała wtedy Pam.

– W okresie dojrzewania dziewczęta wyprowadza się do buszu na miesiąc, gdzie starsza krewna uczy je życia. Potem okadzone, umyte i przystrojone sprowadza się do obozu, gdzie czekają na nie napaleni, przyszli mężowie – wyjaśnił Kijani, po czym dodał, że dziewczyny przewiercają przegrodę nosową za pomocą szpikulca ze zwierzęcej kości i wybijają jeden lub dwa górne siekacze przy użyciu kamienia, oszczepu czy kija.

Pam zdziwiła się, słysząc, że powstała dziura między zębami kobiet uważa się za symbol ciemnej chmury deszczowej.

– Wierzy się, że osoby z wybitymi zębami po śmierci będą piły czystą wodę – cierpliwie jej wyjaśniał.

Pam leciutko westchnęła. Nie podobało jej się, że wciąż w relacjach partnerskich mężczyzna ma pełną kontrolę nad kobietą, która bywa mu obiecywana jeszcze zanim się urodziła.

– Jeszcze do niedawna dziewczynki wychodziły za mąż w wieku 10 - 14 lat, mężczyźni natomiast nie żenili się poniżej 30 roku życia – tłumaczył jej Kijani. – Teraz wiek zamążpójścia podwyższył się z obawy o naruszanie prawa australijskiego. Podobne zmiany dostosowujące prawo australijskie do zwyczajów aborygeńskich nastąpiły odnośnie wielożeństwa.

– Wcześniej – kontynuował Kijani – mężczyzna mógł mieć kilka kobiet. Miał też prawo pożyczania żony gościowi bez jej zgody. Mąż mógł w każdej chwili rozstać się z żoną, odwrotnie było trudniej. Kiedy umierała żona, mężczyzna miał obowiązek poślubić jej niezamężną siostrę, dlatego ja, po śmierci mojego brata, przejąłem opiekę nad matką Ying i czuję się odpowiedzialny za nią.

Matka Ying była kobietą, która znała wszystkie zadania należące do żony, czyli budowę chaty, rozkładanie obozowiska, noszenie ciężkich przedmiotów, robienie sieci, łowienie ryb, zbieranie roślin. Mężczyzna zajmował się tradycyjnie polowaniem, wyrobem broni i ochraniał rodzinę.

– A co ze starszymi mężczyznami? Czy to oni zostają strażnikami tradycji? – zapytała Pam.

– Najczęściej tak, ale ta tradycja zaczyna zanikać – wyjaśniał Kijani. – Sytuacje ratują szamani.

– Do obowiązków szamana należy udzielanie rad, mediacje, przepowiadanie przyszłości, leczenie, zaklinanie deszczu, zapobieganie działaniu złych mocy – tłumaczył Kijani.

– Ma on umiejętności wizjonerskie i telepatyczne i widzi świat duchów. Wie jak spowodować chorobę i zabić na odległość za pomocą wskaźnika z kości udowej kangura. Szamani istnieją nadal – dodał tajemniczo – a ten, którego ci przedstawię jest też z rodziny Ying. On przewidział, że kontakty Ying z Chińczykami przyczynią się do jej śmierci.

Podeszli do bardzo niskiego Aborygena o wyjątkowo niesympatycznej twarzy, który podał Pam rękę i wymamrotał coś w narzeczu plemiennym. Popatrzyła pytająco na Kijaniego.

– On rozpoznał w tobie miecz sprawiedliwości i powiedział, że można za tobą śmiało iść ku prawdzie.

Pam poklepała szamana po ramieniu a on dał jej na sznurku amulet z zębów rekina, który jak wyjaśnił Kijani będzie strzegł ją przed każdym niebezpieczeństwem.

Podeszli w stronę ogniska, przy którym zauważyła najprostszy grill, na którym smażył się pachnący smacznie kangur. Kijani podał adwokatkę spory kawałek mięsa. Kiedy zjedli Pam wpatrywała się w ich w rytualne tańce i Kijani powiedział, że teraz Aborygeni tańczą dla śmierci swoich wrogów i modlą się też do dusz swoich przodków.

– Wierzycie też w życie pozagrobowe? – zapytała Pam.

Kijani wyjaśnił, że Aborygeni wierzą w życie pozagrobowe i większość z nich uważa, że człowiek ma dwie dusze: realną, która podlega reinkarnacji i drugą, która po śmierci może wnikać w ciało innej osoby, lub straszyć w buszu.

Kijani opowiadając Pam o wierzeniach nie darował też opowieści o totemizmie i o czasie snu, o którym Pam już wcześniej słyszała, ale nauczona doświadczeniem udawała, że słyszy po raz pierwszy.

– Totemizm jest jednym z głównych wierzeń Aborygenów. Gdy nadeszła „Epoka Snu” pojawiły się ogromne istoty, pół ludzie, pół zwierzęta o różnych kształtach, przodkowie – stwórcy, którzy rozpoczęli długą wędrówkę. Zaczął się kształtować krajobraz, jeziora, rzeki, lasy, góry, doliny, pustynie, powstawały żywe organizmy, które te miejsca zamieszkały. Kiedy przodkowie ukończyli pracę zastygli w postaci formacji skalnych. Są oni odpowiedzialni za cykl życia i śmierci, pogodę, rośliny i zwierzęta.

Pam wpatrzona w Kijaniego nie śmiała mu przerywać, więc kontynuowała:

– Wierzenia Aborygenów zakładają istnienie pokrewieństwa między ludźmi i ich totemem. W „Czasie Snu” totemami mogły być gwiazdy, zwierzęta, rośliny, elementy krajobrazu, części ciała. Praktykowane jest rytualne spożywanie zwierzęcia totemicznego przez gospodarzy uroczystości, mające zapewnić

obfitość pożywienia klanom, dla których zwierzę – kobong nie jest objęte zakazem zabijania.

– Czyli ten kangur był kobongiem? – zapytała Pam.

Kijani twierdząco pokiwał głową, ale nagle popatrzył na Pam jakby trochę przestraszony i powiedział:

– I tak aż za dużo ci naopowiadałem i proszę nie pytaj mnie o czuringi.

– Bo co?... no proszę dokończ.

– Bo osobnik, oskarżony o wyjawienie tajemnic czuringów nawet teraz współcześnie poddawany jest próbie włócznie. Staje w środku kręgu stworzonego przez członków swego klanu, którzy na przemian ciskają włóczniami w jego uda. Dawniej groziła za to śmierć, obecnie złagodzone karę, ale jednak nie bądź zdziwiona, że zamilknę.

– Kijani, nie pytam o zwyczaj i czuringi, ale myślę o Ying i o żółtych ludziach, których jak widzę nie lubicie.

– Tak..... o to przede wszystkim powinnaś tu pytać, bo liczymy na twoją pomoc.

Objął ją ramieniem i uściśnął tak serdecznie, że Pam poczuła się wśród śpiewających i tańczących Aborygenów, jak wśród prawdziwych przyjaciół. Nie wspominała o Ying i jej chińskich powiązaniach żeby Kijani nabrał do niej całkowitego zaufania. Cały dzień, po nocy pełnej wrażeń, przespała kamiennym snem. Obudziła się dopiero wieczorem na późną kolację przygotowaną przez Kijaniego, po której ponownie zapadła w długi kojący sen.

Następnego dnia, zaraz po śniadaniu, Kado zaproponował jej wyprawę do prawdziwego australijskiego buszu. Poprosił Pam żeby ubrała przygotowany strój i po chwili siedzieli już w starej wysłużonej Toyocie, którą, jak się jej wydawało, mogliby przejechać przez najbardziej niebezpieczne rzeki Cape Yorku. Po pół godzinie jazdy dojechali do pustego parkingu, dookoła którego roztaczał się gęsty, od pozwijanych lian, busz. Ścieżka była wąska, ale było na niej na tyle miejsca, że mogli iść obok siebie.

– Patrz pod nogi. Czasami płaczą się tu różne płazy i gady, ale nie możesz żadnemu zrobić krzywdy.

Po chwili doszli do pięknego małego wodospadu, w środku którego było kilkunastometrowe oczko wody. Kijani przystanął przy brzegu i zapytał Pam.

– Wykopiesz się?

Zawahała się, myśląc, że jest to dobre miejsce do zbrodni doskonałej. Chwilę zastanawiała się, co robić, po czym szybko ściągnęła ubranie i naga wskoczyła do zimnej czystej wody. Zanurkowała, po czym wypłynęła i zaczęła znowu nurkować. Kijani chwilę przypatrywał się jej. Nie zastanawiając się jednak długo rozebrał się pokazując swój wspaniały czarny tors i niezwykle rozbudowane podbrzusze. Pam nie okazała strachu, kiedy przypląnął do niej, ani kiedy wyniósł ją na brzeg, chwycił jak małą dziewczynkę podkładając swoje muskularne ręce pod jej dużą pupę. Posadził ją sobie na brzuchu i wszedł w nią powoli i bardzo delikatnie, tak jakby nie chciał jej skrzywdzić.

Pam jęknęła z rozkoszy zanim doprowadził ją do orgazmu. Wydawało się, że odchodzą od rzeczywistości. Minęło dobre kilkanaście w minut zanim leżeli w milczeniu obok siebie. Wyluzowana Pam ubrała się i usiadła koło Kijaniego na trawie. Kiedy wypięła z drewnianej miski łyk czystej źródlanej wody, położyła mu ręce na ramionach i popatrzyła mu prosto w oczy

– Teraz mi dopiero ufasz? – zapytała. – Jestem twoja i możesz ze mną zrobić, co chcesz i teraz będziesz ze mną szczerze rozmawiał.

Pokiwał głową i pierwszy raz od ich spotkania uśmiechnął się.

– Ale ty i tak kochasz nie mnie, ale Alexa?

Teraz ona pokiwała głową potwierdzająco.

– Ty i Alex pomożecie mi znaleźć zabójców mojej bratanicy – powiedział poważnie. – W naszym plemienu ja wiem najwięcej, chociaż Ying wiedziała jeszcze więcej ode mnie o tym, co było dla nas najważniejsze i o tym, co miało się z nami stać. Ale ją podobnie jak i mnie chińscy przyjaciele oszukiwali, a kiedy to odkryliśmy, bandyci zdecydowali się ją zabić.

Pam w tym momencie chciała o coś zapytać, ale położył jej rękę na ustach.

– Nie przerywaj proszę. Opowiem ci wszystko, co wiem, a później będziesz mnie pytać o co chcesz. Będzie tak jak w sądzie: ja wyjaśniam a później są pytania.

Pam uśmiechnęła się serdecznie i Kijani cicho i spokojnie opowiedział jej całą historię umięśnionych i wytatuowanych gangsterów z Hongkongu, którzy wspólnie z ludźmi z chińskiej ambasady i powiązanych najróżnorodniejszymi interesami z urzędnikami rządowymi i dziwnie wyglądającymi bogatymi Chińczykami poczynili ustalenia dotyczące losów całego plemienia Yolngu zamieszkującego tereny Arnhem Land.

Pam słuchała i nie mogła uwierzyć. W końcu Kijani pozwolił jej zadawać pytania, ale zastrzegł:

– To wszystko jest tajemnicą. To, co wymyślili chińscy gangsterzy miało przynieść nowe lepsze życie naszym rdzennym ludziom a jak na razie przyniosło tylko śmierć Ying i wysłanie stąd wielu naszych ludzi na północ. Porównując to, co się tutaj dzieje z wydarzeniami z przed stu lat można powiedzieć, że to ponowna eksterminacja naszych, tylko tym razem zamiast przemocy używa się podstęp. – Opowiadasz o swoim plenienu – zapytała Pam – a co z innymi plemionami, czy masz jakąś orientację na ten temat? Czy tam na ziemi Arnhem też były podobne propozycje i też wszystko odbywało się według tej samej procedury? – Tak – odpowiedział. – Z tego, co wiem od ludzi z innych plemion z rejonu od Cape York do Arnhem Land, tam gdzie mieszkają moi bliscy, to wszystko dzieje się na szeroka skalę. Myślę, że to dotyczy wszystkich Aborygenów, tylko my nie mamy zawsze dobrych kontaktów ze sobą. To też się bierze z historii, bo kiedyś część Aborygenów wykorzystywana przez Banandów, czyli białych, walczyła przeciwko sobie. Plemiona z Queensland były sprowadzane na Ziemię

Arnhem, by pomóc białym wyrzynać nasze plemię Yolngu i inne plemiona zamieszkujące te tereny, by na naszych żyznych ziemiach Balandu mogli hodować krowy i konie. Moi przodkowie poradzili sobie, kiedy zaczęli walczyć i podstępnie zabijając każdego białego osadnika, który za daleko oddalił się od osady. Nauczyci się zabijać ludzi bumerangiem z żelaznego drzewa, tak jak zabijali kangury.

– To, co mówisz jest bardzo dziwne i nie daje mi odpowiedzi na pytanie: dlaczego Ying została zabita? Jeśli ja mam być waszym doradcą i obrońcą, to musicie to wszystko przerwać. Z mocy waszego układu najważniejsze jest teraz byśmy złożyli pisma do sądu o odzyskanie tych wszystkich ziem, na których mieszkacie a ja z pomocą tych dokumentów, które były w laptopie Ying, spróbuję przygotować pozwy i walczyć o wasze prawo do ziemi przed sądem. Oczywiście jest, że ci wszyscy ludzie, o których mi opowiedziałeś, chcą was tylko skrzywdzić i wykorzystać i musimy to wszystko przerwać. Ja wam pomogę a wy pomożecie mi znaleźć zabójców twojej bratanicy, dzięki czemu mój przyjaciel Marek nie zostanie niewinnie skazany za jej śmierć.

– Ja wiem, że Mark kochał Ying i nigdy by jej nie zabił.

Pam uśmiechnęła się wstając.

Kijani nagle przykucnął, podskoczył i wydobyl z ust dziwny piękny głos przypominający wycie dingo. Liście okolicznych drzew poruszyły się i Pam zobaczyła, że miejsce, w którym się znajdowali było po prostu otoczone czarnymi, uśmiechniętymi twarzami.

– Aha, czyli nie byliśmy sami. Widzę taki sam tłum jak na tych ceremoniach, które wczoraj się odbywały – powiedziała bez zażenowania.

– Pam, my nic nie mieliśmy do ukrycia. Jeśli wśród naszych ludzi jesteś szczerą, nie masz nic do ukrycia.

Pam machnęła ręką.

– No trudno, muszę się przyzwyczaić do waszych zwyczajów. Kiedy zabierzesz mnie w to bezpieczne miejsce, o którym mówiłeś?

– Już jutro rano wyruszamy na Ziemię Arnhem a tam spotkamy się z ludźmi z innych plemion. Ty będziesz naszym adwokatem i nie martw się już o tego swojego przyjaciela. Będziemy walczyć razem. Podał jej rękę, którą Pam długo ścisnęła. Patrząc mu prosto w oczy zapewniła go. – Dobrze. Będziemy razem walczyć o sprawiedliwość, o którą wszędzie tak trudno.

Fragment niepublikowanej w języku polskim powieści *Rok Królika*

<https://www.robertlarken.com/book - inner>

<https://www.amazon.com.au/Year - Rabbit - Robert - Larken - ebook/dp/B07MZ9C6PD/>



MARIOLA STERNAHL

ANGIELSKI PARK W VILLA REALE

Przeszliśmy przez wielką metalową bramę i moim oczom ukazał się wiekowy i bardzo zaniedbany park. Piękne archaiczne rododendrony; olbrzymie i majestatycznie królujące w wybranych dla nich miejscach. Pomiędzy alejkami spacerowymi poustawiano kamienne ławki i gazony, wypełnione z pewnością, dawno temu, pięknymi i kolorowymi kwiatami, ale wraz z upływem czasu naznaczonych wyraźnymi śladami mijającej epoki. Byliśmy w otoczeniu niesamowitej ilości krzewów ozdobnych i śpiewu ptaków. Już na samym początku tej ekscytującej wyprawy przeczuwałam, że to będzie fenomenalny dzień.

– A teraz opowiem wam kilka słów o tym niebywałym miejscu – Federico popatrzył na Annę i Zosię.

– Dziadek chciał nas też tutaj przyprowadzić i teraz wiem dlaczego. Tu jest tak pięknie – powiedziała Zosia, rozglądając się wokoło siebie i podskakując ze szczęścia. Po chwili się uspokoiła, chwyciła mnie za rękę i spytała: – Wzięłaś mój blok i kredki?

– Tak, moja kochana. Zawsze mam twoje akcesoria przy sobie. Jak myślisz dlaczego dzwiganą taką wielką torbę? – oderwałam wzrok od otaczającej mnie natury i popatrzyłam z miłością na córeczkę. – Znajdziemy później miejsce, w którym siądziemy, zrobimy małą przerwę na jedzenie i picie, a ty będziesz mogła rysować. Obiecuję.

– Z tym raczej będzie tutaj trudno – wtrącił się nieśmiało Federico.

– Nie opowiadaj. Nam wystarczy kawałek soczystej trawy, albo jedna ze starych ławek. Spoczniemy na chwilę, nacieszymy oczy i duszę otaczającym nas urokiem tego miejsca, Zosia sobie porysuje i tyle.

– Z tym nie będzie problemu. Miałem raczej na myśli posiłnienie się.

– I z tym nie będzie problemu. Mam zawsze przy sobie kilka łakoci i butelkę wody. Spójrz!

– Jesteś niesamowita. – Federico był zdumiony i pełen podziwu dla mojej zapobiegliwości.

– Ja nie. To wszystko za sprawą Matteo. Domenica na jego prośbę przygotowała mi prowiant, który ma wystarczyć na cały dzień dla naszej trójki. Ale ty go poniesiesz – zdjęłam torbę z ramienia i ostentacyjnie mu ją wręczyłam.

– Oczywiście – rozpromieniony zarzucił na plecy coś pomiędzy wielką torbą, a plecakiem w kolorze granatowym. Dopiero teraz zwrócił uwagę, jakie to było ciężkie.

– Anno, dlaczego wcześniej nie dałaś mi swojej torby? – karcącym tonem zwrócił się w moją stronę.

– Już dobrze. Dałam ci teraz, bo widzę, że czeka nas długi spacer, a zawartość, którą stanowi głównie nasz posiłek, skonsumujemy pewnie dopiero pod koniec.

– Nawet wiem gdzie, ale to będzie niespodzianka dla was, moje panie. Czas na opowieść o Villi Reale.

– Mów, uwielbiam słuchać kiedy mama czyta mi bajki, a tu jest jak w bajce. Ty dzisiaj zamiast mamy będziesz opowiadać mi bajkę. – Zosia wzięła Federico za rękę sprawiając tym samym, że jego serce zabiło mocno jak nigdy wcześniej.

– Jakie ciepło od niej bije – pomyślał – i jakie zaufanie. Może sam to sprowokowałem, tym miejscem. Dziecko, które widzi mnie raptem drugi raz, trzyma mnie za rękę, jakbym był dla niej jedną z najbliższych osób. Obym nigdy nie zniszczył tej nici zaufania i sprawił, że będzie wzrastać z dnia na dzień. Bo to dopiero początek. Małe, delikatne gesty, potwierdzające jej akceptację. Tak ważną dla mnie. Gdyby tylko obie wiedziały jak ważną.

– Słuchamy – zachęciłam go delikatnie do rozpoczęcia opowieści, bo chyba nie za bardzo wiedział od czego zacząć.

– Pierwsze wzmianki o tej posiadłości pojawiają się już w początkowych latach XVI wieku i w pierwotnej wersji wybudowana została w stylu renesansu. Wiele lat później dobudowywano kolejne budynki, między innymi słynny Pałacyk Zegarowy, czyli w oryginale Palazzina dell’Orologio. Dopiero w wieku XVII ogród nabył barokowego stylu, a wszystko to dzięki ówczesnym właścicielom, to jest rodzinie Orsetti. W roku 1805 posiadłość przejął Napoleon Bonaparte, który podarował ją swojej siostrze, księżnej Elizie Baciocchi. To właśnie za jej sprawą, budynek zmienił styl na neoklasycystyczny, jaki widzimy dzisiaj. Park i ogród powierzono angielskiemu ogrodnikowi – pejzażyście. Do swojej świetności zakładania ogrodów sprzed wieków, miejsce to powraca dopiero w wieku XX. Nowi właściciele zaczynają powoli przywracać jego barokowy styl. Prace posuwają się powoli i wymagają wielkich nakładów finansowych. Spójrzcie.

– Federico zamilkł, a naszym oczom ukazał się niesamowity widok. Na olbrzymiej przestrzeni rozpościerał się staw, a zagłądając za żywopłotowe łuki otaczające nas po lewej i prawej stronie widziałam mnogość krzewów i kwiatów, jaka każdego wprawiłaby w osłupienie; a pomiędzy tym wszystkim wznosiły się wysokie i strzeliste cyprysy. I tak naprawdę trudno było określić, kto tu grał pierwsze skrzypce? Staw, krzewy, kwiaty, a może właśnie te wysokie i sięgające niemalże do samego nieba cyprysy?

– Tam, w tyle, widać niezamieszkały budynek biskupi, a jak będziemy podążać tą zaniedbaną ścieżką, to napotykać na niej będziemy ciekawe budynki, spełniające różne role. Same zobaczycie, tu jest wszystko, czego można sobie tylko zażyczyć w spokojnym i spełnionym życiu.

Podążaliśmy we wskazanym przez niego kierunku, mijając w pierw zaniedbany kort tenisowy, jakby wyciągnięty żywcem z innej epoki, po czym dotarliśmy do opuszczonego basenu i kolorowego budynku przebieralni. Wszystko skryte za

wysokim żywopłotem, otoczone było atmosferą zniszczenia i porzucenia. Moją uwagę zwróciła jasnoniebieska terakota, którą wyłożony był basen. Obok niego wznosiła ku niebu swoje rusztowanie, wysoka i mocno porzdewiała trampolina.

– Te mury i basen pamiętają samego Salvadore Dali.

Słowa Federico wyrwały mnie z zamyślenia na temat minionych czasów, dzieci skaczących z trampoliny i szczęśliwych chwil spędzanych tutaj przed laty przez wielu ludzi. Spojrzałam na niego pełna podziwu i powiedziałam:

– To niesamowite miejsce, chociaż dzisiaj bardzo zrujnowane.

– Tak, to prawda, ale prowadzimy tutaj prace w wielu miejscach i przez kilka różnych ekip remontowych. To olbrzymi obiekt.

– Wy? Pracujesz tutaj? – zapytałam zdumiona.

– Tak, razem z Matteo. Dlatego będziecie mogły zobaczyć również wewnątrz Villa Reale i innych budynków. Zwiedzający mogą jedynie podziwiać park i ogród.

– A Kościół Santa Catherina i jego renowacja? Kiedy ty to wszystko zrobisz?

– Mówiłem ci, że dużo pracuję. – Federico uśmiechnął się do Anny. – Teraz mam zasłużony urlop. Nad renowacją Villi Reale pracujemy już od dłuższego czasu i potrwa ona z pewnością kolejnych wiele lat. O zabytki trzeba dbać stale i niezmiennie.

– Widzę, że poświęciłeś im swoje życie.

– Też mi się tak wydawało. Ale czasami wystarczy jedno spotkanie w życiu, jedno wydarzenie i odkrywasz nowe priorytety i przewartościowujesz wszystko, co do tej pory wydawało ci się stanowić normę w twoim życiu.

Zatrzymaliśmy się na chwilę przy budynku służącym kiedyś za przebieralnię, kiedy Zosia niespodziewanie spytała:

– Mogę tam wejść i poogłądać?

– Tak, poczekamy tu na ciebie.

– Będę opowiadał teraz twojej mamie bajki – mrugnął do niej Federico, po czym odwrócił się do mnie, wziął za ręce i powiedział:

– Od tego dnia, kiedy stanęłaś na mojej drodze, zacząłem inaczej patrzeć na swoje życie. Dostrzegam również jego mankamenty, ale nie to jest najważniejsze. Najistotniejsze w tej całej sytuacji, jest spotkanie kobiety moich marzeń i to w najmniej spodziewanym momencie mojego życia. Nie wiem jak mam to nazwać, ale wszystko skłania się w jednym kierunku: cud, zrządzenie losu, szczęście, a może przeznaczenie? A jak ty byś nazwała nasze spotkanie i to wszystko co się do tej pory wydarzyło? – popatrzył mi głęboko w oczy, tak jak wtedy podczas naszej pierwszej kolacji. Jego wargi dotknęły delikatnie moich, a pocałunek, który złożył na moich ustach Federico, był delikatny niczym muśnięcie pieśzcotliwego kochanka.

Nie mogłam znaleźć słów. Ten mężczyzna działał na

mnie jak afrodyzjak. Pociągał, czarował i sprawiał, że moje zmysły wibrowały jakby w takt jakiejś niebiańskiej muzyki. Przyjmowałam jego miłość, a on okazywał mi ją każdym gestem i słowem, zaskakując mnie kilka razy dziennie. Ale jak nazwać to co czułam do Federico? Zauroczeniem, początkiem miłości, miłością? Co mu odpowiedzieć?

– To bardzo trudne pytanie – myślałam, że nie będzie więcej pytał.

– Nic do mnie nie czujesz? Nie spędzasz ze mną chętnie czasu?

– To nie tak Federico – wiedziałam, że sprawiam mu ból, a przecież nie chciałam go ranić. Jestem w nim zakochana, dlaczego mu tego nie powiem? Boję się? Znowu? Znowu się boję?

– Wiem i już nie będę cię dłużej męczył, ale mam nadzieję, że ... – urwał w połowie zdania, bo z przebiegłości doszło do nas wołanie Zosi.

– Idziemy dalej?

– Tak, jeżeli już wszystko tutaj zobaczyłaś – odpowiedziałam jej.

– Takie stare i smutne to miejsce. Kiedy tu byli ludzie, to pewnie było wesoło. Nie znalazłam nic do zabawy.

– Tutaj poza robotnikami nikt nie zagląda. – dodał Federico.

– Chodźmy stąd, tu jest bardzo smutno – powtórzyła Zosia i pociągnęła mnie za rękę.

Federico nadal trzymał moją dłoń w swojej i tak złączeni podążaliśmy alejkami w kierunku kolejnej atrakcji w tym niecodziennym parku. Po chwili marszu dotarliśmy do opuszczonego budynku.

– To tak zwane nimfeum, określane również grotą bożka Pana. Jeszcze w starożytnym Rzymie pełniło ono funkcję swobodnego zakończenia wodociągu. Można by również powiedzieć, rodzaj fontanny.

Po kilku kamiennych schodach weszliśmy do środka budowli bez okien ani drzwi. We wnętrzach panował chłód, a w powietrzu wyczuwało się bardzo wysoką wilgotność powietrza. Wokoło nas pełno było rzeźbionych w kamieniu ornamentów w kształcie kwiatów i głów przypominających formą ryby, a może morskie potwory? Trudno powiedzieć co autor miał na myśli. Wszystko wokoło zadziwiało i zarazem trochę przerażało, a pozostałości mozaiki, w niektórych miejscach dowodziły o jego świetności przed wiekami.

– Mamo tu jest zimno – powiedziała Zosia, wybiegając na zewnątrz, a my rozejrzeliśmy się wokoło, próbując dojrzeć coś jeszcze w półmroku, lecz już po chwili podążyliśmy za nią.

Pomiędzy donicami pełnymi różowo kwitnących bugenwilli, wysokich na półtora metra, doszliśmy do byłego domu biskupa, a potem zwiedziliśmy kolejną opuszczoną willę z krużgankami i przepięknym, zadbanym ogrodem. Podczas naszej wędrowki minęliśmy jeszcze jeden ogród,

może już mniej zadbany niż poprzedni, ale i tak zachwycający oryginalnością kształtów i różnych odcieni zieleni.

– Pokażę wam teraz rodową kaplicę.

I Federico poprowadził nas do bramy, na wprost otwartej, zaś Zosia krzyknęła:

– Mamo, tam wysoko siedzi pies! Na słupie, popatrz. Siedzi i patrzy. Tylko na kogo? – pyta Zosia i rączką pokazuje mi na kamienny słup, na którym faktycznie siedzi pies, również z kamienia.

Przechodzimy kilka metrów żwirową dróżką i wchodzimy do wnętrza kaplicy, zimnej i mrocznej jeszcze bardziej niż poprzednie budynki. Federico zostawia otwarte na oścież drzwi, wpuszczając tym samym do środka nie tylko światło, ale również i powiew ciepłego powietrza. Wchodząc musimy uważać na wmurowaną pośrodku w podłodze tablicę pośmiertną, upamiętniającą zmarłą osobę oraz postawiony przy niej wazon z kwiatami. Nie są one pierwszej świeżości, ale stanowią potwierdzenie, że ktoś to miejsce odwiedza oprócz nas. We wnętrzu, po lewej stronie prawie na całej długości ściany usytuowano grobowiec wykonany z białego kamienia. Postać kobiety leżącej w miejscu wiecznego spoczynku, została wykuta w kamieniu z arcymistrzowską precyzją. Ubrana w piękną, długą szatę, włosy na głowie splecione w gruby warkocz, pod głową umieszczona poduszka, na którą opada koronkowa chusta przypięta do włosów. Rysy twarzy wskazują na podeszły wiek, ręce jedna nad drugą ułożone na sukni w okolicach talii, obleczone są pięknym koronkowym wykończeniem sukni, podobnie jak chusta na głowie i pelerynka na ramionach. Jej dłonie i palce są takie realne, jak żywe. Po moich plecach przeszedł dreszcz. U wezłowania stoi zamyślony anioł, oparty na mieczu niczym strażnik dusz ludzkich. Całość tego niezwykłego zjawiska ozdobiona innymi postaciami sakralnymi sięga prawie pod sam sufit. Naprzeciwko znajduje się kilka drewnianych ławek zwróconych w stronę ołtarza, na którym króluje obraz święty i krzyż. Nie mogłam oderwać oczu od tej misternej „robótki”, jak w myślach nazwałam postać kobiety leżącej w grobie i jej figurę wykutą w białym kamieniu. Im dłużej na nią patrzyłam, tym bardziej wydawała się ożywać w moich oczach i myślach.

– Wiesz kim ona była? – spytałam Federico.

– Kimś ważnym w tym miejscu, a tak naprawdę jej historię będę zgłębiać dopiero kiedy rozpoczniemy prace renowacyjne kaplicy. Na razie nie miałem na to czasu. Znam tylko pobieżnie jej historię, w czasach dzieciństwa ojciec nie raz opowiadał mi o losach tej rodziny. Połowy już nie pamiętam.

– Oczywiście, ale sam przyznasz, że mistrzostwo wykonania tego dzieła wymaga pochwały.

– Tak, to prawda.

– Mamusiu, to jest grób?

– Tak. To jest kaplica rodzinna, tych osób, które tutaj

kiedyś mieszkały.

– Dziwne to miejsce i też takie zimne. Mogę wyjść już na zewnątrz? Sprawdzę czy ten pies nadal tam siedzi.

– Zosiu oczywiście, możesz. Tylko nie oddalaj się, zaraz przyjdziemy do ciebie. – zanim Anna dokończyła zdanie, Zosi już nie było. Po kilku minutach, wyszliśmy za nią, a Federico widząc jak stoi pod słupem z kamiennym psem powiedział:

– Chodź Zosiu, pokażę ci miejsce dużo bardziej interesujące dla dzieci, aniżeli zimne grobowce.

Powoli szliśmy długą aleją, wzdłuż wysokiego żywopłotu, na końcu którego widać było okazały budynek. Jednak zanim tam doszliśmy, mniej więcej w połowie drogi skręciliśmy w przejście pomiędzy kolejnymi żywopłotami, a naszym oczom ukazał się następny ogród: tym razem cytrusowy. Jedna donica obok drugiej, ustawione w szpalerze prowadzącym nad staw, w którym pływające karpie dotleniały się pod spadającą wodą, a wszystko oczywiście w otoczeniu kolejnych bajecznych fontann i rzeźb.

Zosia krzyczała i piszczła na widok takiej ilości karp. Mniejszych i większych, wychylających swoje pyszczki i łapiących powietrze, podskakując przy tym na sporą wysokość w kierunku tryskającej z kamiennych dzbanów wody.

– To rzeźby bóstw rzecznych – powiedział Federico wskazując tymczasem na wielkie posągi nad wodą.

Patrzyliśmy na to zjawisko, a ja tak naprawdę nie wiedziałam, które z tych miejsc urzekło mnie najbardziej i gdzie chciałabym pozostać może chwilę dłużej?

– Jak tu pięknie – powiedziałam, ogarniając wzrokiem olbrzymi staw, obramowany kamiennym ogrodzeniem kolumnowym, na którym również poustawiano olbrzymie gliniane donice pełne drzewek cytrusowych. A wszystkie takie dorodne i soczyste zielone, oczywiście każde obsypane dojrzewającymi owocami.

Zosia biegała i starała się dojrzeć ryby zaglądając raz pomiędzy kolumnami, a raz próbując się wspiąć na paluszkach wyżej i wyżej, aby tylko lepiej zobaczyć pływające w wodzie ryby.

– Chcecie zostać tutaj dłużej i zrobić małą przerwę na piknik, czy też idziemy do następnego ogrodu, który jest nazywany zielonym teatrem, czy jak kto woli teatrem zieleni?

– Pomimo uroku tego miejsca, chodźmy proszę dalej do teatru zieleni. Już sama nazwa brzmi tak intrygująco, że nie mogę się doczekać, co tym razem nam pokażesz.

Wołamy Zosię i skręcamy w jedną alejkę pośród żywopłotów, która prowadzi nas w kierunku nieczynnej fontanny i postaci Diany z chartem.

– Mamo znowu pies, jaki śliczny – woła Zosia – Mogę go pogłaskać, nie ugryzie mnie?

Dziewczynka głaszcze zwierzę, śmiejąc się przy tym głośno.

– Spójrz jaka ona jest szczęśliwa. – mówię do Federico
– Dziękuję ci za to wszystko co dla nas dzisiaj robisz. To

oszałamiający dzień.

– Chciałem wam tylko pokazać najpiękniejszy zakątek w Marlii. I chyba się udało? Co?

– Udało się, to mało powiedziane. Odkąd przyjechałam do Toskanii, jestem pod niesamowitym urokiem piękna natury, niesamowicie serdecznych ludzi i oczywiście wybornej kuchni. Ale to co ty nam dzisiaj pokazujesz, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Czuję jakbym nagle znalazła się w raj. Przecież to prawdziwe miejsce marzeń. Uwielbiam takie klimaty. Skąd wiedziałeś?

– Nie wiedziałem. Sam tu zawsze chętnie przychodzę, a kiedy się dowiedziałem, że Matteo przejmuje renowację i remont całego obiektu, nie mogłam uwierzyć w moje szczęście. Od dziecka przychodzę do tego wspaniałego parku, a teraz tu pracuję. Na początku nie dawałem temu wiary, ale z czasem już się oswoilem z tą myślą. Chyba nasze dusze są bratnie, bo coś widzę, że ciągnie nas w te same miejsca i podobne klimaty. Czujemy się dobrze w miejscach przepełnionych historią, tam gdzie przyroda jest na wyciągnięcie ręki i wystarczy tylko dostrzec jej piękno.

– Tak jak tutaj.

Przed nami były kolejne żywopłoty i w pierwszym momencie pomyślałam, że jestem w jakimś labiryncie. Dopiero po chwili zauważyłam, że przycięto je tak, aby można było tu odgrywać przedstawienia teatralne. Czułam się jak na prawdziwej scenie, a zadbane tu o wszystko: scenę, budkę suflera, kulisy, a nawet foyer. W niszach wyciętych w żywopłocie poustawiane były figury z komedii dell'arte. Podbiegła do nas Zosia i posypała się pytaniem:

– Mamo, a co to za miejsce? Co to za figury? Dlaczego tutaj jest tak wszystko dziwnie przycięte.

– Zosiu to jest teatr.

– Naprawdę? W parku, teatr? A kto tutaj gra? Taki jak nasz Teatr Groteska? A będą tu grać „Kota w butach”?

– Zosiu, wolniej. Nie nadążę z odpowiedziami.

– Mamusiu, nie widziałam nigdy takich figur. I ten pies wcześniej co to za rasa?

– To chart.

Podczas gdy na zmianę z Federico staraliśmy się odpowiadać na pytania Zosi, ona biegała od jednej figury do drugiej i wyginając się w różne strony, starała się naśladować ich mimikę i postawę. Trudno się było nie śmiać, a zabawę mieliśmy przednią.

– Jestem bardzo głodna – powiedziała nagle Zosia przywołując nas tym samym do porządku. Trzeba przyznać, że całą trójką wpadliśmy w istic teatralny nastrój.

– Przed nami jeszcze dwa punkty na naszej trasie i to położone w niewielkiej odległości jeden od drugiego. Możemy posilić się tutaj, zobaczcie nawet mamy ławeczkę, na której wszyscy się zmieścimy. Co wy na to? Po posiłku zwiedzimy wnętrza Palazzina dell'Orologio, a potem na koniec samą

Villa Reale.

– A kiedy będą lody? – Zosia przerwała Federico snucie planów.

– W drodze powrotnej wstąpimy do Gellateria do mojej ciotki, na lody i pyszne ciasto. Pasuje młodej damie taki plan?

– Oczywiście, młoda dama jest bardzo szczęśliwa – odpowiedziała i już biegła w kierunku kamiennych ławeczki, ulokowanej pod jednym z konarów stuletnich żywopłotów pozginanych od ciężaru minionych lat.

W przeciągu kilku minut przygotowałam piknik na miarę najlepszych mistrzów, i po chwili zjadaliśmy się przygotowanymi przez Domenicę na tę okazję panini wraz z dodatkami, zaś Federico patrząc na to wszystko, nareszcie zrozumiał dlaczego niesiona przez niego torba była taka ciężka.

– Przerwa dobrze nam zrobi i doda sił do dalszej wędrówki – skwitowałam swoje starania.

Zamiast odpowiedzi Zosia wymamrotała jakieś słowa, chyba podziękowania, ale trudno się mówi z buzią pełną smakołyków, zaś Federico nawet nie podejmował próby dialogu, kiwnął jedynie potwierdzająco głową i ugryzł kolejny, olbrzymi kęs z najlepszej kanapki jaką zjadł w swoim życiu. Patrząc na tych dwoje, sama nabrałam jeszcze większego apetytu, i zamiast rozmowy, zajęłam się zjadaniem swojej porcji. Na koniec solidna porcja wody i mogliśmy ruszać dalej. Posprzątałyśmy miejsce służące nam za łączkę piknikową i powolnym krokiem powróciliśmy na długą zwirową aleję, która poprowadziła nas prosto do malowniczego budynku.

– Oto przed wami, w całej swojej okazałości Palazzina dell'Orologio – powiedział Federico, gdy staliśmy przed bardzo malowniczym, ale równie bardzo zapuszczonym i zaniedbanym budynkiem z ogromnym zegarem pośrodku, w najwyższym punkcie. Winorośl oplatała swoimi konarami wiekowe krużganki i balkony.

– Tutaj znajduje się makieta całej posiadłości – powiedziała Federico zaglądając do środka przed jednym z brudnych okien – same zobaczcie.

Podchodzimy z Zosią i zaglądamy przez olbrzymie okno do środka. Aby cokolwiek zobaczyć, musimy przez dobrą chwilę mocno wyteżać wzrok, a wtedy, naszym oczom, ukazuje się niesamowity widok. Obrazy, widziane przed chwilą, mamy tutaj przedstawione w pomniejszeniu. Tak więc naszym oczom po kolei ukazuje się basen, trampolina, wieża z zegarem, liczne schody, krużganki i przebieralnia, ta sama, którą widzieliśmy przy basenie.

– Jaki piękny domek dla lalek – Zosia wpadła w zachwyty – popatrz mamusi, nawet są parasolki i leżaki. Ale piękny, chciałabym taki mieć. Zrobimy taki sam?

– No może nie taki ogromny, ale nad mniejszym możemy pomyśleć i zgromadzić niezbędne materiały. Po tym nic tylko

do dzieła – powiedziałam cofając się o krok, podczas gdy Zosia nadal stała nieruchomo w miejscu, wpatrzona w ten oryginalny widok, pomimo, że zakrywał je wielomiesięczny kurz. – Musisz tylko wymyślić motyw, który chcemy uwiecznić w naszej pracy.

Odpowiedziała cisza. Nie chciałam przerywać tego dziecięcego zamyślenia, trwającego kilka minut, a może i dłużej. Nie wiem, straciłam po prostu poczucie czasu, a powodem tego był Federico. Trzymał moją rękę i bez słów gładził ją delikatnie, a jego dotyk przypominał mi muśnięcie piórek, albo żdźbła trawy podczas kiedy smagani delikatnym zefirkiem leżymy na łące i patrząc w niebo marzymy o czymś przyjemnym. Patrzył na mnie i trwał w tym bezruchu jakby zamarł, na chwilę. Tak dosłownie na chwilę, ale trwającą całą wieczność. A wszystko wokół nas zamarło razem z nim. I tak trwaliliśmy w tym zniewalającym nas poczuciu zupełnego zatracenia się w sobie. Tak, w takim platonicznym uczuciu połączenia tak mocnego, jak nic dotychczas. Nikt, ani nic do tego czasu nie wywierało na mnie takiego uczucia. Owszem, pożądanie, podziw, zauroczenie drugą osobą, tak, to znałam. Któż nie zna takich uczuć? Ale ten mężczyzna wytwarzał wokół siebie coś jeszcze. Coś co trudno było nazwać i określić czym to „coś” jest. Kim był? Gdzie już widziałam tę twarz? Przecież nigdy wcześniej go nie spotkałam? A może? Ale gdzie? Z jednej strony nie przypominał mi nawet nikogo kogo znałam, a z drugiej strony tak dobrze znane było mi to oblicze, ta postura? O co w tym chodzi? Czyżbym powoli traciła dla Federica rozum? Jak zwykle w takich momentach, to dzieci pomagają nam, jak nikt inny, powrócić z krainy marzeń do realnego świata.

– Mamusi, mogę prosić blok i kredki?

– Dobrze – wyciągnęłam z olbrzymiej torby jej blok i kredki. Podałam Zosi bez słów jej akcesoria, bo myślami nadal szybowałam w obłokach, wokół pytań, które zadawałam sobie przed chwilą.

– Zosiu, zejdziemy z mamą na dolne piętro i tam chwilę sobie posiedzimy, czekając na ciebie. Jak skończysz i się za nami stęsknisz, to pójdziemy dalej.

Federico wziął mnie za rękę i poprowadził na drewniane schody. Gdy usiedliśmy, oparłam głowę na jego ramieniu, a on tym razem głąskał delikatnie moje włosy, szepcząc mi do ucha:

– Anno, kocham cię, chcę abyś była tu ze mną zawsze.

Milczałam, ale wiedziałam, że on czeka na odpowiedź. Musiałam odpowiedzieć.

– Za każdym razem kiedy cię spotykam przeżywam najpiękniejszy dzień w moim życiu. Tak jest od pierwszej chwili. Sama tego nie rozumiem i powiem szczerze ta cała sytuacja mnie przerasta i przeraża zarazem.

Nie dokończyłam myśli, bo Federico nagle się odsunął ode mnie i zapytał niespokojnym głosem:

– Powiedz mi, jeżeli czymkolwiek cię uraziłem, coś źle zrobiłem ... – tym razem to ja mu przerwałam i to gwałtownie.

– Federico, to nie tak. Nie zrozum mnie źle. Ale do tej pory w życiu spotkało mnie więcej złego niż dobrego. A jedynym stałym i niezmiennym się w swoich uczuciach punktem jest moja córeczka Zosia. To mój cały świat i moje pojęcie szczęścia. Innego nie znam. Nagle w moim życiu pojawia się ty i wszystko się odmienia. Broniałam się przed tym uczuciem do ciebie i to bardzo mocno. Bałam się zakochać, ponieważ boję się kolejnego zranienia.

– Będziemy jeszcze takie dyskusje prowadzić nie raz i nie dwa. Nie wymażesz złych wspomnień z pamięci, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. To niemożliwe i ty dobrze o tym wiesz. Razem przez to przejdziemy, a z każdym dniem, tygodniem i miesiącem będzie tylko lepiej. Będziesz się oswajać ze swoim szczęściem – Federico mówiąc te słowa dobrze wiedział co to znaczy strach. Bał się i to bardzo, nawrotu swojej choroby.

– Wiem i proszę wybaczyć mi, to głupie gadanie.

– Nie ma czego wybaczać, bo nic nie zrobiłaś, co wymagałoby wybaczenia – zrobił krótka przerwę, – Wiem teraz o tobie wszystko to, co chciałaś mi na razie powiedzieć. Anno, kocham cię do szaleństwa nie tylko za to, że jesteś piękną kobietą. Kocham cię za twój charakter i to wszystko co musiałaś cierpieć przez te wszystkie lata. Przysięgam sobie, że od teraz, każdy twój dzień będzie pełen szczęścia. Oczywiście nie mogę ci obiecać życia jak w bajce, bo to nie możliwe. Codziennosc niesie ze sobą swoje troski i zmartwienia, żale i kłopoty, wzloty i upadki. Bo takie jest życie. Ale wiem po moich rodzicach, ich znajomych i naszej całej rodzinie, kiedy odnalazłaś swoją drugą połowę jabłka, to wtedy nic ci nie straszne.

Tym razem to ja dotknęłam jego policzków i poprosiłam:

– Możesz mnie uszczypnąć?

– Dlaczego, po co? – spytał zdziwionym głosem.

– Spotkałam miłość mego życia i nie wiem, czy śnię na jawie i za chwilę znikniesz, czy też jesteś tu obok mnie naprawdę? – poczułam delikatne uszczypnięcie, potem szeptała do ucha:

– Kocham cię jak nikt nikogo na tym świecie nie kocha.

– Federico złożył na moich ustach namiętny pocałunek, przytulił mnie do siebie i powiedział:

– Przeczuwam, że lada moment nadejdzie Zosia, a wtedy czeka nas oglądanie ostatniego punktu naszego zwiedzania, mianowicie Villi Reale. – właśnie skończył mówić, kiedy usłyszeliśmy głos Zosi:

– Skończyłam. Zobaczcie i powiedzcie sami, możemy zrobić taki domek? – Zosia właśnie zbiegała po schodach z rysunkiem w jednej, a kredkami w drugiej ręce.

– Pokaż skarbie. – powiedziała, biorąc do ręki jeszcze „gorące” dzieło mojej córki. – Zosiu wspaniale. Obiecuję, po

powrocie do domu zakupimy w sklepiku wszystkie niezbędne akcesoria i zrobimy całą makietę według wzoru, który narysowałaś.

Federico spojrzął na rysunek i powiedział:

– Zosiu, ty masz talent.

– Dziękuję Federico, to bardzo miłe z twojej strony – Zosia była zawstydzona, więc Federico szybko zdecydował się zmienić temat.

– A teraz, moje panie, idziemy do naszego ostatniego punktu zwiedzania, to jest? – i popatrzył na nas wymownie oczekując odpowiedzi.

– Mamusiu jak nazywa się ten dom? – Zosia popatrzyła skonsternowanym wzrokiem na mnie, mając nadzieję, że pamiętam nazwę.

– Villa Reale, Zosiu – powiedziałam.

– Pokażę wam teraz wnętrza jednego z najważniejszych historycznych domów we Włoszech, który swojego obecnego kształtu nabrał za sprawą Elisy Bacciochi, siostry Napoleona Bonaparte. Brat sownie obdarował siostrę, która zatrudniła włoskich architektów i dokonała ogromnej przebudowy całości tego obiektu – powiedział Federico prowadząc nas w kierunku trójkondygnacyjnego budynku.

Niskie trzy betonowe schody i plac podjazdowy wysypany drobnym żwirkiem. Zamknięte drzwi i drewniane okiennice w kolorze ciemno zielonym, a wokoło zadbane klomby, drzewa, gazony pełne kolorowo kwitnących pelargonii, trawniki strzyżone i gładkie jak okiem sięgnąć. Cisza i pusto, ale widać, że ktoś dba o budynek, pielęgnuje ogrody i poświęca temu miejscu wiele czasu. Federico otwiera drzwi i wchodzimy do wnętrza zabytkowej willi. Na parterze znajduje się przepiękna jadalnia z ogromnym stołem, przy którym spożywano wytworne potrawy, serwowane przez jednych z najlepszych kucharzy w Toskanii. Wychodzimy z jadalni i z korytarza wkraczamy do sali, w której można poznać historię prac konserwatorskich prowadzonych w willi. Pod zdjęciami przypiętymi do specjalnych paneli są daty kiedy dane prace zostały wykonane. Z parteru na piętro wchodzimy schodami po czerwonym dywanie. Z tarasu rozciąga się wspaniały widok na ogrody. Z pewnością zapiera dech w piersiach wszystkim, którzy tutaj stoją. Mnogość rozciągających się przed naszymi oczami alejek parku, klombów i kwiatów robi wrażenie. Świat na chwilę staje, zamiera w tym niesamowitym uroku wszechotaczającej nas ze wszystkich stron zieleni, różnorodności barw kwitnących krzewów i kwiatów w gazonach, na rabatach i klombach.

Przechodzimy stąd do atrium, w którym Federico opowiada nam słów kilka o wiszącym tam arrasie przedstawiającym starożytny Rzym. Po czym bierze mnie za rękę i mówi:

– A teraz coś specjalnie dla ciebie – wprowadza mnie do biblioteki pełnej starych woluminów – to kolekcja książek pochodzących ze zbiorów Villi Reale.

Zatrzymujemy się tu dłużej i podziwiamy woluminy będące niemymi świadkami zdarzeń z minionych epok, kiedy to zjeżdżała w to miejsce cała śmietanka włoskich arystokratów i bogaczy, a czas umilali im tak słynni mistrzowie jak Paganini, który osobiście grał dla księżnej Lukki. Gdyby ściany umiały mówić, to z pewnością Villa Reale of Marlia opowiadałaby najlepsze historie. Opowieść Federico o tym miejscu i jego mieszkańcach płynie wolno i powoli zmierza ku końcowi. Muszę przyznać, że od początku była bardzo ekscytująca i tak naprawdę niewiem, którą jej części podobałam się najbardziej. Przez ostatnie godziny zanurzyłam się w tokańskim słońcu, zrelaksowałam w angielskim ogrodzie krajobrazowym z krętymi ścieżkami, panoramicznymi punktami widokowymi i zacienionymi gajami. Podziwiałam wyrafinowane ogrody i rzadkie rośliny. Zobaczyłam na własne oczy co to znaczy teatr wodny, a mnogość fontann nagromadzonych w jednym miejscu wzbudziła we mnie niemalże kolorowy zawrót głowy. Czułam się tu bardzo dobrze. Powietrze przesiąknięte było zapachem kwiatów, krzewów i drzew otaczających nas z każdej strony. Wystarczyło wyjść na olbrzymi taras i mocno wciągnąć powietrze w płuca. Natychmiast ogarniał mnie ten błogostan, jaki ogarnia nas w takich miejscach. Gdzie przenikają się epoki, a historia wypełnia każdy zakątek, gdzie słychać śpiew ptaków, a wokoło panuje ta błoga cisza. Niczym nie zmażony spokój.

– Anno, może już zjeździemy na dół? – spytał Federico i czule dotknął mojego ramienia.

– Jeszcze chwila, tu jest tak pięknie – prosiła Zosia, wychodząc z salonu, w którym stał fortepian z 1805 roku i harfa, obok ulokowany był pokój zabaw i sala balowa. Trudno się dziwić, że mała panienska nie chciała tak szybko opuścić tego miejsca.

– Będziemy na tarasie z mamą. Zostań tu ile chcesz, chyba, że mamy ci towarzyszyć? Z miłą chęcią zostaniemy. Co wolisz Sofii? – spytał ją Federico, a Zosia uśmiechnęła się do niego mówiąc.

– Uwielbiam jak Federico mówi do mnie Sofii. Mamo czy wszyscy mogliby do mnie tak mówić? Bardziej mi się podoba, niż to nasze Zosia.

– Możemy wszystkich poprosić, ale nie wiem czy to coś da. Wszyscy mówimy do ciebie Zosiu, od sześciu lat i ja na pewno się nie przyzwyczaję. Federico to co innego. Nie wiem czy by wymówił twoje imię Zosia. Od początku mówi do ciebie Sofii.

– No dobrze. Zostanę już dla was na zawsze Zosią – powiedziała bardzo poważnie moja córka i to był jeden z tych momentów, kiedy musiałam stłumić śmiech. Brzmiała tak dorosłe i poważnie, że aż trudno było uwierzyć, że ma tylko sześć lat.

– Chodźmy jeszcze na taras, stamtąd roztacza się piękny widok na ogrody – Federico wziął mnie za rękę i poprowadził w zaciszne miejsce na tarasie, z którego

podziwialiśmy soczystą zieleń trawy i niezliczoną ilość klombów, kwiatów i drzew. W pewnej chwili, objął mnie delikatnie w tali i zaczął mnie całować delikatnie, a jego pocałunki pomimo, że prawie ulotne, były czymś tak pięknym, aż wręcz niewyobrażalnym. Całował mnie tak, jak nikt inny do tej pory. Odpowiadałam mu tym samym, a nasza namiętność w pewnym momencie popchnęła nas w miejsce jeszcze bardziej ustronne, w głębi tarasu. Świat wokoło przestał istnieć. Byliśmy tylko my i nasza miłość, w otoczeniu tego niezwykłego miejsca. Spleceni tak w namiętym uścisku, chcieliśmy oboje, aby ta chwila trwała wiecznie. Usta przy ustach, ręce podążające wzdłuż splecionych linii naszych ciał, zatraciliśmy się całkowicie w sobie.

– Anno kocham cię – szeptał Federico.

– I ja ciebie kocham Federico – odpowiedziałam. I tak byśmy trwali kto wie jak długo, gdyby nie głos Zosi:

– Już do ciebie idziemy – odpowiedziałam, natomiast powiedziałam:

– Szczęście każdego człowieka jest w nim samym i w ludziach, którzy nas otaczają – powiedziałam do Federico.

– Ja spotkałam moje szczęście w najmniej spodziewanym momencie mojego życia, może dlatego tak trudno mi uwierzyć w to co się dzieje.

Trzymając się za ręce poszliśmy w kierunku Zosi, czekającej na nas przy schodach. Uśmiech dziewczynki potwierdzał, że przygotowała dla nas niespodziankę, a teraz nie może już się doczekać kiedy nam ją zaprezentuje.

– Pokaż kochana – wyciągnęłam rękę po rysunek. Moim oczom ukazał się obraz sali balowej.

– Mogę zobaczyć? – poprosił nieśmiało Federico.

– Oczywiście!

Wokół nas panowała cisza, przerywana tylko co kilka sekund śpiewem ptaków za oknem, a w oddali pojawił się dźwięk klaksonu.

– Zosiu, mówiłem już nie raz: masz olbrzymi talent. Do tego masz niesamowitą mamę... Trzymając nadal rysunek mocno w dłoni, objął nas obie i powiedział:

– Nie wiem czy kiedykolwiek będziecie potrafiły zrozumieć i właściwie ocenić ogrom miłości jaką was obie obdarzyłem i to już od pierwszego wejrzenia? Ta miłość jest większa z każdym dniem i im więcej z wami przebywam, tym większe szaleństwo mnie ogarnia. Wniosłyście w moje życie światło, a jego błysk rozświetlił wszystko wokoło. Mrok, w którym tkwiłem przestawał istnieć powoli, ale po dzisiejszym dniu odszedł bezpowrotnie. Proszę, was obie, zostańcie w moim życiu na zawsze – czułam, że jego uścisk się zacieśnił na kilka sekund, wstrzymałam powietrze i jak to nie pierwszy raz miało miejsce przy Federico, nie wiedziałam co powiedzieć...



KRYSTYNA HABRAT

RADOŚĆ PISANIA – RADOŚĆ CZYTANIA

Ile razy kończę czytać powieść, która mi się podobała, zastanawiam się, skąd autor wziął pomysł do jej napisania? Czytelnika zawsze ciekawi, czy bohater, bohaterka, powieści, istnieli naprawdę czy są wymyśleni? Może powstał z połączenia kilku postaci realnych? A może sam autor, autorka, się za nim kryją? I skąd te wszystkie powieściowe wydarzenia?

Ułatwia odpowiedź na te pytania Józef Conrad, poprzedzając każdą swą książkę wstępem objaśniającym, skąd zaczerpnął pomysł na daną powieść, czy opowiadanie, skąd wziął opisane postacie oraz wydarzenia. Zanim sięgnął po pióro, długie lata był marynarzem, pływał do najbardziej egzotycznych zakątków świata, poznał dużo ciekawych ludzi, o różnym kolorze skóry, nasłuchiwał się mnóstwa historii. Miał potem o czym pisać. A były to historie atrakcyjne.

„*Il Cond* – mówi Conrad we wstępie do *Sześciu opowieści* – jest prawie dosłowną transkrypcją historii opowiedzianej mi przez pewnego czarującego, starego dżentelmena, którego spotkałem we Włoszech (...) ale (...) każdy może dostrzec, iż jest tam coś więcej(...). *Pojedynek* – ze wzmianki w pewnej prowincjonalnej gazecie, wydawanej na południu Francji – powód pojedynku był błahy, nigdy nie wyjaśniony, musiałem go więc wymyślić.”¹ Podobnie *Nostramo* stworzył Conrad z zasłyszanej w młodości anegdoty o kradzieży skarbów, dokonanej przez południowoamerykańskiego awanturnika.

Ernest Hemingway z opowiadania o rybaku zrobił esej. Potem przerobił go na powieść *Stary człowiek i morze*, za którą dostał nagrodę Nobla.

Wiktor Woroszyński w opowiadaniu *Warsztat* pisze: (...) "historię tę usłyszałem od znajomego psychiatry".

Czechow, jak wspominają jego przyjaciele (*Czechow we wspomnieniach współczesnych*) mawiał: „Biorę pierwszy lepszy drobiazg, anegdotę, kawiarniane opowiadanko – i robię z tego rzecz, od której sam się nie mogę oderwać.”²

Ileż ciekawych rzeczy wynalazły trzy siostry Bronte w krajobrazie wrzosowisk z chmurnym niebem i i wiejącym wiecznie wicherzyskiem. Wiodły podobnie monotony żywot, a pomysły czerpały z własnej fantazji, która ów smętny krajobraz ubarwiała. Ich powieści czyta się z zainteresowaniem do dziś.

Po co więc się pisze?

Z wyznań poetów i prozaików, zamieszczanych w ich dziennikach, wywiadach, listach, wynika, że autora cechuje nieustanne nastawienie na zbieranie pomysłów i robienie użytku z własnych przeżyć. Twórca stale konotuje własne odczucia oraz obserwuje, co dzieje się dookoła i przechowuje te wrażenia w pamięci. Z tych zasobów rodzą się pomysły twórcze.

Pięknie to wyraża zapomniany już pisarz Konstanty Paustowski w opowiadaniu *Złota róża*:

„Każda chwila – każde rzucone nieumyślnie słowo i spojrzenie, każda głęboka albo żarliwa myśl, każdy niedostrzegalny odruch ludzkiego serca, tak samo jak lotny puch topoli, albo światło gwiazdy, odbite nocą w kałuży – wszystko to są okruszyny złotego pyłu. My, pisarze,

zbieramy przez dziesiątki lat te miliony ziarenek, sami tego nie dostrzegając, zmieniamy w stop, a potem wykuwamy z tej bryłki kruszcu – swoją „złotą różę” – powieść, opowiadanie, lub poemat.”³

Autor niemodny, ale to wyznanie piękne, choć tak kwieciste roztkliwianie się wyszło z mody. Dziś niełatwo odsłaniamy nasze serca. Skrywa się tklive uczucia, jeśli chce się zarobić.

Dla podniesienia na duchu trzeba przytoczyć coś, co ukazuje radość tworzenia.

„Hymn >>Święty Boże<< – opowiadał Kasproicz – napisałem w Zaleszczykach, gdy pojechałem tam z dziećmi w czasie pewnych, przykrych, familijnych wydarzeń. Któregoś dnia wybrałem się na mszę do kościoła... Gdy rozległy się dźwięki >>Święty Boże, Święty mocy<< – cały naród jak jeden mąż padł na kolana, bijąc się w piersi i wtórując śpiewem dźwiękom organów. Ten widok wywarł na mnie tak wstrząsające wrażenie, że po powrocie do domu zamknąłem się w swoim pokoju i pisałem bez przerwy, bez odpoczynku przez kilka godzin z rzędu. W ten sposób napisałem *Święty Boże*. Miałem motyw ten w sobie wiele, wiele lat. Próbowałem go nieraz utrwalić, lecz nie znajdowałem wyczerpującej formy.”⁴

Julian Przyboś sytuację motywacyjną utworu nazywa: „zacząłem – pierwiastkową wizją”. Opowiada o tym w *Okolicy Poetów*:

„Pewnego wspaniałego popołudnia letniego wracałem do domu w swojej wsi rodzinnej. Ścieżka wiła się nad brzegiem liściastego lasu. Na zakręcie, obok czarnego pnia dębu, poślizgnąłem się i upadłem twarzą w kwitnące ziemniaki. Podnosząc się, ujrzałem nagle piękno kwiatu ziemniaczanego. Wiersz *Z zakrętu drogi naglej* dojrzał blisko trzy miesiące, tak iż ten lekki motyli poemacik wyzwolił we mnie i skrócił wiele przeżyć, o których nie sposób opowiadać.”⁵

Czechow zobaczył u fotografa zdjęcie archijereja tandryckiego Michała. Wywarł na nim silne wrażenie, więc kupił je i często oglądał. „Twarz archijereja bardzo nędzna, uduchowiona, zmizerowana, o suchym bolesnym wyrazie wielkiej zgryzoty. Patrząc na matkę i syna czuło się, jak ciężkie bywa ludzkie życie i chciało się płakać.” Czechow zaczął zbierać informacje o wielebnym Michale i tak powstało opowiadanie *Archijerej* – cyt. za *Czechow we wspomnieniach współczesnych*.⁶

Uwielbiam moment zajarzenia się pomysłu, olśnienia nim i stan, jaki po nim następuje – żarłocznego przymusu, aby ubrać to w słowa, co bywa tyleż męką co i rozkoszą, czymś nie z tego świata. Kiedyś w okresie porzucenia pisania, znalazłam się na odludziu pośród pól i zobaczyłam na drutach elektrycznych czarne rzędy jaskółek, przypominające nuty na pięciolinii. Zapragnęłam zaraz to opisać. Uradowana zasłuchałam się w niezmierną ciszę, przerywaną z rzadka dzwonieniem skowronka. To trzeba uwiecznić. Rozglądałam się wzruszona

w poszukiwaniu dalszych wrażeń. Odnotowałam w pamięci: pożółkłe zboże, maki. Dalej w zdziczałym sadzie na wpół rozwalony dom. Kiedyś mieszkali w nim ludzie. Jak im się żyło? Należało wyteńczyć wyobraźnię i coś wymyślić. Poczulałam się tak szczęśliwa, że naprawdę postanowiłam wrócić do pisania po długim okresie rezygnacji. Będę znowu żyć w nieustannym nastawieniu na zbieranie wrażeń, pomysłów, przemyśleń. I przeżywać wzruszenie, jakie temu towarzyszy. Jaka to radość, gdy tyle obrazów ciśnie się nagle do głowy i myśli same formułują się w zdania. Piękne zdania. Kilka dni później, chroniąc się pod drzewem, notowałam w pamięci, że ulewny deszcz wiąże szklanymi sznurami niebo z ziemią.

Trzeba więc swoje zachwyty szybko opisać! Przekazać innym. Czyżby nie dało się odłożyć pióra na dobre? Rzecz w tym, by widzieć w każdym drobiazgu więcej niż inni. By widzieć to, czego nawet nie ma. Może właśnie pisze się dla tego życia w nieustannym wzruszeniu. Z chęci jego poszerzenia, bo pisanie to poszerzanie w nieskończoność własnego życia i świata o wszelkie wymyślone czasy, światy, postacie, zjawiska... Czyli z zachłanności na życie. Zatem pisać, to trwać w nieustannym wzruszeniu. Pisać dopóki daje to radość.

Przeczy tej radości opinia Tomasza Manna:

„Pisarz to człowiek, któremu pisanie sprawia większe trudności niż innym osobom.”

I Wańkowicza z jego *Karafka La Fontaine'a*:

„Podejrziwie bym się odniósł do pisarza, który by lubił pisać.”

Znany autor, Somerset Maugham, w powieści o Paulu Gauguin przemycił własne zwątpienie, pisząc ile to autor się namęczy przy pisaniu książki, a wszystko tylko po to, aby dać komuś chwilę rozrywki dla zabicia nudy podczas podróży pociągiem.

Słyszysz się nawet pogardliwą opinię, że pisanie cieszy tylko grafomanów. Obdarza się tym mianem nawet sławnych autorów. Może z zazdrości.

Nas, czytelników to nie obchodzi. Chcemy czytać dobre książki i już.

Skąd słynni pisarze czerpali swe pomysły?

Hemingway poszukiwał mocnych wrażeń dla swego pisarstwa na wojnie, corridzie i safari. Zanim wydał swą pierwszą książkę, pisywał systematycznie co dzień przez sześć godzin i niemal codziennie otrzymywał od różnych redakcji szare koperty zwrotne z jego odrzuconymi opowiadaniem. Podobno ten silny mężczyzna, szukający mocnych wrażeń na wojnie to na afrykańskim safari czy walce byków, odbierając odrzucony wielokrotnie tekst, czasem płakał, prawdziwymi łzami. Na szczęście zdążył zaznać lat sławy.

Gdyby tak wiedział, że jego nagrodzona Noblem powieść *Stary człowiek i morze* czytał sam papież Jan Paweł III! Jeszcze jako młody ksiądz jadąc nocą pociągiem po odbiór nominacji na biskupa.

Te nieszczęsne grube koperty ze zwracanymi tekstami, jakie

wciąż pojawiały się w szparze drzwi i spadały na podłogę, opisuje też w swych wspomnieniach angielski pisarz George Bidwell. Dopiero, jak osiedlił się w Polsce, los jego się odwrócił i pisane tu powieści zaczęły cieszyć się powodzeniem.

Podobny okres biedy i ciągłego odsyłania nowel z różnych redakcji opisuje Jack London w autobiograficznej powieści *Martin Eden*. Jedną z nich wysyłał do dwudziestu siedmiu czasopism. W końcu zaczęto go drukować, prosić o nowe teksty, stał się sławny.

Stanisława Przybyszewska skarżyła się w listach, że „droga na Parnas wiedzie tylko przez pustynię prasy codziennej – a ja nieszczęsna nie umiem pisać short stories! Napracowałam się rzetelnie. Przestudiowałam wszystkie wybitniejsze utwory kryminalne. O’Henry’ego znam na pamięć./.../ nie każdy talent nadaje się do celów żurnalistyki.”⁷

U nas jeszcze do niedawna pisma literackie prowadziły działy porad dla adeptów literatury. Niejeden początkujący brał się na serio do pisania po życzliwej zachęcie redaktora Włodzimierza Maciąga z „Poczty Literackiej” w „Życiu Literackim”.

A oto co zanotował w swym *Dzienniku* Jerzy Zawiejski 16.01.1956 roku, gdy miał już ponad czterdzieści lat, a za sobą kilka wydanych powieści i dramatów, począwszy od 1932r.

„Przerwa w pisaniu dramatu. Depresja przez cały dzień. Ustaliłem /.../ na czym polega tzw. cierpienie twórcze. Należy pominąć tutaj wszystko, co jest trudem warsztatu, więc walką ze słowem. Cierpienie twórcze polega na zwątpieniu i na lęku. A to niesie wszystkie straszliwe skutki i przeżycia. /.../ Może naprawdę nie umiem pisać i nie mam talentu? Jeśli po tylu latach dramat budzi zastrzeżenia, jeśli wydaje się komuś martwym, może doprawdy już dość prób, dość marnowania czasu. Opowiadanie *Strzep historii* też się Iwaszkiewiczowi nie podobało. Już nawet nie pamiętam dlaczego. Czy warto zapamiętywać dowody własnej nieudolności? Zrobiłem sobie herbaty, ukroiłem czarnego chleba i zjadłem z kawałkiem suchej kiełbasy. Masła nie było. Jadłem przez łzy – dosłownie! Straszna gorycz, mroźne uczucie pustki i samotności. Tak oto już nigdy na tym świecie nie doznam prostej radości pisania i prostej świadomości, że to co w takim trudzie robię ma sens, ma wartość.”⁸

A Jerzy Andrzejewski: pisał w *Dzienniku* w 1947 roku:

„Nie znam myśli i uczuć bardziej męczących nad te, które oplątują się dookoła strachu, jaki mnie zawsze ogarnia, gdy w sposób nagły poczynam zdawać sobie sprawę, iż powinienem zabrać się do pisania /.../ Ile razy we własnym poczuciu kończyłem się jako pisarz... Tygodnie i miesiące przeciekają mi przez palce jak suchy piasek. Nie ma z nich nic prócz nienasyceń.”⁹

Pisarz bywa nadwrażliwy. Dzięki temu wychwytuje z rzeczywistości bodźce niedostępne innym ludziom – swoje pomysły twórcze. Jest bardziej wyczulony na dostrzeganie interesujących go zjawisk a także wszelakich wątpliwości

i zakłóceń. Niestety wzmożona nadwrażliwość prowadzi nieraz do chorobliwej neurotyczności. Najbardziej znanym przykładem jest tu van Gogh. Doprowadziło go to do szaleństwa i przedwczesnej samobójczej śmierci.

Trochę światła na to zagadnienie rzuca Marcel Proust – sam wielki nadwrażliwiec, gdy w trzecim tomie *W poszukiwaniu straconego czasu* wkłada w usta lekarza, który leczy babkę narratora (autora), takie słowa:

„Wszystko, co mamy wielkiego zawdzięczamy nerwowcom. To oni, a nie inni, poczęli religie i stworzyli arcydzieła. Nigdy świat się nie dowie, ile im zawdzięcza, a zwłaszcza, ile oni wycierpieli, aby to dać światu. Sycimy się ich boską muzyką, ich pięknymi obrazami, tysiącem subtelności, ale nie wiemy, ile one kosztowały bezsennych nocy, płaczów, spazmatycznego śmiechu, pokrzywek, astmy, epilepsji, lęku /.../ Bez nerwowej choroby nie ma wielkiego artysty; co więcej... nie ma wielkiego uczonego.”¹⁰

I teraz lekarz zwraca się do babki:

„Gdybym panią uleczył z jej newrozy, przestałaby pani lubić tego pisarza (Bergotte’a). Otóż, czy ja czułbym się w prawie zamieniania rozkoszy, jakie on przynosi, na zdrowe nerwy, niezdolne dać pani podobnych wrażeń?”¹¹

Warto przytoczyć fragmenty powieści Briana Moore’a *Odpowiedź z otchłani*. Bohater – pisarz o wzrastającej sławie – wkrótce po wydaniu bestsellera uczestniczy w pogrzebie swej matki. Do jej śmierci przyczyniła się również jego obojętność, bo pogrążony w pisaniu pozostawił staruszkę samej sobie. Niewątpliwie kochał matkę, ale na jej pogrzebie zachowuje się jak postronny obserwator, bo stara się jak najwięcej zaobserwować i zapamiętać.

„Zapamiętaj to – powiedział ukryty we mnie obcy człowiek – zapamiętaj ten zmechanizowany ostatni zjazd.(...) I zapamiętaj ten dźwięk. Kiedyś to opiszesz.”¹²

„Zasypany już dół (...) grudy ziemi hałaśliwie spadały na wieko trumny, (...) Ksiądz zamknął książkę. Zapamiętaj to.” I zaraz przypomniały mu się słowa przyjaciela: Będzie stał przy łóżku własnej żony i śledził skurcze jej twarzy, żeby lepiej zapamiętać mękę konania. Bo on nie umie się temu oprzeć. Jest nieludzki, jest pisarzem. Nie czuje, umie tylko notować.”¹³

I dalej:

„Zmieniłem się tak, że sam siebie nie mogłem już poznać. Zgubiłem i poświęciłem siebie.”¹⁴ W tym ostatnim zdaniu, które jest zarazem ostatnim zdaniem powieści, autor nie dopowiada, że bohater zgubił i poświęcił siebie na rzecz pisania.

Podobne refleksje włożył w usta swemu bohaterowi zaraz na początku *Śniegów Kilimandżaro* Hemingway. Powalony gangreną pisarz, *alter ego* autora, mówi do żony, że chyba tej nocy umrze, a równocześnie obserwuje uważnie sępy, krążące nad obozem, myśląc, że ich obraz wykorzysta kiedyś, w jakimś opowiadaniu.

Nie jeden autor powie więcej ustami stworzonej przez siebie postaci literackiej niżby chciał wyznać wprost od siebie. Czytelnikowi pozostawia ocenę, ile w tym jego samego.

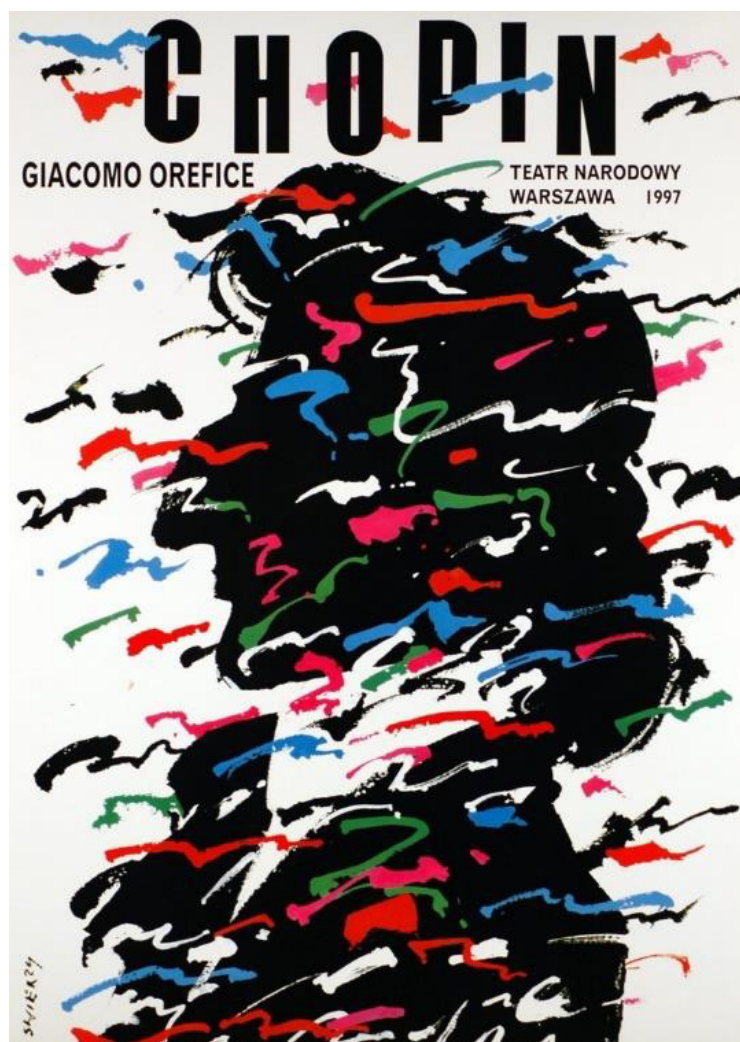
A więc taka bywa cena, jaką płaci twórca za swe dzieło. I nie zawsze może oczekiwać za to wdzięczności czy uznania. Ostatnio nawet pieniędzy. Musi godzić się ze świadomością, że jego, z takim poświęceniem napisana książka może być tylko czymś dla chwilowego zabicia nudy w podróży. Albo leży gdzieś zakurzona w stercie książek – nieprzeczytana. Może z powodu zbyt małej wrażliwości u czytelników, bo jej nie wykształtowano w procesie wychowania. Zaczniemy zatem od pielęgnowania naszej wrażliwości na sztukę, poezję, przyrodę i innych ludzi. O, gdyby tak wszyscy się tym przejęli!

Zakończę więc słowami Michała Sobieskiego z *Filozofii sztuki*:

„Z tęsknoty za uroczymi sielankami miłosnymi, których mu własne życie poskąpiło, wyczarował Watteau swą rozkoszną wyspę miłości Cyterę. Z tęsknoty za bohaterstwem, za hartowną mocą i druzgocącą wielkością wysnuł Nietzsche – nadczłowieka, o którym prawi Zaratustra”.¹⁵
Sztuka może więc dać to, czego brakuje w życiu.

Przypisy:

1. J. Conrad, *Sześć opowieści*, PIW Warszawa, 1973, str 7
2. W. Woroszyński, *Dialog o gryzieniu*, Wydawnictwo literackie, Kraków 1963
3. K. Paustowski, *Złota róża*, PIW, Warszawa 1957
4. M. Kasprzyczowa, *Dziennik*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1959
5. J. Przyboś, *Sens poetycki*, "Okolice Poetów", 1938
6. S. Bądkowska, *Czechow we wspomnieniach współczesnych*, Wydawnictwo Czytelnik, Warszawa 1960.
7. S. Przybyszewska, *Listy*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk, 1985
8. J. Zawiejski, *Dziennik*,
9. J. Andrzejewski, *Z nia na dzień. Dziennik literacki 1972 - 1979*, t.1 - 2, Czytelnik, Warszawa 1987, *Gra z cieniem*, Czytelnik, Warszawa 1987
10. M. Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, t.3, PIW, Warszawa 1992
11. Tamże
12. B. Moore *Odpowiedź z otchłani*, Instytut Wydawniczy PAX, 1973
13. Tamże
14. Tamże
15. M. Sobieski, *Filozofia sztuki*, Poznań 1912



Plakat Waldemara Świerzy (1997)

(Waldemar Świerzy (1931 - 2013, współtwórca Polskiej Szkoły Plakatu był członkiem Stowarzyszenia Twórczego POLART i brał udział w kilku polartowskich Salonach Sztuki (Red.)

ZBIGNIEW LATAŁA



CHOPIN I JEGO MUZYKA JAKO INSPIRACJA DLA TWÓRCÓW PLAKATU ARTYSTYCZNEGO

Muzyka od samego początku stanowiła inspirację, ale też wyzwanie dla artystów sztuk wizualnych. Już w pierwszej połowie XIX wieku rozpowszechniona była koncepcja tzw. *Correspondance des arts*, opierająca się na głębokiej wierze w wewnętrzną jedność strukturalną wszystkich sztuk¹. Czołowym wyznawcą integracji sztuk w ujęciu romantycznym był malarz francuski i przyjaciel Chopina Eugeniusz Delacroix, o którego uniwersalności tak pisał Andre Ferran:²

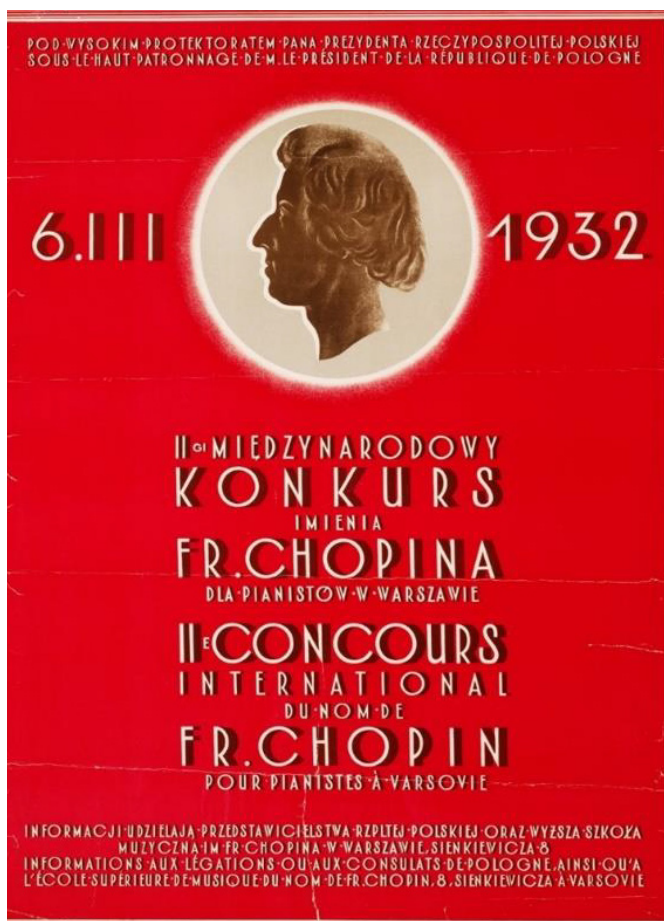
„Malarz, poeta, muzyk, Delacroix budzi duszę: każe myśleć, ponieważ nosi w sobie pierwotną namiętność człowieka uniwersalnego. Zamiast zamykać się w rozszerzonych przecie granicach własnej sztuki, marzy o opanowaniu środków jakimi dysponują inne sztuki, chcąc wyrazić ludzkie marzenia. Dojdzie się kiedyś do tego – przepowiada Delacroix – by wykonywać symfonię stawiając jednocześnie przed oczyma piękne obrazy dla uzupełnienia doznawanych wrażeń”.

Szczególne miejsce wśród sztuk wizualnych zajmują plakaty poświęcone i inspirowane muzyką najwybitniejszego polskiego kompozytora Fryderyka Chopina. Choć Chopin komponował swoje utwory niemal wyłącznie na fortepian, jednak jego znaczenie i oddziaływanie daleko przekraczają granice muzyki fortepianowej, a jego oryginalny styl jest rozpoznawalny po kilku akordach. To co osiągnął w zakresie sztuki jest marzeniem niemal każdego artysty, aby zachowując pierwiastek narodowy stać się kompozytorem o międzynarodowej sławie. Światową pozycję Fryderyka Chopina dostrzegł już w XIX wieku jego przyjaciel, Cyprian Kamil Norwid, który napisał: „Rodem warszawianin, sercem Polak, a talentem świata obywatel”. Z kolei wybitny pianista Artur Rubinstein ujął to w następujących słowach: „Ten najbardziej narodowy ze wszystkich kompozytorów świata okazał się być najbardziej uniwersalny”. To polskie oblicze Chopina,

polegające między innymi na sięganiu do rodzimego folkloru, stało się wzorem dla kompozytorów z innych krajów, jak choćby dla Edwarda Griega. Z kolei bogate środki artystyczne miały ogromny wpływ na twórczość kompozytorską między innymi Liszta, Skriabina, Debussy'ego, Ravela, Szymanowskiego.

Trudno więc dziwić się, że mając tak wybitnego pianistę i kompozytora w narodzie, zorganizowano w roku 1927 w Warszawie Pierwszy Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina, Jego inicjatorem był prof. Jerzy Żurawlew (1887 - 1980), polski pianista, pedagog i kompozytor. Konkurs chopinowski jest jednym z najstarszych konkursów muzycznych na świecie, o wielkim prestiżu i światowym rozgłosie. Jest jednym z nielicznych monograficznych konkursów pianistycznych i pozostaje niezmiennie poświęcony wykonawstwu muzyki jednego kompozytora. Pozwala to nie tylko śledzić grę i oceniać kwalifikacje uczestników, nie tylko otrzymywać informacje o aktualnym poziomie pianistyki w ogóle, ale daje też możliwość zaobserwowania zmieniającego się stosunku do samych dzieł Chopina. W ciągu ponad dziewięćdziesięciu lat istnienia ewoluował i przeobrażał się, zmieniał i doskonalił swą formę, stworzył własną bogatą tradycję. Ale co najważniejsze istnieje do dzisiaj i z każdą kolejną edycją przybywa uczestników.

Pierwszy Konkurs Chopinowski odbył się w 1927 roku w sali Filharmonii Warszawskiej. Tutaj też, co pięć lat odbywały się następne Konkursy: w 1932 i 1937 roku. II wojna światowa uniemożliwiła zorganizowanie Konkursu w 1942 r. Realne to się stało dopiero kilka lat po wojnie. Od samego początku każdemu konkursowi towarzyszył plakat, który był projektowany przez najbardziej uznanych artystów grafików. Niestety plakat do pierwszego konkursu się nie zachował, natomiast do drugiego projekt plakatu wykonał w 1932 roku Stanisław Ostoja – Chrostowski.



Plakat do II Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego (1932)

Pierwszy powojenny, a IV z kolei Międzynarodowy Konkurs Chopinowski przeprowadzono w 1949 roku w ocalałej sali budynku "Roma", tymczasowej siedzibie Filharmonii i Opery Warszawskiej. Konkurs ten stał się punktem kulminacyjnym obchodów Roku Chopinowskiego – 100 rocznicy śmierci wielkiego kompozytora. W tym samym roku odbył się też kolejny Festiwal Chopinowski w Dusznikach Zdroju, który zdaniem prof. Piotra Palecznego (obecnego dyrektora artystycznego) jest najstarszym nieprzerwanie działającym festiwalem pianistycznym na świecie. W tym czasie powstało wiele wspaniałych plakatów, ponieważ do akcji wkroczyli przedstawiciele Polskiej Szkoły Plakatu z Henrykiem Tomaszewskim, Erykiem Lipińskim i Romanem Cieślęwiczem na czele.

Polska szkoła plakatu – określenie powstałe w latach 60. XX wieku, używane wobec grupy polskich artystów - plakacistów, którzy zdobyli międzynarodowy rozgłos. Zajmowali się oni wykonywaniem plakatów o tematyce politycznej, społecznej i kulturalnej (film, koncerty, festiwale, przedstawienia teatralne, wystawy, przedstawienia cyrkowe).

Następny Konkurs odbył się sześć lat później, w 1955 roku. To roczne opóźnienie, spowodowane było odbudową Filharmonii Warszawskiej. Od 1955 r. Międzynarodowe



Plakat Henryka Tomaszewskiego do Festiwalu Chopinowskiego (1949)

Konkursy Pianistyczne im. Fryderyka Chopina odbywają się w Filharmonii Narodowej, bez zakłóceń co pięć lat. Konkursy przedwojenne oraz z lat 1955, 1960, 1965 odbywały się zimą, blisko daty przyjmowanej za rocznicę urodzin Fryderyka Chopina, 22 lutego. Jednak ze względu na dużą liczbę zachorowań w tym czasie, zarówno jurorów jak i uczestników, termin zmieniono i przeniesiono na październik, miesiąc w którym przypada rocznica śmierci kompozytora.

Plakaty wykonywane przez przedstawicieli polskiej szkoły plakatu były bardzo zróżnicowane stylistycznie. Ich wspólnymi cechami były jednak lapidarność i oszczędność formy, ironia, nowatorskie liternictwo. Charakter twórczości polskich plakacistów określany bywał jako styl „niezależności i bystrości rozumu”. Najlepszym przykładem tej lapidarnej formy jest plakat Henryka Tomaszewskiego z roku 1980.

Dziesiątemu konkursowi towarzyszyło już kilka plakatów zamówionych przez organizatorów. Jednym z najbardziej oryginalnych stylistycznie był plakat Karola Śliwki, który mimo że monochromatyczny wyróżniał się swoją lekkością, tak charakterystyczną dla wielu utworów Chopina.

Od samego początku plakaciowi towarzyszyły pewne charakterystyczne motywy, którymi niewątpliwie były: profil kompozytora oraz klawiatura fortepianu.



Plakat Tadeusza Trepkowskiego do V Konkursu Chopinowskiego (1955)

W plakatach z lat 90. i późniejszych odnajdziemy wszystkie możliwe style począwszy od plakatu realistycznego, poprzez surrealistyczny, minimalistyczny, konstruktywistyczny, aż do abstrakcyjnego.

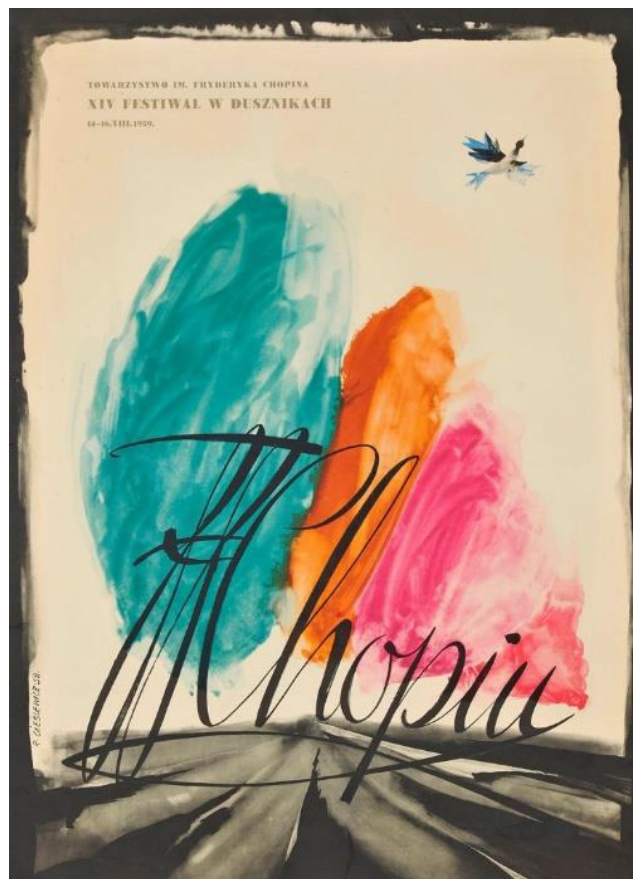
Poza różną stylistyką plakatów można też zaobserwować rozmaite środki wyrazu wykorzystywane przy projektowaniu takie jak , szkic, techniki malarskie , kolaż, fotografię i coraz śmiej pojawiające się techniki komputerowe.

W roku 2000 projekt plakatu chopinowskiego przygotował jeden z najbardziej utytułowanych polskich artystów, przez wiele lat będący dyrektorem artystycznym wytwórni CBC w Londynie – Rosław Szaybo. Autor kilkudziesięciu kultowych okładek płytowych, projektowanych dla najwybitniejszych artystów ze świata muzyki.

Zupełnie odmiennym polskim artystą plakatu jest Wiesław Grzegorzcyk, który większość swoich plakatów wykonuje ręcznie, używając do tego celu klasycznych technik malarskich, łącznie z typografią. To czyni jego projekty wyjątkowymi, co w przypadku tego plakatu dodatkowo podkreśla jego romantyczny charakter.

W tej samej konwencji zrealizował swój plakat z okazji 200 rocznicy urodzin Chopina – Mieczysław Górowski.

Rok 2010, w którym cały muzyczny Świat hucznie



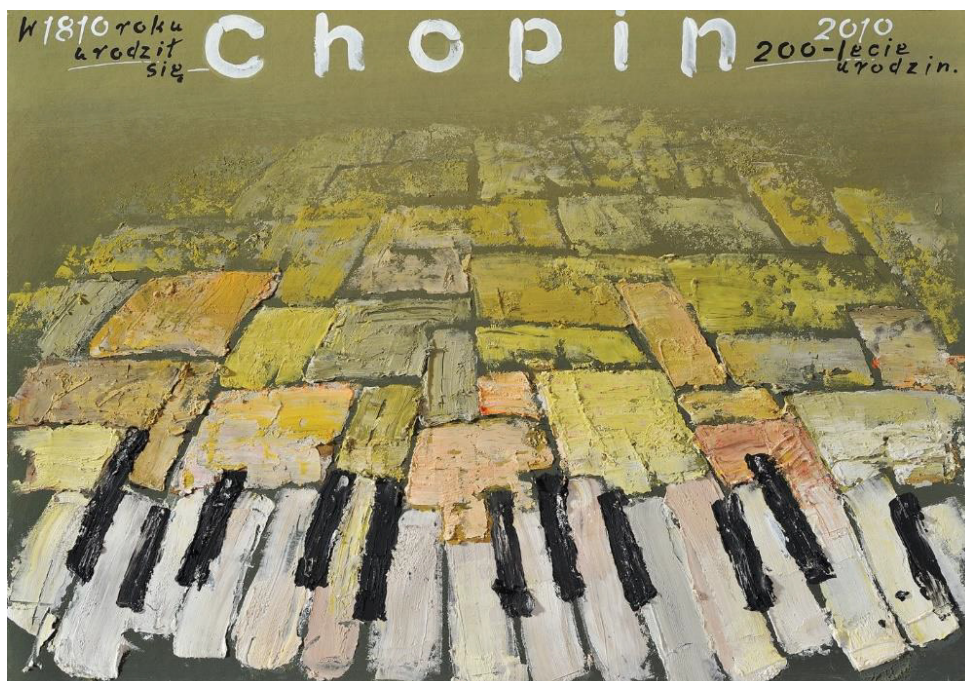
Plakat Romana Cieśliewicza do XIV Festiwalu w Dusznikach (1959).

obchodził 200 rocznicę urodzin Fryderyka Chopina zaowocował ogromną ilością zaprojektowanych z tej okazji plakatów. Artyści ze wszystkich krajów świata włączyli się do tego projektu. Na szczególną uwagę zasługują projekty polskich artystów, ponieważ wyróżnia je bardzo osobisty i emocjonalny stosunek do Chopina i jego muzyki. Artyści udowodnili, że plakat może być - mimo swoich naturalnych ograniczeń - równie wrażliwym, elastycznym medium, wyrażającym głęboki stosunek do muzyki genialnego polskiego kompozytora.

Wśród plakatów chopinowskich można też odnaleźć plakaty inspirowane konkretnym utworem Chopina, jak choćby plakat autora tego artykułu.

I wreszcie plakat do XVIII Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego, który miał odbyć się w 2020 roku. Ze względu na pandemię został przniesiony na rok 2021. Pozostaje mieć nadzieję, że już nic nie stanie na przeszkodzie, aby się odbył.

Jury w następujący sposób uzasadniło swój werdykt: „propozycja ta posługuje się wyrazistym znakiem graficznym o interesującym, wielowarstwowym przekazie. Odwołuje się niedosłownie, choć klarownie do znaku (fortepianu i klawiatury), a jednocześnie do wartości istotnych w muzyce Chopina, tak dawniej, jak współcześnie – za pośrednictwem



z lewej:

Mieczysław Górski (2010.)

Poniżej

:Projekt Chopin 2010 zrealizowany w pracowni Elektronicznych Form Realizacji Krakowskiej Akademii prowadzonej przez Zbigniew Latałę.

Zbigniew Latała. Plakat inspirowany *Preludium op. 28 nr 15* Chopina (2010).

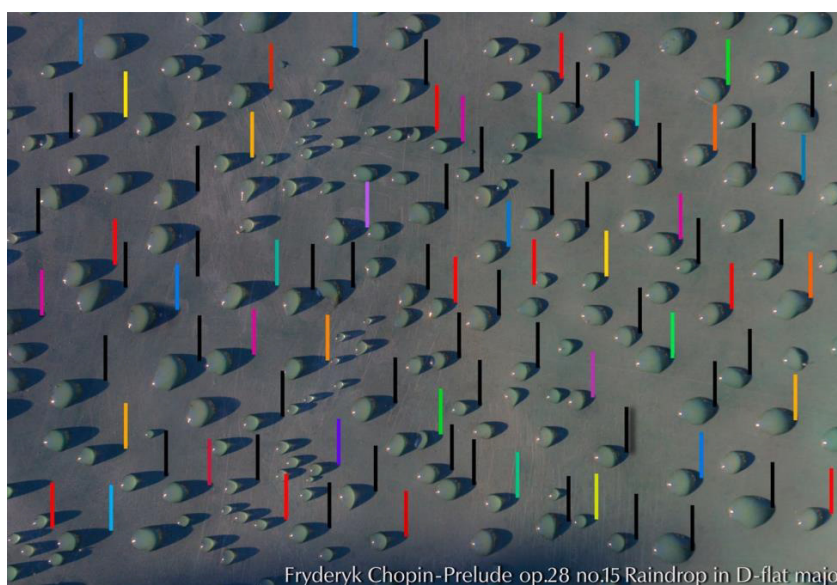
lekkich, malarskich form udało się autorom precyzyjnie ująć wielowymiarowość muzyki Chopina. W przetworzeniach graficznych projekt tworzy interesujące warianty o dużym potencjale funkcjonalnym i znaczeniowym. Propozycja studia Moonmadness nawiązuje przy tym do tradycji plakatu Chopinowskiego i polskiej szkoły plakatu, może zatem stanowić pomost między tradycją a współczesnością.

Przeprowadzona przez autora subiektywna analiza twórczości plakatowej związanej z Fryderykiem Chopinem i jego twórczością, pozwala na prześledzenie trendów, jakie panowały w projektowaniu graficznym w różnych okresach czasu i jest ona o tyle cenna, że dotyczy jednego kompozytora, podobnie jak monograficzny jest Międzynarodowy Konkurs im. Fryderyka Chopina.

Przypisy;

1 J.Starzyński: „O romantycznej syntezie sztuk”, PIW, 1965.

2 A. Ferran: „L'esthetique des Baudelaire”, Paris 1933.



Fryderyk Chopin-Prelude op.28 no.15 Raindrop in D-flat major

IRENA KACZMARCZYK



ANIOŁ. ZZA SZYBY SKLEJANIE PORTRETU ZUZANNY GINCZANKI

*„Czy wie Pani, że Zuzanna, kiedy była uczennicą w Równem, przed każdymi świętami Bożego Narodzenia ozdabiała wystawę sklepu swojej babki jako anioł? Klęczała w białej sukience, ze skrzydłami, srebrną przepaską na czole, a może złotą, i w białych pantofelkach [..]. Klęczała nieraz bardzo długo”. **

Tą anegdotą z dzieciństwa Ginczanki, Izolda Kiec, autorka najnowszej i wyczekiwanej biografii „Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt”, rozpoczyna opowieść o życiu wybitnej poetki dwudziestolecia międzywojennego Zuzanny Gincburg. Stanowi ona metaforę losu Ginczanki urodzonej w Równem Wołyńskim w roku 1917. Jest symbolem życia za wystawową szybą, która uniemożliwiała Zuzannie porozumienie z zewnętrznym światem. Była wyrazem jej wyizolowania, osamotnienia, a także namacalnego osierocenia – ojciec po rozstaniu z matką wyjechał najpierw do Niemiec, potem do Stanów, a matka, po ponownym zamążpójściu, wyemigrowała do Hiszpanii. Zdradzona przez rodziców Zuzanna, pozostała na wychowaniu babci Chai, która zadbała o jej solidne wykształcenie, najpierw w Równem (gimnazjum), a potem w Warszawie, gdzie poetka skończyła z wynikiem bardzo dobrym pedagogiczne studia na Wydziale Humanistycznym UW.

Od najmłodszych lat wrażliwą i utalentowaną Ginczankę przed zaokiennym światem chroni poezja. Ona daje jej – pisze Izolda Kiec – pocieszenie i ochrania, oswaja zbiorowe zagrożenia i jednostkowe lęki... zapewnia opiekę i oferuje jedynie egzystencję pomiędzy słowami, egzystencję nierzeczywistą, skazaną na oddalenie od zwyczajności, zbiorowości, nazywanych niekiedy – normalnym życiem. Na wieczne oddalenie, także dzisiaj – kontynuuje autorka biografii – gdy wystawy dawno już nie ma, bo unicestwiona została wraz ze zmienionym w 1941 roku w stos gruzu domem babci w Równem, gdy po Zuzannie nie pozostał grób, a nawet pewność, że to tam, w Płaszowie, 5 maja 1944 roku, dosięgło ją ostatnie nienawistne spojrzenie hitlerowskiego oprawcy (s.17). Dramat odosobnienia zawarła siedemnastoletnia Zuzanna w puencie wiersza „Za barykad”: patrzysz mi w oczy jak w szklane szyby, jak nieprzebite graniczne szyby / i nie wiesz wcale, jak w myśli wołam: uwolń mnie, miły, ratuj i wybaw.

Talent poetycki zdradza Ginczanka już w wieku lat czternastu, publikując piękną wiersz „Uczta wakacyjna” w gimnazjalnym czasopiśmie „Echa szkolne”, który warto przytoczyć:



*Na talerzu szarym ziemi, malowanym w zieleń trawy,
Mam sałatkę, przyrządzoną z kwiatów wonnych i jaskrawych
I z naczyń w kształcie słońca, które formy swej nie zmieni,
Leje lato na nie ciepły i złoty miód promieni.*

*W innej misie z szkła czarnego, niby nocnych chwil kryształ
Leży banan półksiężyc żółty, gruby i dojrzały;
Lipiec suto obsypuje wnet firmament półksiężyc
Cukrem gwiazdek, których pełna jest wszechświata cukiernica.*

*Z przezroczego dzbanu piję niebo z pianką chmur - oczyma;
Lokaj - lato na swej tacy złotą dynię słońca trzyma.
Wgryzam się zębami uczuć w kraśne jabłka dni czerwonych
I do kosza serca chowam skórki wspomnień już zjedzonych.
(1930) (Uczta wakacyjna)*

Studia w Warszawie w latach 1935 - 1939 były znaczącym dla młodej poetki okresem. Poznała dobrze środowisko literackie. Stała się legendą i muzą warszawskiej cyganerii połowy lat trzydziestych. Przyjaźniła się z Gombrowiczem i Tuwimem, który odkrył jej talent, polemizowała ze Słonimskim i Karpińskim. Była stałą bywalczynią artystycznych kawiarni: „Małej Ziemiańskiej”, „U Wróbla”, a także „Zodiaku”, gdzie w towarzystwie Ewy i Stefana Otwinowskich, Andrzeja Nowickiego, Stanisława Piętaka, Tadeusza Wittlina i państwa Brandysów siedziała przy stoliku Gombrowicza. Porażająco

piękna, dobrze wychowana, inteligentna, dowcipna i czytana, ale też często małowówna, sprawiająca wrażenie nieobecnej, nieprzystającej do krzykliwych, żartujących literatów, chociaż uśmiech na twarzy towarzyszył jej zawsze. Był on jednak – podobnie jak szklana szyba – maską skrywającą lęki, był „uśmiechem przez łzy”. Taką właśnie Zuzannę oglądamy na zachowanych zdjęciach w biografii Izoldy Kiec.

W roku 1936 Ginczanka wydała ekskluzywny, prestiżowy i jedyny tom poezji: „O centaurach”. Pojedyncze wiersze publikowała w „Skamandrze” i „Wiadomościach Literackich” a satyry i fraszki w „Szpilkach”. Wspólnie z Andrzejem Nowickim pisała również słuchowiska radiowe.

Po wybuchu wojny, Zuzanna uciekła do Lwowa i zamieszkała przy ul. Jabłonowskich 8A. Z różnych miast Polski przybyło tutaj ponad dwustu literatów. Pośród nich byli: Boy - Żeleński, Broniewski, Przyboś, Jastrun, Ważyk, Wat, Pasternak, Polewka, Stern i wielu innych znanych pisarzy. W 1940 roku Ginczanka została przyjęta do Związku Pisarzy Zachodniej Ukrainy. Zajęła się translacją, do czego podchodziła z pewną ironią i dystansem. Kiedy zaczęła się czystka Żydów we Lwowie i mąż Ginczanki, Michał Weinzieher, uciekł do Krakowa, zastraszona i zaszczuta Zuzanna zostaje zadenuncjowana przez dozorczyńnię kamienicy Zofię Chominową. Jej nazwisko uwieczniła poetka w słynnym wierszu „Non omnis moriar”. Wiersz ten, jako jedyny przypadek w historii, stał się dowodem w procesie wytoczonym Chominowej w roku 1948. Warto go poznać:

*Non omnis moriar — moje dumne włości,
Łąki moich obrusów, twierdze szaf niezłomnych,
Prześcieradła rozległe, drogocenna pościel
I suknie, jasne suknie pozostaną po mnie.
Nie zostawiłam tutaj żadnego dziedzica,
Niech więc rzeczy żydowskie twoją dłoń wyszpera,
Chominowo, lwowianko, dzielna żono szpicla,
Donosicielko chyża, matko folksdojczera.
Tobie, twoim niech służą, bo po cóż by obcym.
Bliscy moi – nie lutnia to, nie puste imię.
Pamiętam o was, wyście, kiedy szli szupowcy,
Też pamiętali o mnie. Przypomnieli i mnie.
Niech przyjaciele moi siądą przy pucharze
I zapiją mój pogrzeb i własne bogactwo:
Kilimy i makaty, półmiski, lichtarze –
Niechaj piją noc całą, a o świcie brzasku
Niech zaczną szukać cennych kamieni i złota
W kanapach, materacach, kołdrach i dywanach.
O, jak będzie się palić w ręku im robota,
Kłęby włosa końskiego i morskiego siana,*

*Chmury prutych poduszek i obłoki pierzyn
Do rąk im przyłgną, w skrzydła zmieniają ręce obie;
To krew moja pakuby z puchem zlepi świeżym
I uskrzydłonych nagle w aniołów przerobi.
(1942) (Non omnis moriar)*

Po ucieczce ze Lwowa, Ginczanka zatrzymuje się na krótko w Felsztynie u ciotki Janusza Woźniakowskiego, potem przedostaje się do Krakowa, gdzie ukrywa się przy ul. Zyblikiewicza. Kolejnym miejscem schronienia stają się Wróblowice k. Swoszowic. Niebezpieczne miejsce musi jednak opuścić i ponownie wraca do Krakowa, gdzie chowa się w domu Elżbiety Mucharskiej przy ul. Mikołajskiej 26. Ta niefortunna lokalizacja (sąsiedztwo gestapowców i agentów w kawiarni „Ziemiańska”) jest ostatnim miejscem pobytu przed aresztowaniem poetki. W 1944 roku, po kolejnym donosie, Ginczanka została zatrzymana i więziona na Montelupich, potem przy ul. Czarnieckiego i rozstrzelana kilka miesięcy później w Płaszowie (dziś dzielnica Podgórze w Krakowie). Na temat aresztowania i jej śmierci istnieje kilka wersji, ale brak jest źródłowych dowodów. Materiały dotyczące tej kwestii skrupulatnie analizuje badaczka życia i twórczości polskiej poetki żydowskiego pochodzenia. Zresztą, cała biografia jest skarbnicą zbieranych latami (od 1991 roku) i rozsianych po świecie dokumentów, na podstawie których autorka stara się posklejać portret Ginczanki w jedną całość. Jest efektem mrówczego poszukiwania źródeł w archiwach, bibliotekach, w zbiorach literaturoznawców, w korespondencji oraz niepublikowanych relacjach jej znajomych. Biografka stara się weryfikować zachowane dokumenty. W tej mnogości źródeł Izolda Kiec prezentuje nieznanne fotografie Ginczanki oraz jej poezję, by na ich podstawie odświeżyć osobowość młodej, atrakcyjnej dziewczyny. Zarówno w wierszach, jak i w wyglądzie Zuzanny, zauważa się jej silny charakter; zdradzają go choćby włosy, którym autorka poświęca jeden z krótkich i poruszających rozdziałów książki. Cytuje w nim fragment listu Krystyny Garlickiej, współtowarzyszki Ginczanki w więziennej celi: Zuzanna bardzo bała się bicia, ale obrała metodę. Najwięcej zależy jej na włosach. Rzeczywiście miała piękne, długie, czarne. Na śledztwie ciągle je poprawiała. Gestapo to zauważyło i z całym okrucieństwem zaczęli je szarpać, wrywać. Ciągnęli ją po ziemi za włosy! (List Krystyny Garlickiej do Izoldy Kiec, 3 lutego 1992). W więzieniu Ginczanka nakładała sobie makijaż i bardzo dbała o włosy, które były dla niej symbolem trwania, przedłużania życia. Upinała je inaczej niż zwykle, coraz wyżej, jakby chciała podkreślić ich tajemną moc, chroniącą jej dotychczasowe „ja”. Uważała, że włosy utrzymane w nieładzie mogłyby symbolizować rozpacz, a rozpacz Zuzanna nie chciała ulec. Chciała zachować godność. Nawet w celi prosiła służby

więzienne o grzebień, o spinki do włosów a nawet o preparat zwalczający wszy. To była jej walka o przetrwanie.

Ginczanka od dziecka nie mieściła się w ramach i schematach. Chciała być inna. Chciała być za szybą. Nawet portret Ginczanki na okładce książki, sporządzony przez Andrzeja Stopkę, ma artystycznie zakreskowaną, zamyśloną twarz, skrywającą jej tajemniczy wewnętrzny świat, pełen blizn i psychicznych zranień. I chociaż nie udało się Izoldzie Kiec, edytorce wierszy Ginczanki „Poezje zebrane (1931 - 1944)”i wydanej w 1994 roku monografii „Zuzanna Ginczanka. Życie i twórczość”, skleić jednoznacznego portretu tej znakomitej poetki, ginczankolożka wykonała cenną i benedyktyńską pracę. Dotarła do wielorakich źródeł, dokumentów dotyczących samej Zuzanny i bliskich jej osób, ubogacając książkę fotografiami z realiów epoki. Są tu zdjęcia Warszawy z lat 30., Lwowa, miejsca urodzenia Ginczanki (Równe Wołyńskie), artystycznych warszawskich kawiarni (Ziemiańska, Zodiak, IPS, Sztuka i Moda) stołecznych czasopism literackich („Wiadomości Literackie”, „Skamander”, „Szpilki”). Są zdjęcia najbliższej rodziny Ginczanki, znanych osób ze świata literatury i sztuki, mężczyzn, z którymi miała bliższe kontakty. Są cenne wspomnienia, m.in. W. Gombrowicza z 1960/61 roku czy J.W. Gomułckiego a także wiersze dedykowane Zuzannie Ginczance. Właściwie, ten bardzo cenny zbiór źródeł powoduje, że po pierwszej lekturze czuje się potrzebę powtórnego czytania, liczącej 423 strony, biografii. Bo jest to pierwsza, napisana klarownym językiem, obszerna opowieść o zamordowanej w wieku dwudziestu siedmiu lat wybitnej poetce, po której został tylko jeden tom wierszy „O centaurach”(1936), dwa zeszyty z zapiskami, dwie publikacje w „Wiadomościach Literackich”, nieco więcej w „Skamandrze” i w „Szpilkach”; po której nie zachował się oryginał ważnego wiersza „Non omnis moriar”(1942) oraz słuchowiska radiowe.

Jednym słowem, warto przeczytać znakomitą biografię Izoldy Kiec, która absorbuje od pierwszego zdania, od pierwszej fotografii, przedstawiającej nadpaloną kartkę papieru z wierszem „Zdrada”, opatrzonym autografem Ginczanki, z którego autorka zaczerpnęła słowa do tytułu biografii: „Nie upilnuje mnie nikt”. A po lekturze książki – to już moja sugestia – udać się do Krakowa na ul. Mikołajską 26, gdzie od 2017 roku na fasadzie kamienicy znajduje się pamiątkowa tablica Ginczanki z napisem: „Wybitna poetka języka polskiego z wyboru”. I zadumać się nad tragicznym losem Zuzanny Gincburg. Anioła z za szyby.

* List Kazimierza Brandysa do Izoldy Kiec, Paryż, 30 listopada 1989.

ELIGIUSZ DYMOWSKI

KLASZTOR ŚW. JERZEGO W WADI AL - KILT

pod wieczór w modlitewnym milczeniu
mnisi wychodzą z cerkwi

ich długie brody
jak skrzydła aniołów
dostojnieją w mroku

nadchodzi czas spoczynku
na ramionach Pana

po Ostatniej Wieczerzy
nikt nie chce już być
judaszem

od dawna przecież wiedzą
że nie zbawia się świata
w pojedynkę

OGLĄDAJĄC OBRAZY MARIANA KOŁODZIEJA W HARMĘŻACH

Niebo zasłonięte szczelnie ciemnymi chmurami
budzi demony wojny. Ich szkielety jak kominy krematoriów
unoszą wciąż strach nad milionami niewinnych istnień.
Jeśli jeszcze kiedykolwiek na ziemi narodzi się piekło,
twój głos muszą usłyszeć wyznawcy zła. To nie dla nich
tak poczerwiano słońce, grzebiąc w zapadłych od głodu policzkach
wszelką nadzieję na sen spokojny.

Wróciłeś na tę przeklętą ziemię, nie jako pan i władca, ale świadek.
To bardziej boli, niż kolczasty drut strzegący ludzkich prochów.
Historia nigdy nie będzie sprawiedliwa dopóki nie zmierzy się z prawdą.
Całym tobą okaleczona pamięć, wgrzyzła się
w papier i ryje do głębokości obraz za obrazem,
aby śmierć – tak pewna siebie i okrutna – już więcej nikogo nie
pochłonęła.

Tu demon i anioł zaciekle walczą ze sobą, który z nich pierwszy
zdrze okrucieństw kurtynę i z gapiów zadrwi zadufanych w sobie.
Lecz na tej scenie zbrodni nie kończy się człowieczeństwo,
bo z resztek pozostała ocalona godność i krzyk z otchłani:
Requiescat in pace!

W SZPITALU

spotkałem anioła
miał twarz dziecka
i wiarę świętego
czekał cierpliwie na nowe serce
z tym starym już się jakoś dogadał
że lepiej im będzie
gdy się rozstaną
choć żal ścisnął za gardło
jak każdego kto cierpi
i nie wie dlaczego

* * *

Jeśli ci umilkną, kamienie wołać będą
Łk 19, 40

do śmierci nigdy nie dorastamy
i nie dorośniemy
zawsze przychodzi za wcześnie
dlatego wierzymy jak dzieci
że nie uczyni nikomu krzywdy
kiedy ocalimy pamięć

NA STARYM CMENTARZU W KROŚNIE

zastygło życie
w zapomnianych grobach

i smutku nie da się tu rozweselić
bo zrosł się mocno z tą cmentarną ciszą

gdzie liście na drzewach
szumią ckliwe modły

o dusz wieczne szczęście
co porosły trawą

wśród kamiennych aniołów
z nadłamanym skrzydłem

oby Niebo przyjęło je
z godną czcią i chwałą



IGNACY S. FIUT

TEOLOGIA WIERSZA

Poezja pełni w życiu człowieka wiele funkcji, np. eksponuje przyjaźń, miłość, ale i nienawiść oraz niezgodę. Pełni również funkcje religijne jako wyraz wiary jednostki, przybierając formę modlitwy do Najwyższego. Ważne w tej postawie są doświadczenia z okresu młodości, kiedy to formowały się podstawy osobowości człowieka, który często wraca do czasów dzieciństwa. Owo postrzeganie korelatu wiary, jakim jest byt Boży zawsze jakoś łączy się z miejscem urodzenia i dojrzewania człowieka, szczególnie z przyrodą i krajobrazem tego miejsca, w którym rozwijała się umiejętność postrzegania tego naturalnego piękna, ale i chęć nieustanego, pośrednio i bezpośrednio, obcowania z nim. Z taką sytuacją intelektualną i artystyczną łączy się niewątpliwie zawartość poetycka tomu wierszy pt. „Ziemia kamienna” autorstwa dr. Eligiusz Dymowskiego – kapłana, franciszkanina i doktora teologii. Urodził się i wychował w regionie północnowschodnim Polski w okolicach Druskiennik niedaleko rzeki Niemen i Czarnej Hańczy. Od dziecka doświadczał wielokulturowości, wieloreligijności tego regionu widząc w nim piękno i wzniosłość jako niekłamany wytwór woli Bożej, w którym On mu się uobecnia. Działo się tak nawet kiedy podróżował po Polsce i świecie, czy nawiązywał do wybitnych poetów, którzy m.in. inspirowali się podobnymi przeżyciami religijno - estetycznymi, np. Mosze Kulbaka, Zbigniewa Herberta, Bolesława Leśmiana, Adama Mickiewicza, Alberta Camusa, czy Czesława Miłosza i Sylwii Plath.

Kolejne wiersze Dymowskiego inspirowane są głównie poszukiwaniami śladów Boga w bliskim mu świecie, często przyjmujących formy modlitwy i kontemplacji, abstrahujących od paradoksów wiary. Poeta podkreśla, że kluczowe dla życia człowieka są walka o pokój i poczucie istnienia Boga, budzącego nierzadko trwogę, ale i życiodajny szal, bo dla Niego człowiek jest bytem najważniejszym. W wierszu – „W przytulisku Brata Alberta” pisze: „twoja dłoń podaje chleb/nie pyta o adres/człowiek jest najważniejszy”. Z kolei w wierszu „Góra błogosławieństw” czytamy: „(..)//wspinając się na szczyt/za każdym razem drżysz z przerażenia/święty/od najzwyklejszych spraw”. Autor podkreśla, że wiara, by była skuteczna, musi mieć charakter zbiorowy, bo „nie zbawia się świata/w pojedynkę”. Towarzyszy jej zwątpienie, cierpienie, niepewność, ale i misterium incarnationis, ujawnia miłość Bożą i przebaczenie dla grzesznego żywota. Doświadczenie biedy, choroby, ukazuje nam, „że do śmierci nigdy nie dorastamy/i nie dorostniemy”, a jedynie kamienie dają świadectwo naszego bytowania i towarzyszących mu nadziei, kiedy np. odwiedzamy cmentarze i czytamy epitafia. W wierszu bez tytułu dowiadujemy się : „przytul do dłoni kamień/ukoi ból/wykrzyczy go z tobą/nie raniąc nikogo/ s ł o w e m”.

Dwie kwestie według poety są ważne dla człowieka, czyli widmo Sadu Ostatecznego, ale i kondycja naszej Ziemi. Sąd bowiem stanowi dla wierzącego ostatnią instancję

sensownego wyboru życia i perspektywę jego wiecznego istnienia, zaś szacunek dla „matki” Ziemi – „wybranki Boga” – jest zapowiedzią również wiecznego zbawienia ciała. Nasz ziemski byt, pomimo wszelkich jego dokuczliwości i niedogodności, jest przecież „miłosnym darem niebios”. Natomiast słowa i kamienie są dwoma stronami wiary. Życie bowiem przypomina Syzyfowy wysiłek wtaczania kamienia na górę, ale i pogoń za prawdą istnienia oraz nieśmiertelnością, co dobrze ilustrują fenomeny podróży, miłości, modlitwy, pracy kobiet, ale i dialektyki zmiany dnia i nocy. W tej perspektywie ważne dla poety jest studium portretu własnej matki piekącej chleb – dającej nam dar życia.

Patrząc na fizyczny i metafizyczny wymiar oraz przekaz tego tomiku nietrudno nie zauważyć że pozostaje w dużej koincydencji z atmosferą obecnych nam czasów, kiedy żyjemy w cieniu „wielkiej zarazy”, która dotyka w wymiarze globalnym wszystkich bez wyjątku i odbiera ludziom nadzieję, że kiedyś się to skończy. Wobec tych traumatycznych doświadczeń i przeżyć, na które nie mamy większego wpływu, zaczynamy rozumieć naszą znikomość w świecie, ale i sens naszego powołania przez Stwórcę. Warto zatem przeczytać tę książeczkę, by znaleźć racje za przekonaniem, że istnienie zawsze ma jakiś sens, a nie jest tylko nieustannym doświadczaniem absurdalności naszej kondycji w świecie.

E. Dymowski, „Ziemia kamienna”, redakcja i koncepcja graficzna – Janina Osewska, Fundacja Słowo i Obraz, Augustów 2020, s. 48.

STANISŁAW KIEROŃSKI

ŚWIATŁO KSIĘŻYCA

światło księżyc
lamp ulicznych
mieszkań
rozsiadło się z siarczystym mrozem
w głębokim śniegu
zima zdumiała
tych którzy jej
takiej nie widzieli
zaskoczyła wątpiących
w jej powrót
pełną swoją krasą
ożyły opowieści
minionych kalendarzy
tunele zasy
dzwonki kuligów
z pochodniami
brniemy po kolana
ułaskawione sanki
niewiarygodne słowo
nigdy
zdrowa biała pora
wraca
wracajmy też my

ZMIERZCH GRUDNIOWY

zmierzch grudniowy
pomarańczowy księżyc
wychyla się znad domów
podnosi do góry
po lekko zaśnieżonych
dachach
płynie powoli
po niebie do
pełnej jasności
przewodnik nocy
oświetla drogi
naiwnością wiary szukam
tej do rzeki granicznej
sporu o początek
oddechu

NIESPOKOJNE CHWILE

niespokojne chwile
skołowany
odpędzam złe wieści
trwożnym sercem
codzienne dane
chore statystyczne
liczby rażą oczy
uszy
otwierają Górę Trzech
Krzyży w Kazimierzu Dolnym
nad Wisłą
staje przede mną
wiedeńska kolumna
morowa
przenoszę się do
radomskiej kapliczki
świętej Rozalii
od powietrza zachowaj
nas
za cóż ta kara
Panie
niech stanie się cud

JANINA SZCZEŚNIAK

ALE ZAWSZE W STRONĘ SŁOŃCA



Zapraszając do lektury szóstego tomu poezji Stanisława Kierońskiego *Zagubione sumienie*, zacytowałam wers jednego z wierszy, który najlepiej określa poglądy Autora i Jego relacje z ludźmi. Chociaż tom tej liryki zawiera wiele utworów ukazujących relatywizm aksjologicznych pojęć we współczesnej rzeczywistości, smutek Poety przełamany jest nadzieją i pozytywnym myśleniem dotyczącym przyszłości. Nasycony żywiołem moralnego niepokoju zbiór tekstów nastawiony jest szczególnie wyraziście na autokonfesyjność. Warto dodać, że utwory zamieszczone w tym tomie odzwierciedlają bardzo osobiste przeżycia, utrwalają intymne przemyślenia i emocje, deszyfrując kamuflowaną wcześniej duchowość.

Poezja Stanisława Kierońskiego stanowi świadectwo Jego myśli, będąc próbą samookreślenia się wobec sytuacji bieżącej, wpisując się w kontekst społeczny, polityczny i filozoficzny. Szczególnie poruszające wydają się utwory, które odwołują się do wspomnień, tak jak wiersz pod tytułem *Droga wiodła*:

droga wiodła
do mojego dziś
przez wiele zakrętów
łagodnych
ostrzych
z przystankami na łzy
uśmiech radości [...]
jutro też nie
będzie prosta
ale zawsze do
słońca

W popularnym toposie drogi, symbolizującym ludzką egzystencję, smutek istnienia przełamany został nadzieją potwierdzającą afirmację i sens życia. Bardzo ważne miejsce w tej poezji zajmuje utwór *Zagubione sumienie*, który można pojmować jako klucz do interpretacji dotyczący pytań Autora,

jak doszło do dewaluacji wartości, co stało się z ludzkim sumieniem, odpowiedzialnością moralną za czyny człowieka. Kieroński deklaruje, że człowieka nie zna, każdy inaczej rozumie kodeks moralny. Zwraca także uwagę na metamorfozę wspólnej hierarchii podstawowych wartości: dobra, prawdy i piękna. Filozofia Autora przywołuje na myśl poglądy Benthama i Milla, którzy uważali, że podstawowym dążeniem człowieka jest osiągnięcie szczęścia i unikanie przykrości¹. W naszych czasach nie ma wspólnej miary szczęścia, która godziłaby marzenia i potrzeby jednostki z powszechnie akceptowaną hierarchią aksjologiczną. Poeta zauważa, że współcześnie coraz mniej pozostało stałych wartości, wyznaczających wspólną moralność społeczną, dlatego:

zagubione sumienie
błąka się między
świętyniami
odbija od ściany
konfesjonałów
nie znajduje sprawiedliwych
co się stało
gdzie jesteśmy
na co przyszła
pora
/Zagubione sumienie/

W przywołanym wierszu postawione zostały niepokojące pytania dotyczące zdolności oceny własnego postępowania i uzewnętrznione niepokoje metafizyczne wobec tego, co stało się z chrześcijańską tradycją Dekalogu. Niepokój budzi zło jako zaprzeczenie wszystkiego, co ludzkie, wzniosłe i altruistyczne. W wierszu *Pożar* nienawiści podmiot liryczny stawia kolejne pytanie o to, czy po upadku solidarności międzyludzkiej nieliczni sprawiedliwi zdołają naprawić świat:

pożar nienawiści
trawi bezlitośnie
wszystko
słabe głosy dławiących
ogień
czy ktoś je
wreszcie usłyszycy
kiedy nadejdzie
odrodzenie

Wyzwaniem, jakie stawia twórca swoim czytelnikom, jest pytanie o dobro. Przypomina, że żyjemy w świecie pozorów. Dobro pozorne, materialne uważamy za prawdę objawioną. Jednak zapominamy, że przemija ono szybciej niż nam się wydaje. Poeta podpowiada zatem, że warto przypomnieć sobie prawdziwą wartość duchowych prawd starych jak świat, które potrafią lepiej niż imperatywy współczesnych cywilizacji zaspokoić metafizyczne tęsknoty człowieka. W Jego przekonaniu warto postawić na aksjomaty, przyjąć istnienie czegoś najszlachetniejszego, najlepszego, prawdziwego, co zazwyczaj mieści się w sferze duchowej, a nie materialnej. Utwory podejmujące w analizowanym zbiorze problematykę aksjologii to między innymi: *Dobro przemówiło*, I znowu, *Zapisali się do, Zapatrzyłem się późnym...*, *Przepytuję Horacego, Mądre nie powstaje, Pożar nienawiści, Uwięzili mądrość, Żyłem, Być sobą*.

Autor jest jednak przekonany, że wartości się odrodzą, o czym pisze w wierszu:

dobro przemówiło
sekretem zaufania
do mądrych
cierpliwych
by nie ufali
porozom
a znajdą drogę
do ananke /*Dobro przemówiło*

Twórca odwołuje się do dzieł mistrzów malarstwa, muzyki, tradycji literackiej, filozofii, poszukując kształtów utraconego życia, którym wszystko podlegało, utartych od wieków zwyczajów, zakorzenienia w rodzimym łądzie i rytuałach tradycji. Przywołuje mądrość filozofów (Horacego, św. Augustyna), malarzy (Bacciarellego, van Gogha, Rembrandta, Rubensa, Goi), pisarzy (Wergiliusza, Twaina). Ich dzieła wykreowały również duchowość Autora, skłaniając go do wyrażenia swoich bardzo osobistych uczuć. Malarstwo i sztuka to media, które ukształtowały nie tylko wyobraźnię Stanisława Kierońskiego, ale także Jego aksjologię i tożsamość. Ważne dla Poety są również powroty do przeszłości.

Najciekawszym dla mnie poematem jest utwór pod tytułem *Odgrodzony nakazem*, w którym wraca On do miejsc dzieciństwa, miasteczka, z którego pozostało już niewiele domów i ludzi. Rekonstruuje miejsca, które towarzyszyły jego dzieciństwu i dorastaniu w opustoszałej kamienicy, w której nie ma już bliskich mu ludzi, pisze:

otwieram okno
z widokiem na to
co było i może będzie
odpukuję w niemalowane
odpuszczam złe tym
co zaspali
niech się obudzą
idę dalej /*Odgrodzony nakazem*/

Autor nie godzi się na zapomnienie miejsc i ludzi, którzy byli dla Niego ważni, bliscy. Propaguje przywiązanie do wartości kultury i ocalenie materialnych i niematerialnych śladów przeszłości. Osobny nurt tematyczny tworzą wiersze poświęcone opisom jesiennej i zimowej natury, między innymi: *Drzewami wędrują, Leciwa jabłoń, Zachód słońca, Trzecia pora, Szary dzień, Jesiennym deszczem*. Niektóre z nich utrzymane zostały w malarskiej konwencji, epatując feerią kolorów, impresjonistycznymi mgłami i zapachami jesieni. Dominującym środkiem artystycznego opisu jest synestezja oddziałująca na różne zmysły odbiorcy. W wierszach poświęconych naturze ukryty jest motyw poszukiwania substytutu utraconej duchowości i tęsknot człowieka. Warto dodać, że w tych utworach Autor odwołuje się również do archaizmów, na przykład: chorzejemy, leciwa jabłoń, strapienie, frasunek, mozół, przywołując tym samym i utrwalając język zakorzeniony w tradycji.

Wiersze zebrane w tomie *Zagubione sumienie* koncentrują się wokół najważniejszego dla Poety dylematu współczesności, jakim jest poszukiwanie wzorca etycznego i aksjologii. Stymulować mogą one rozważania i obawy przed relatywizacją kanonu moralnego, przy jednoczesnej absolutyzacji wzorców alternatywnych, których właściwością jest ambiwalencja. Stanisław Kieroński w nowym tomie swoich wierszy pozostawia czytelnika z pytaniami: czy porzuca swoje sumienie dobrowolnie?, czy zostaje do tego zmuszony?, a może pragnie je odzyskać i jak Autor odnajdywać wciąż jasną stronę życia?

Stanisław Kieroński „*Zagubione sumienie*”, Wydawnictwo Polihymnia, 2021

Z MAŁGORZATĄ MÜLLER

O NOWATORSKIEJ METODZIE NAUCZANIA KILKU JĘZYKÓW JEDNOCZEŚNIE

ROZMAWIA

YVETTE POPŁAWSKA

Yvette Popławska: Pani Małgorzato, Pani nie tylko zna 18 języków obcych, ale uczy Pani nawet dziesięciu języków na jednym kursie.



Małgorzata Müller studiowała germanistykę, romanistykę, neogrecystykę oraz filozofię i filologię średniowiecza. Jest m.in. multilingwalnym językoznawcą i poliglotką, opracowała nową metodę nauczania kilku języków obcych jednocześnie, którą praktykuje na kursach w Europie Zachodniej, a najczęściej w Niemczech. Jest autorką kilku książek i podręczników.

Małgorzata Müller: Studiowałam w kilku różnych krajach, ale mieszkam od ponad dwudziestu lat w Niemczech, gdzie jestem dyrektorem wydziału językowego na Uniwersytecie Ludowym w Eschweiler. Prowadzę dwa oddziały: oddział integracyjno - egzaminacyjny języka niemieckiego, jako języka obcego oraz oddział języków obcych dla dorosłych. Oprócz tego pracuję w kilku różnych szkołach i uniwersytetach europejskich. Prowadziłam m.in. zajęcia z wielojęzyczności w Polsce pod kierownictwem prof. dr hab. Władysława Miodunki i prof. dr hab. Piotra Horbatowskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz na Uniwersytecie Warszawskim pod kierunkiem prof. dr hab. Przemysława Gębali. Przez kilka lat pracowałam również w Hiszpanii na dwóch uniwersytetach w Seville zajmując się tematyką wielojęzyczności. W Niemczech prowadzę również szkolenia dla nauczycieli języków obcych w kilku Uniwersytetach Ludowych, a dla TELC (organizator egzaminów z zakresu języków europejskich) prowadzę szkolenia dla nauczycieli języka niemieckiego jako obcego z zakresu dydaktyki wielojęzyczności. Występuję regularnie na Ogólnoniemieckich Kongresach i Konferencjach Językowych, prowadzę również Sieć Nauczycieli Języka Polskiego przy Instytucie Polskim w Duesseldorfie. Piszę artykuły naukowe i podręczniki do nauki kilku języków jednocześnie. Prowadzę wydawnictwo, jestem członkiem Komisji Językowej, biorę udział w różnych ekspertyzach i projektach językowych. Jednym słowem, nie nudzę się. (uśmiech)

Y.P. A prywatnie? Wiem, że Pani ma tylko polskie obywatelstwo.

Tak, i to się nigdy nie zmienia. Mam męża Niemca, który m.in. został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej za działalność na rzecz mojej

Ojczyzny. Mamy syna Tadeusza, maturzystę, który właśnie zdał egzamin B2 z j. polskiego, a wcześniej wygrał polski konkurs literacki. Kształcimy językowo psa Szarika. Lubimy przebywać w naszym polskim domu i ogrodzie pod Sanokiem. Nasze domy, zarówno polski jak i niemiecki są pełne gości i przyjaciół z całego świata. Naszą pasją jest również granie na różnych instrumentach, podobno można u nas otworzyć szkołę muzyczną ze względu na ilość instrumentów. (uśmiech) Uwielbiamy podróżować, pisać i tworzyć, prowadzimy bogate życie kulturowe, bowiem mąż jest m.in. dyrektorem wydziału kultury miasta Aachen i pisarzem.

Y.P. Prowadzi Pani kolorowe życie, pełne różnych wyzwań. Co jest Pani kluczem do sukcesu?

Nazywają mnie żartobliwie „łowcą ludzi”, bo moje zajęcia cieszą się dużą popularnością. A kluczem do sukcesu jest praca, dobra organizacja czasu własnego i zespołowego oraz współpraca z właściwie dobranymi ludźmi, a wszystko łączy w całość wspólna pasja. Mogę paradoksalnie stwierdzić, że socjalistyczny kult wartości kolektywu, zadziałał jak antywektor, którego siła ujawniła mi wartość indywidualizmu. Dopiero w nowych, emigracyjnych realiach mogłam poznać siłę indywidualnych cech swego charakteru: determinację i konsekwencję w dążeniu do celu, niezrażanie się trudnościami a wręcz znajdowanie motywacji w ich pokonywaniu, talent organizacyjny i zamiłowanie do nauki języków obcych.

Y.P. Jak powstała i na czym polega Pani nowatorska metoda nauki kilku języków jednocześnie?

Europejczycy uczą się coraz większej liczby języków. Metoda powstała w roku 2012 na moim wydziale językowym jako metoda eksperymentalna, niekonwencjonalna, skierowana do osób dorosłych. Jest ona nowym modelem rozwoju rozwiązań dydaktyki wielojęzyczności, czyli koncepcji równoległego nauczania kilku języków obcych. Dydaktyka wielojęzyczności została przedstawiona przez Europejskie Centrum Języków Nowożytnych Rady Europy w Grazu w 2007 roku w publikacji *A travers les langues et les cultures*.

Jest to podejście multilingwalne nazywane w świecie naukowym również plurilingwalnym. Model ten zakłada komparatystyczne nauczanie poszczególnych języków, zarówno z jednej rodziny językowej, tzw. interkomprehensja języków spokrewnionych – *intercompréhension entre les langues parentes*, jak i z różnych rodzin języków europejskich na zasadzie podejścia międzykulturowego – *l'approche interculturelle*. Celem tej dydaktyki jest również tzw. rozbudzanie świadomości językowej – *l'éveil aux langues*;

language awareness. Swoimi założeniami metodologicznymi moja metoda multilingwalna wpisuje się w europejskie nurty wielojęzyczności i korzysta z narzędzi glottodydaktyki niemieckiej (B. Hufeisen, E. Allgäuer - Hackl, M. Grein etc.), która stawia na promocję wielojęzyczności i wielokulturowości. Swoją politykę językową dopasowuje do lansowanej przez Radę Europy idei wielojęzyczności, jako zjawiska społecznego dla całej Unii Europejskiej.

Jest to rozwiązanie o charakterze komparatystycznym i praktykach konfrontatywno - kontrastywnym. Jest to kształcenie językowe realizowane równolegle w ramach kilku języków; trzech, czterech, siedmiu, ośmiu a nawet dziesięciu na jednym kursie. Skupia się ono na całości i systemie. Komparatystyczna treść kursu dotyczy leksykografii, semantyki i dydaktyki kultury, a techniki nauczania dotyczą nauczania sprawności językowych, czyli czytania (przy czym należy tu zaznaczyć, że czytanie jest najważniejszym elementem na etapie wprowadzania do nauki kilku języków na raz), pisania, słuchania i mówienia.

Wprowadzenie działań językowych typu receptywne (rozumienie), produktywne (tworzenie), interakcyjne (wymiana informacji) oraz mediacyjne (tłumaczenie, streszczenie i tak dalej, a więc przetwarzanie informacji) prowadzi w tej metodzie do rozwinięcia kompetencji językowych, nie zaś do osiągnięcia perfekcji. Tej w wielojęzyczności nie ma i jest to ściśle związane z pracą naszego mózgu. Powstają w nim bowiem leksykony mentalne, a ostatnie badania neurobiologiczne (Marion Grein) pokazują, że mózg nasz zamykając wszystkie leksykony i dopuszczając tylko jeden język do rozmowy potrzebuje bardzo dużo energii i nie zawsze zdąży zamknąć dany język w danej sekundzie. Dlatego możemy wypowiedzieć w danym momencie inne słówko lub posłużyć się gramatyką z innego języka.

W mojej metodzie multilingwalnej zawarte są odpowiednie ćwiczenia mające na celu wspomaganie i kontrolowanie procesu switchingu.

Uczący rozumieją języki blisko spokrewnione stosunkowo szybko. Wykorzystując podobieństwo leksykalne oraz gramatyczne są w stanie w bardzo krótkim czasie (200 godzin lekcyjnych) osiągnąć poziom B1 nawet w trzech językach romańskich (np. Niemcy, Hiszpanie, Włosi, Francuzi), czy słowiańskich (Słowianie), czy skandynawskich (np. Niemcy, Skandynawowie). Zajęcia komunikacyjne z *native speakerami*, które zaczynają się już po 50 godzinach lekcyjnych prowadzą nie tylko do kształcenia kompetencji ściśle językowych, ale również do szybkiego przełamania barier komunikacyjnych oraz do osłuchania się z różnymi akcentami w danym języku. Interaktywny program z *native speakerami* z różnych grup językowych na jednych zajęciach, który wprowadzany jest po 100 godzinach lekcyjnych ma na celu ćwiczenie switchingu, czyli swobodnego przechodzenia z języka na język oraz kontroli nad słownictwem i gramatyką podczas komunikacji.

Wprowadzenie i realizacja treści kulturowych i komunikacji międzykulturowej na zajęciach sprawia, że kursy cieszą się szerokim zainteresowaniem. Do tej pory przeprowadziliśmy około 500 kursów metodą multilingwalną.

Jest to proces uczenia się łatwiejszy i dla mózgu bardziej skuteczny, aniżeli nauka każdego języka z osobna, bowiem kodowanie słownictwa dla kilku języków oraz różnic gramatycznych (podobieństwa rozpoznaje i zapamiętuje umysł ludzki automatycznie) jest dla mózgu procesem prostym, porównywalnym z rozróżnianiem w szkole biologii od chemii, czy matematyki od fizyki i kodowaniem informacji w tych przedmiotach. Rozwijanie kompetencji językowych i kompetencji kulturowej jest szybsze w porównaniu z kursami jednojęzycznymi. Szczególnym atutem tych kursów jest kształcenie biegłości językowej dla kilku języków, czyli takich umiejętności jak kompetencje ściśle językowe, rozwijanie świadomości socjokulturowej, rozwijanie wyobraźni oraz strategii uczenia się. Metoda multilingwalna pozwala na to, że języki europejskie traktujemy jak jeden przedmiot w szkole, którego się uczymy, a w nim różnych tematów.

Y.P. A proszę powiedzieć, jakie trudności występują w procesie nauczania? Co trzeba pokonać?

System edukacyjny jest produktem historii, również w Polsce. Szkoły przyzwyczały nas do tego, że uczymy się na lekcji tylko jednego języka. Dlatego przełamanie bariery strachu przed nauczaniem multilingwalnym jest dużym problemem, zwłaszcza w krajach jednonarodowościowych. Brak obcowania na codzień z innymi kulturami pogłębia ten problem.

Warunkiem przeprowadzenia kursu wielojęzyczności metodą multilingwalną jest nauczyciel wielojęzyczny, a przynajmniej dwujęzyczny. Kurs taki może być prowadzony przez dwie, a nawet trzy osoby. W krajach zachodnich, wielonarodowościowych jest łatwiej o personel wielojęzyczny. Prowadzimy odpowiednie szkolenia przygotowawcze dla nauczycieli kursów metodą multilingwalną.

Y.P. Rozumiem, że do takich zajęć są potrzebne specjalne podręczniki. Czym się zatem różnią Pani podręczniki do wielojęzyczności od tych, które są produkowane do jednego języka?

Metoda nauczania multilingwalnego rozpoczynająca się nauką czytania daje szybką możliwość opanowania zasad czytania oraz wymowy w danym języku. To ułatwia zapamiętanie słownictwa. Porównując języki, szukamy podobieństw i różnic, zarówno gramatycznych jak i leksykalnych oraz

uczymy mózg tzw. świadomej kontroli nad danym językiem. Dlatego wszystkie podręczniki dla początkujących dla tego typu kursów uwzględniają te procesy. Zawierają konkretne lekcje, teksty, dialogi, ćwiczenia, gry i zabawy, testy, płyty CD - MP4, tabele gramatyczne oraz wiedzę o kulturze danego kraju trzymając się ściśle metody multilingwalnej. Moje podręczniki do nauki wielojęzyczności to seria „*Ab in die Sprachen*“, czyli „Hop do języków”, do nabycia na rynku niemieckim oraz w wydawnictwie „MuLi - Verlag”. Są to podręczniki z opisem niemieckim, kto zna choć trochę język niemiecki, może swobodnie się z nich uczyć, powtórzy przy tym materiał i nauczy się tego materiału w innych językach. Ale już niebawem będą one również przygotowane dla rynku polskiego. Aktualnie są to pierwsze podręczniki do nauki kilku języków jednocześnie na świecie. Hitem jest m.in. podręcznik wprowadzający do nauki osiemnastu języków jednocześnie, przygotowujący umysł na odpowiedni trening wielojęzyczny oraz płyty romańskie do słuchania i powtarzania zdania w trzech językach.

Y.P. Kto jest uczestnikiem takich kursów i jakie są wymogi przyjęcia na kurs wielojęzyczności?

Młodzież od 13 roku życia, studenci, pracujący oraz seniorzy. Najstarsi, którzy aktualnie uczęszczają to osoby 78, 82 i 85 - letnie. Są to emerytowani nauczyciele, np. j. angielskiego. Na kurs może się zapisać każdy, kto mówi już jednym językiem obcym lub dialektem jako LI, czyli jako pierwszy język obok języka urzędowego. Znajomość jednego języka, który jest w programie kursu nie przeszkadza w uczestnictwie, wręcz przeciwnie pomaga w nauce następnych języków. Aktualnie kursy odbywają się również *online*, a zgłoszenia otrzymujemy często nawet przez *Facebook* (Marga Müller).

Y.P. Od czego zatem należy zacząć, aby zostać poliglotą?

Zdobyć się na odwagę i zainwestować w siebie. Nie bać się nowych wyzwań. Języki kształcą naszą osobowość, ucząc się jesteśmy bardziej otwarci na świat, na ludzi, integrujemy się, pokonujemy nasze blokady komunikacyjne, słabości natury ludzkiej, zdobywamy nowe kompetencje (nie tylko te czysto językowe, które są nam potrzebne na rynku pracy). Komunikacja z innymi ludźmi staje się łatwiejsza, zaczynamy lepiej rozumieć świat. Dlatego warto być wielojęzycznym.

Y.P. Dziękuję serdecznie za bardzo interesującą rozmowę.



Stanisław Dziedzic w obiektywie Konrada Polescha



TADEUSZ SKOCZEK

*Nie skarby są przyjaciółmi,
ale przyjaciel skarbem*

WSPOMNIENIE NA ŚMIERĆ PRZYJACIELA

I. Żaczek

Stanisław Dzedzic (13 października 1953 – 8 kwietnia 2021). Co za straszna rzecz wypisywać te daty. Nie życzę nikomu takich doświadczeń, ale też obowiązku i konieczności. Odszedł przyjaciel z którym w ostatnich dwudziestu latach rozmawiałem codziennie. Najczęściej telefonicznie.

Poznaliśmy się w 1974 roku. W październiku rozpocząłem polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pochodząc z prowincji z dużą obawą przyjmowałem pierwsze tygodnie pomieszkiwania w wielkim mieście. Dużym doświadczeniem egzystencjalnym okazał się 5 osobowy pokój na trzecim piętrze II Domu Studenckiego „Żaczek”. Na szczęście zamieszkał z nami Leszek Wołosiuk student 2 roku polonistyki, na szczęście trzy pokoje dalej mieszkał z kolegami kolejny polonista – Stanisław Dzedzic .

Starsi koledzy nie pozostawili nam zbyt dużo wolnego czasu. Leszek został wybrany przewodniczącym Rady Samorządu słynnego akademika, a Stanisław przewodniczącym Komisji Nauki. Mnie powierzono Komisję Kultury. Od początków następnego roku samorządowcy postanowili „odbić” klub „Nowy Żaczek” studenckiej organizacji o nazwie Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. Zostałem zastępcą kierownika ds. programowych instytucji mieszczącej się w nowym skrzydle akademika. Kierownikiem był student prawa Kuśmierczyk (imienia nie pamiętam), bardzo szybko zastąpiony przez Stanisława Pietraszkę (1953 - 1977), studenta fizyki, mieszkańca naszego akademika. Niebawem zniknęły wszelkie bariery: samorządowcy potrafili współpracować z SZSP, organizacja studencka dysponująca środkami finansowymi nie była zbyt konsekwentna w realizacji swoich politycznych celów. Do żaczkowej rodziny dołączyła większa instytucja studenckiej kultury „Rotunda”, Studenckie Centrum Kulturalne Uniwersytetu Jagiellońskiego (a może było odwrotnie).

Stanisław Dzedzic, jak już wspomniano, animował działalność naukową w tych organizmach. W akademiku działały dwa kluby „Publikum” oraz czytelnia czasopism naukowych. Spotykała się w tych miejscach studencka brać nie tylko czytając gazety i czasopisma czy dyskutując. Tu wieczorami i nocą uczyli się ci nie mający w pokojach należytych warunków, tu odbywały się spotkania imieninowe, czy nawet studenckie przyjęcia weselnie. Całością zawiadywał Dzedzic pilnując nie tylko harmonogramów i porządku.

W roku 1976 zorganizowano już głośny cykl imprez związanych z 20 leciem „Nowego Żaczka”. Dzedzic z Wołosiukiem zainspirowali klub i mieszkańców do wielu ciekawych imprez. Okolicznościowy plakat zaprojektował Piotr Kunce.



Stanisław Dziedzic w obiektywie Konrada Polescha

W tym samym roku przypadała też ważniejsza okoliczność: 50 lecie domu studenckiego, wydaliśmy w związku z tym jednodniówkę „Żaczek”. Wśród jej autorów pojawiły się nowe pasje: publicystyka oraz publikacje naukowe.

Religijnie i religioznawcze zainteresowania Stanisława Dziedzica doprowadziły do zorganizowania dwóch poważnych konferencji w ramach studenckiego koła naukowego. Materialnym świadectwem tych ważnych imprez (o ile mnie pamięć nie myli – dwóch konferencji, ale też sporej ilości spotkań dyskusyjnych i wykładów) są „Szkice o prawosławiu” Stanisława Dziedzica i Jana Mazura. Wydano tę książkę dopiero w 1981 roku, korzystając z chwilowej odwilży cenzorskiej, w „Rotundzie” pod szyldem Krakowskiej Filii Centralnego Ośrodka Informacji i Analiz Studenckiego Ruchu Kulturalnego. Centrum prowadził w Poznaniu Tomasz Magowski, krakowska filia przekształcona została niebawem w samodzielny placówkę uczelnianą pod nazwą Ośrodek Dokumentacji Kultury Studenckiej UJ, archiwum i wydawnictwo prowadzone przez Andrzeja Potoka (1941 - 1999).

Wracając do roku 1976 warto jeszcze wspomnieć ciekawe wydarzenie, wiele mówiące o ówczesnym poczuciu sprawiedliwości demokratycznej albo etyce demokracji, zjawisku rzadko obecnemu współcześnie. Odbływały się wtedy w „Żaczku” wybory prezesa Rady Samorządu. Wygrał je niżej podpisany student polonistyki, ale okazało się, że w protokole znalazł się zapis, że otrzymał on głosów więcej niż było mieszkańców akademika (może głosowali waleci, może źle obliczono głosy). Dziedzic interweniował i zaproponował „wygranemu” rezygnację. Drugim był student matematyki, Jan Mazur, ten sam który wraz z Dziedzicem

zajmował się upowszechnianiem wiedzy o religii i religiach, został prezesem żaczkowego samorządu, znakomitym organizatorem. Niebawem skończył matematykę, obronił doktorat na UJ i wstąpił do Zakonu Paulinów. Dzisiaj jest znanym teologiem, profesorem Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, autorem wielu publikacji dotyczących społecznej nauki kościoła, przyjacielem Stanisława Dziedzica.

Stanisław Dziedzic zainspirował swoją religioznawczą pasją wielu przyjaciół. Mimo, że był to w ówczesnej rzeczywistości kierunek wykładany w sposób specyficzny (by nie powiedzieć polityczny) potrafił zaszczepić w nas zainteresowanie głębią wiary, zainteresować dziedzictwem kulturowym, architekturą i sztuką.

Inna dziedzina było dziennikarstwo i media. Kończąc tzw. dziennikarstwo równoległe, eksperyment prowadzony na UJ pod koniec lat 70., studia uzupełniające, rozwijające wiedzę o nowoczesnych środkach komunikacji, języku mediów, historii prasy – napisał bardzo kompetentną „Monografię klubu Pod Jaszczurami”. Jako redaktor tej pracy wydanej w 1980 r. jako maszynopis powielony i oprawiony zgodnie z prawidłami druków zwartych, często sięgam do niej szukając materiałów bibliograficznych do kultury studenckiej. Okładka zaprojektowana przez Andrzeja Maciejowskiego, ówczesnego grafika „Rotundy” jest niezwykle sugestywna. Myszka obgryzająca wielki kawałek sera stała się profetycznym gestem wydarzeń, które niebawem nastąpiły. Bardziej dosłownie można byłoby tę sytuację nazwać jedynie sloganem o kropli, która draży skałę. Edytorem była tym razem Ogólnopolska Rada Klubów Studenckich.

Trudno jest notować te wspomnienia, tym trudniej, że w czasie pandemii nie ma możliwości dokładnego sprawdzenia faktów. Pamięć podsuwa też wiele wspomnień zabawnych, wesołych – nie przystających do chwili w której przychodzi nam pisać. Nie ma już z nami Stasia, zabrała go nam bezwzględna zaraza, zostaje nam pamięć i zobowiązanie kontynuacji. Tylko czy podołamy?

2. Zainteresowania twórczością Papieża - Polaka

Przygoda edytorska niżej podpisanego z twórczością Karola Wojtyły miała początek w fascynacjach Stanisława Dziedzica związanych z Teatrem Rapsodycznym Mieczysława Kotlarczyka. Kiedy jeszcze w stanie wojennym podróżowałem z Teatrem 38 po Europie nie mogliśmy przy powrocie odmówić sobie przyjemności przywożenia do zniewolonej ojczyzny książek wydawanych w wolnym świecie. Trudno dziś autorytatywnie stwierdzić, czy za powrotem z L' Aquili czy z Liege przywoziłem książkę o kulisach likwidacji tej zafascynowanej słowem grupy artystów. Dużo czytaliśmy za granicą, aby nie narażać się na kłopoty przy przemycaaniu niedozwolonej w PRL - u literatury, ale niezbędne i warte ryzyka publikacje przywoziliśmy ukrywane w przeróżny sposób. Tak otrzymane od zagranicznych przyjaciół książki służyły nam później do zbiorowych lektur, do wypożyczenia. W Rzymie spotkaliśmy profesora Jana Kotta. Przybył



dr Stanisław Dziedzic, prof. Franciszek Ziejka i kardynał Franciszek Macharski w obiektywie Konrada Polescha

specjalnie na spektakl *Józefa K* Teatru 38 i być może profesor podarował mi *Redutę słowa* Mieczysława Kotlarczyka. Stanisław Dziedzic był już wtedy znawcą artystów skupionych w Wadowicach wokół Kotlarczyka, wiedział, że aktorem w tym teatrze, nawet w czasach okupacji niemieckiej, był Karol Wojtyła. Wydaliśmy już w Prowincjonalnej Oficynie w Bochni „Kawalera księżycowego” Niżyńskiego, gdzie faktycznie debiutował jako aktor Karol Wojtyła. Nie sposób było odmówić koledze prezentu przywiezionego zza granicy, publikacja zmieniła właściciela. Teatrem Rapsodycznym zajmowała się też żona Stanisława, która napisała na ten temat pracę magisterską u profesora Andrzeja Pankiewicza.

W 1995 roku Stanisław Dziedzic opublikował w Wydawnictwo Literackim *Sonety. Magnificat* Karola Wojtyły, w pięknym albumie, z reprodukcjami i znakomitą typografią Beaty Barszczewskiej - Wojdy. Rok później w Oficynie Cracovia, gdzie byłem prezesem i redaktorem naczelnym, wydał książkę równie piękną w obrazie artystycznym i graficznym, również przygotowaną przez B. Barszczewską, *Psalterz – Księgę Słowiańską*. W eseju zwieńczającym tom *Juweniliów* Wojtyły opisuje powstawanie pierwszych utworów przyszłego księdza, biskupa i papieża:

„W połowie listopada roku 1939, w tydzień po straszliwej Sonderaktion Krakau, rozwiewającej jakiegokolwiek złudzenia co do możliwości kontynuowania studiów w krakowskiej *Almae Matris*, dziewiętnastoletni Karol Wojtyła napisał do mieszkającego w Wadowicach Mieczysława Kotlarczyka pierwszy obszerny list – jeden z dziewięciu, które w okresie

okupacji niemieckiej skierował do „Brata Mieczysława na Greckim Teatrze”. Dołączył do niego siedemnaście sonetów i hymn *Magnificat* – „wypracę wiosennych tęsknot”, będące fragmentami ukończonej wiosną 1939 r. *Księgi Słowiańskiej*.”

Oba tomy były faktycznie pierwszymi, w Polsce i świecie, wydawnictwami prezentującymi młodzieńcze wiersze Karola Wojtyły. Edytor uzyskała na publikację zgodę Autora, jeszcze w 1994 roku, podczas prywatnej audiencji w Pałacu Apostolskim w Watykanie. O tej decyzji Ojca Świętego dowiadujemy się z podpisu pod fotografią w pracy Jan Paweł II. Pontyfikat przełomu wydanej przez Verbinum, gdzie czytamy: „Wiosną 1994 r., Jan Paweł II wyraził zgodę na opublikowanie Jego młodzieńczych wierszy, zachowanych w zbiorach rodziny Kotlarczyków, dotąd niepublikowanych”. W książce tej znajdziemy też przedruk pięknego wiersza młodego Karola Wojtyły *Nad twoją białą mogiłą*, dedykowanego Emilii, matce autora, wraz z autorską rękopiśmienną dedykacją, która była odnaleziona przez S. Dziedzica.

Wiele lat później Stanisław Dziedzic napisał znaczący artykuł *Dębnickie lata Karola Wojtyły*. Romantycy zmagania w nieromantycznych czasach, gdzie opisał i wyjaśnił tło intelektualnego rozwoju i rozterek późniejszego Ojca świętego.

O fascynacjach młodzieńczą twórczością Karola Wojtyły napiszę odrębny artykuł. Ś.P. Stanisław Dziedzic na to zasłużył.



Roman Banaszewski, z cyklu *Spojrzenia*

ŻEGNAMY ROMANA BANASZEWSKIEGO



W dniu 3 stycznia 2021 roku odszedł od nas, w wieku 88 lat, prof. Roman Banaszewski, emerytowany profesor Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie, także wykładowca w Europejskiej Akademii Sztuk oraz Polsko - Japońskiej Wyższej Szkole Technik Komputerowych w Warszawie. Wybitny artysta grafik, rysownik, malarz, nauczyciel akademicki i wychowawca. Redaktor graficzny Miesięcznika Kraków. Członek Stowarzyszenia Twórczego POLART.

Prof. Roman Banaszewski urodził się w 1932 roku w Janikowie. Uczył się w Państwowym Liceum Plastycznym w Bydgoszczy. Do Krakowa przyjechał w 1954 roku na studia na Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki. W 1959 roku uzyskał dyplom na Wydziale Grafiki w Pracowni Litografii prof. Konrada Srzednickiego i w Pracowni Plakatu u prof. Macieja Makarewicza. Uprawiał malarstwo, rysunek i grafikę warsztatową. Już 1961 roku rozpoczął pracę pedagogiczną na macierzystej uczelni. W 1987 roku został profesorem Wydziału Grafiki na krakowskiej ASP. Przez lata kierował Pracownią Projektowania Grafiki, Książki i Typografii ASP. Dwukrotnie był kierownikiem Katedry Grafiki Projektowej, był też prorektorem do spraw studenckich. W 2002 roku przeszedł na emeryturę.



Roman Banaszewski, z cyklu *Spotkania*

Prof. Roman Banaszewski urodził się w 1932 roku w Janikowie. Uczył się w Państwowym Liceum Plastycznym w Bydgoszczy. Do Krakowa przyjechał w 1954 roku na studia na Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki. W 1959 roku uzyskał dyplom na Wydziale Grafiki w Pracowni Litografii prof. Konrada Szrednickiego i w Pracowni Plakatu u prof. Macieja Makarewicza. Uprawiał malarstwo, rysunek i grafikę warsztatową. Już w 1961 roku rozpoczął pracę pedagogiczną na macierzystej uczelni. W 1987 roku został profesorem Wydziału Grafiki na krakowskiej ASP. Przez lata kierował Pracownią Projektowania Grafiki, Książki i Typografii ASP. Dwukrotnie był kierownikiem Katedry Grafiki Projektowej, był też prorektorem do spraw studenckich. W 2002 roku przeszedł na emeryturę. (Fot. Jan Zych)

Swą twórczość prezentował na licznych wystawach – indywidualnych i zbiorowych – w galeriach w Polsce i poza granicami. Prace prof. Banaszewskiego spotkamy w prywatnych kolekcjach oraz w zbiorach muzealnych, m.in. w Muzeum Narodowym w Warszawie, Krakowie, Muzeum Sztuki w Łodzi, Muzeum Narodowym w Poznaniu, w Tokyo, Galerii Sztuki w Oslo, Pratt Institute w Nowym Jorku, Gabinetzie Grafiki w Genewie, Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie, Nowej Darmstadtzkiej Secesji w Darmstadt, Hessisches Parlamenthaus w Bonn, Galerii Kapller w Darmstadt, Art & Design w Burgfelden. Za swą pracę artystyczną odznaczony został „Złotym Laurem” za mistrzostwo w sztuce, Krzyżem Kawalerskim, Odznaką Honoris Gratia oraz brązowym medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

(JKT)



MARIAN RUMIN

GOLGOTA PODGÓRSKA WINCENTEGO KUĆMY



Wyniosła ściana kamiennego wyrobiska w bezpośrednim sąsiedztwie kościoła pw. św. Józefa na krakowskim Podgórzu posłużyła Wincentemu Kućmie za naturalne tło a zarazem przestrzenne środowisko do wykonania rzeźb Drogi Krzyżowej. Pamiętamy jego monumentalne dzieła rzeźbiarskiej narracji Męki Pańskiej w naturalnym krajobrazie w Pasierbcu, gdzie w religijną opowieść autor włączył heroiczne postaci z polskiej historii i zaktualizował tym samym nasze duchowe w niej współuczestnictwo. W krakowskiej realizacji niewielkie rozmiarami sceny Drogi Krzyżowej włączone zostały w ciasne nisze kamiennej ściany przykościelnego wzgórza, przez co poszczególne odsłony człowieczego dramatu jawią się jako refleksja nad małością ludzkiego losu wobec ogromu natury, czy też

nieskończoności wszechświata.

Miejsce dla tych rzeźb autor przez lata oswajał, dyskretnie wpisując w nie wizje własnego rozumienia Drogi Krzyżowej, jednocześnie pilnował, aby nie naruszyć naturalnych walorów kamiennej ściany przykościelnego wzgórza. Pokora i odpowiedzialność spowodowały powstanie wyjątkowego dzieła: kameralnego w swych rozmiarach i po wielokroć symbolicznego. Spotykamy w nim biologiczną kruchość życia ludzkiego zderzoną z nieludzką nienawiścią, przemocą, udręką, torturami i wreszcie męczeńską śmiercią poprzez ukrzyżowanie. Kameralny charakter tych rzeźb nadaje im doniosłe znaczenie: ukazuje, jak z cierpienia rodzi się ponadczasowe chrześcijańskie przesłanie oparte na miłości człowieka bez względu na okoliczności. Rzeźbiarska opowieść o Jezusie i o współuczestnikach Jego drogi do śmierci, a przez nią do życia wiecznego, zobrazowana została przez sylwetowe formy, sugestywne gesty, wyrazy emocjonalnych relacji postaci, „ukrycie” ich w kamienistej otchłani góry, w skalnych wyłomach (pieczarach), dostępnych dla tych, co chcą zobaczyć, dla ciekawych ludzkiego losu, dla tych, co niewymuszenie przyjdą, żeby ujrzeć, pomyśleć i być może uwierzyć. Uwierzyć w ponadczasową, wieczną miłość, która może przetrwać wszelkie przeciwności losu, nawet te ostateczne, w swym dramacie teraźniejszego, ziemskiego bytowania. Dla odbiorców wyczulonych na łagodne piękno autor połączył w delikatny sposób impresyjny urok powierzchni form (m.in. subtelne piękno twarzy) z sugestywną ekspresją ich wyrazu i refleksyjnego przesłania. Chrześcijańska idea przybrała w tej realizacji misterną postać przestrzennego zobrazowania ponadczasowej prawdy o Jezusie, potwierdzonej i zaktualizowanej artystycznym talentem autora, sprawną ręką rzeźbiarza, umysłem humanisty i sercem pokornego człowieka wielkiej wiary.



Kaja Solecka, *Lena*, olej na płótnie, 100x100 cm, 2021

ZYTA MISZTAL VON BLECHINGER



SYMBOLIKA I KOLOR W OBRAZACH KAI SOLECKIEJ

SOLILOQUIUM

*brać oddech na odległość
gdy grożą powietrzem
sino blade znaki przeźroczyстых ciał
w ciasnych płótnach luster
subtelne szarości roztopią błękity
w melancholii
dar
słaby puls
silny lęk
w dusznej samotności trudno nabrać
tchu
jeśli coś jej trzeba to kobaltu nieba
poezji przestrzeni
spokojnego
snu*

Spotkanie z malarstwem Kai Soleckiej jest zarówno wysublimowanym doświadczeniem estetycznym jak i intelektualnym. Jej obrazy to synchroniczny fenomen wizualnych metafor. Ich symboliczny język niesie ze sobą subtelny komunikat przekazujący istotny koncept. Artystka wyraża uniwersalne prawdy dotyczące aktualnych spraw, ale sięgając do wewnętrznych przeżyć, uwidacznia ich autentyczność. Utrwała na płótnie znaki: trójkąt – alchemiczny symbol żywiołu ognia lub wody; krąg - symbol jedności, absolutu ale także atrybut nieba i ducha oraz czasu i nieskończoności; linię - alegorię ziemi, odwołanie do horyzontu, którego pozioma pozycja niesie skojarzenia związane ze śmiercią; czy wreszcie kwadrat jako oznaczenie ciała. Użycie tych obrazowych wyrażeń stanowi trop dla wielorakich rozmyślań. W ujęciu malarskim natomiast, przez wzgląd na swą jakość chromatyczną czy walorową, elementy te wzmocniają kontrast i organizują całość kompozycji – *White garden 2016*.

Dużą rolę w twórczości Kai Soleckiej odgrywa kolor i jego parametry: barwa, jasność, saturacja². To dzięki nim artystka buduje nastrój swych prac. Aby wyzwolić optyczną harmonię, stosuje odcienie takie jak umbrzy i ochry, błękity i szarości. Barwy te najlepiej oddają charakter pejzażu.

Tutaj jest to „krajobraz mentalny”, którego wszelką dynamikę zastępuje doniosła cisza. Odnosząc się do motywu powietrza, malarka poszukuje struktury i gęstości, ukazując ulotność i transparentność. Rozprasza światło, tak przemieszczając je po płaszczyźnie obrazu, aby oddać finezję chwili i stworzyć wrażenie panującej po niej nostalgii.

Osobliwą melancholię prac odzwierciedlają również liczne odwołania do świata wody, wraz z jej głębią i tajemnicą. Na obrazach Kai Soleckiej ten naturalny żywioł wydaje się być „ograniczany” – *Sadzawka 2016, Akwarium 2016*. Alegorie nieba takie jak: bezmiar, radość czy wolność również zostają zamknięte w spirytualnym świecie – *Close 2021, Lena 2021*. Nie bez znaczenia dla pogłębionego odbioru artystycznych wypowiedzi, pozostają tytuły jakimi malarka nazywa swoje prace – *Lunula3 2016, Kwantyfikacja 2016, Klaryfikacja 2016*.

TOPOS CIAŁA

Mit natury od zawsze utożsamiany był z bytem. To natura w najbardziej hojny sposób obdarza nas doznaniem, otwierając swą przestrzeń dla zmysłów. Na obrazach Kai Soleckiej (paradoksalnie) jest to przestrzeń wewnętrzna, ukryta pod wzburzoną tkanką malarską, uwięziona w oddzielonej od tła sugestii wyodrębnionej przez



Kaja Solecka, *Lurnula* olej na płótnie, 100 x 100 cm, 2015

kontur Somy⁴. Spotkamy tu intrygujące przedstawienia dychotomicznych postaci. Przyjrzyjmy się ich gestom. Zwróćmy uwagę w jaki sposób układają swe ciała. Ich powłoka zdaje się być przezroczysta i nieistotna wobec wewnętrznych napięć. Figury te raz uwodzą, by innym razem niepokoić. Trwają zawieszony w próżni, jakby istniały oczekując na swe przeobrażenie: *Subimago 2015*, *Kudzu 2018*.

W wyobraźni malarki ciało stanowi część kosmosu, wraca do natury i uczestniczy w nieprzerwanym cyklu rodzenia i umierania. Jest więc kategorią dynamiczną i należy brać pod uwagę jego nieustanną ontogenetyczną⁶ zmienność. To potencja określa bycie, stawanie się, zdolność do przemiany, do manifestowania się w życiu i dążeniu do śmierci: *Border zone 2016*, *Rose garden 2016*, *Event horizon 2016*.

Lęk egzystencjalny wpisuje się tu w schemat rozważań antropologicznych, a jego sfery korelują z przedmiotami cielesnych trosk. Obiektami lęku mogą być istnienie i nieistnienie, wolność i odpowiedzialność aleteż niepokój związany z izolacją, jako świadomością nieprzekraczalnej ontycznej separacji bytu ludzkiego od innych bytów – ludzi i świata⁷.

EPILOG

Kaja Solecka rzuca wyzwanie. Nie popada przy tym w skrajny subiektywizm i nie tworzy solipsystycznych wizji, ale wciąga w konstruktywną grę, której stawką jest nie tyle poprawne odczytanie intencji, co wspólne przeżycie trudnych stanów emocjonalnych. Warto odnaleźć zbieżność skojarzeń w zakodowanych komunikatach, adresowanych do różnych zmysłów. Warto też zwrócić uwagę na charakter zbiorowego doświadczenia – wszystkich nas trawi ten sam niepokój. Pragniemy „nasyć tlenem komórki”, odzyskać radość i sens życia. Obserwowana rzeczywistość może stanowić pretekst do swoistej wiwisekcji oraz dokładnej analizy

natury przeżywanego doznań, które połączą nas w jedno i przywołają tak bardzo potrzebną dziś bliskość. Jeśli człowiek jest istotą duchową, to stwarza sam siebie, kreując swoje wewnętrzne uniwersum. Natomiast to, co oferuje sztuka jest przestrzenią – pewnym rodzajem miejsca, gdzie ten duch może oddychać⁸.

Przypisy:

1 Odwołanie do zapisu EKG, gdzie prosta linia izoelektryczna jest zapisem braku czynności elektrycznych mięśnia sercowego (zgon)

2 W teorii koloru saturacja, to subiektywna intensywność barwy. Im barwa jest bardziej nasycona, tym jest odbierana jako bardziej żywa. Za to barwy mniej nasycone, zdają się być przytłumione i bliższe szarości. Odcienie szarości charakteryzują się zupełnym brakiem nasycenia.

3 Lunula – symbol wymiaru pełni kobiecości, oznaczający płodność w kreatywności, wykorzystaniu swojego potencjału i intuicji, chęci tworzenia oraz realizowania pragnień.

4 *Soma* (ciało) – w znaczeniu ciała i jego materialnej cielesności, w przeciwieństwie do *Psyche* (duszy)

5 Korzeń Kudzu jest uznany za agresywny chwast zagrażający coraz większej liczbie ekosystemów, z drugiej strony medycyna chińska uważa go za panaceum na wiele dolegliwości. Zawarta w korzeniu Pueraryna wpływa na samoregulację życia komórki i funkcje jej receptorów; działając antyarytmiczne i pobudzając krążenie. Roślina ma niezwykłą żywotność, szybko adaptuje się w przeróżnych klimatach i konkuruje o środowisko z innymi gatunkami tak skutecznie, że mówi się o inwazji Kudzu..

6 W znaczeniu ontogenezy jako rozwoju osobniczego (gr. *óntos* – byt, będące, istniejące, *génésis* – pochodzenie) i przemian anatomicznych oraz fizjologicznych osobników od powstania w wyniku rozmnażania, aż do śmierci.

7 Na podstawie: „Anatomia strachu”, Wydawnictwo Naukowe Akademii Ignatianum w Krakowie; Kraków 2017; Część I – Jan Kutnik, „Psychologia, kognitywizm wobec lęku i strachu”; s. 106
8 Parafraza stwierdzenia Johna Hoyerera Updike, amerykańskiego pisarza, poety i krytyka.

KRZYSZTOF ANDRZEJ JEŻEWSKI

JAN PAMUŁA. W POSZUKIWANIU TAMTEJ STRONY ŚWIATŁA

*Lubię abstrakcję.
Lubię tę przezroczystość,
która szuka
czegoś poza sobą,
która dąży
do pierwszej przyczyny
pierwszego sensu
punktu Omega.*

*Tu wszystko jest jeszcze
w zamyśle
nieobjęte kształtem
niezniewolone formą.*

*Otwarte
na wszelkie
możliwości
imię mu nie ciąży,
bo zaznało rozkoszy
bezimienności
i posiadło
wszystkie
imiona.*

*Tu wszystko
oddycha
wolnością
Boga.*

Chciałbym na początku przywołać pewne wspomnienie. Poznałem Jana Pamułę w grudniu 1966 roku w Paryżu. Dzieliliśmy potem przez kilka miesięcy wspólny pokój w hotelu polskim na rue Lamandé, gdzie mieszkaliśmy wraz z innymi stypendystami. Jan był wtedy w pełni okresu mistycznego swego dzieła : rysował istoty dziwnie odcieleśnione, krajobrazy jakby z tamtego świata, tłumy dusz przemierzające się w przestrzeni niematerialnej, ponadczasowej... Był to wytwór rzadkiej nadwrażliwości, dzieło prawdziwego wizjonera... Był w tym bardzo odmienny od artystów swojej epoki, zarówno polskich jak europejskich. Typowy outsider... Ja sam, jako poeta, czułem się również obco w naszym świecie, dlatego wielce go podziwiałem i przeczuwałem w nim nowy wielki talent rodzący się w sztuce polskiej. Jednakże jego twórczość w tym czasie zdawała się być tylko szkicem, introdukcją, zapowiedzią czegoś jeszcze bardziej odkrywczego i zupełnie nowego. I rzeczywiście, dziesięć lat później, w 1976 roku, sztuka Jana Pamuły uległa diametralnemu przekształceniu. Było to, jak sam powiedział, « bolesne zrzućcie skóry » jak u węża. Przejście od sztuki figuratywnej do abstrakcji. Zerwanie i kontynuacja. Kolejne stadium inicjacji. Zawsze wyżej i głębiej...

Co stanowi główny przedmiot, prawdziwą obsesję malarstwa Jana Pamuły ? ŚWIATŁO. W moim zbiorze haiku pt. *Kryształowy ogród* jest znalezisko, które mogłoby odpowiadać, jak sądzę, poszukiwaniom malarza : ŚWIAT – ŚWIATŁO – ŚWIATŁOŚĆ. Niezwykły mistycyzm polszczyzny, która cudownie oddaje tajemnicę jedności stworzenia z jego Źródłem. Albowiem rdzeń tych trzech słów jest ten sam... Nieprzetłumaczalne na języki zachodnio-europejskie. Zwroty tego typu co « światło boskie » albo « światło duchowe » ukazują bogaty zawarty w nich symbolizm na Bliskim i Dalekim Wschodzie. Oto, co podaje na ten temat *Dictionnaire des symboles* (Seghers, Paris 1969) : Światło to poznanie (jego podwójne znaczenie zawiera ideogram chiński ming łączący światło słońca i światło księżyca ; dla buddystów chińskich oznacza oświecenie, iluminację ; w islamie En - Nûr, Światło, jest zasadniczo tożsame z Er - Rûh, Duchem. Promieniowanie światła (Aor) z punktu pierwotnego, zaczątkowego, rodzi przestrzeń według Kabały. To symboliczna interpretacja Fiat lux z Księgi Rodzaju, które jest oświeceniem, uporządkowaniem chaosu poprzez wibrację jak pisze René Guénon ; w czym fizyczna teoria światła może się jawić jako symboliczna. Według św. Jana (I, 9) światło pierwotne jest tożsame ze Słowem ; co w pewnym sensie wyraża promieniowanie Słońca duchowego, które jest prawdziwym sercem świata (R. Guénon). Słynna

Tablica szmaragdowa przypisywana Apoloniuszowi z Tiany albo Hermesowi Trismegistowi, która była uważana w ciągu wieków przez alchemików i hermetystów za prawdziwą tablicę praw, ewokuje tymi słowami stworzenie świata : *Pierwszą rzeczą, jaka się pojawiła, było światło słowa Bożego.* W tradycji Islamu światło jest przede wszystkim symbolem Boskości. Koran powiada : *Bóg jest światłem niebios i ziemi...* A Al - Gazali stwierdza : *Bóg jest jedynym światłem, z którego wychodzą wszystkie inne...* To « *Światło ponad światłem* »...

Otóż malarstwo Jana Pamuły stanowi, moim zdaniem, stałe poszukiwanie światła w jego aspekcie mistycznym. O ile w pierwszym okresie było to światło monochromatyczne, w drugim, za pośrednictwem magii cyfrowej, artysta rozwija całą feerię kolorów w nieustannym przepływie i falowaniu, migotliwej metamorfozie... Mieszkałem przez dwa lata na Filipinach, gdzie mogłem podziwiać co wieczór cudowny spektakl, za każdym razem nowy, zapierający dech w piersiach, zachodu słońca... Było to Światło boskie w swojej wieczystej ewolucji... Czyż nie jest to obraz Boga ? Pięć wieków przed Chrystusem pisał Anaksagoras : *Wszystko, co widzialne jest wizją niewidzialnego...* A Victor Hugo stwierdzał : *Bóg objawia się w tym, co go kryje... Niewidzialny, ale objawiający się poprzez życie, nieustanny, nieskończony ruch i przepływ światła...* Wielki astrofizyk wietnamski Trinh Xuan Thuan jest bliski tego, kiedy mówi w swej książce *Mélorie secrète* (Melodia tajemna) : Jest rzeczą jasną, że zamykanie się w świetle widzialnym dałoby nam nader niepełną i ubogą wizję wszechświata... Trzeba tu jednak zaznaczyć, że istnieją dwa rodzaje sztuki abstrakcyjnej : pierwszy « zimny » i « pusty » jak garść suchych liści jakby ciśniętych przez wiatr na płótno (co może mieć zresztą efekt bardzo poetycki) i drugi, który stara się odcyfrować kod tajemny, wewnętrzne prawa, racjonalność Światła... Sztuka Jana Pamuły należy do tego ostatniego.

To najwyższy stopień malarstwa... Albowiem *Logos* jest matematykiem, organizatorem *chaosu*... Co jest dowodem istnienia Stwórcy ? « Matematyczność » wszechświata. Nieprzypadkowo właśnie matematyka pozwala ludziom przenikać jego sekrety. Wszystko jest w nim wyliczone do najmniejszego ułamka. A także « muzyczność » świata.

Pitagorejczycy pojmowali muzykę jako harmonię liczb i kosmosu, który z kolei był sprowadzalny do liczb dźwiękowych. Słynna « muzyka sfer »... Beocjusz, w piątym wieku naszej ery, pisał, że cały kosmos to wspaniały koncert. W 1901 roku, Maurice Ravel, z pewnością najbardziej « świetlisty » kompozytor od czasów Mozarta, skomponował dzieło pod znanym tytułem *Tout est lumière* (Wszystko jest światłem). Bowiemy muzyka jest bliską krewną matematyki... Widać to dobrze na obrazach Jana Pamuły, które, rzecz by można, stanowią jakby prawdziwe kompozycje muzyczne znuansami harmonii, pulsacją, zmianami rytmu, nieustannym kontrapunktem... Czy Walter Pater nie miał racji, kiedy powiedział w 1887 roku, że « *cała sztuka dąży do stanu muzyki* » ? I w końcu « malarskość » świata. Olśniewające piękno krajobrazów Ziemi... I piękno istot żywych... Albowiem Bóg jest największym matematykiem, największym muzykiem i największym artystą... Dlatego światło mistyczne zalewało malarstwo włoskie (Fra Angelico, Rafael), by powrócić u Turnera, Van Gogha, impresjonistów, Bonnardów...

Światło, światło wszędzie i we wszystkim... Niewysłowione piękno aury ludzkiej, zwłaszcza u dzieci, blask aury drzew i roślin, a nawet kamieni, olśniewające światło, które jawi się tym, którym dane było przekroczyć Próg i powrócić w ciało... Muzyka i malarstwo są niekiedy językiem tego światła... Wielka jedność świata...

Zacytujmy wreszcie zwierzenie samego malarza : *Obrazy abstrakcyjne odnoszą się do wielu rzeczywistości : do rzeczywistości człowieka, natury, Boga. Bóg może być obecny w każdej z rzeczywistości, jednakże obraz może być rozmową z Bogiem bez pośrednictwa innej rzeczywistości, może być modlitwą...* W malarstwie współczesnym, Jan Pamuła jest jednym z tych rzadkich artystów, którego obrazy stanowią modlitwę... Ikony XXI wieku... Czyż wielki Aldous Huxley nie pisał : *Mistycy to kanały, którymi nieco prawdziwej rzeczywistości przenika z wysokości do naszego ludzkiego świata niewiedzy i ułudy. Świat całkowicie pozbawiony mistyków byłby światem zupełnie ślepy i szalony...*

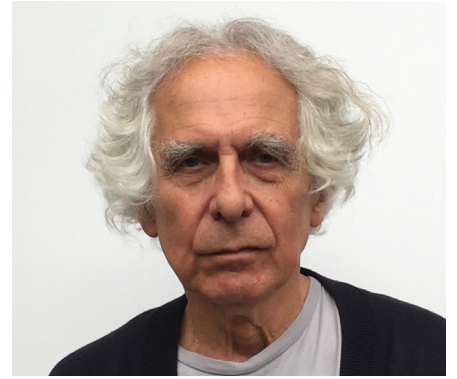
JAN PAMUŁA LAUREATEM GRAND PRIX MIĘDZYNARODOWEGO TRIENNALE GRAFIKI



Jan Pamuła, *Obiekt geometryczny*, akryl = drewno, 195 x 79 x 6,5 cm, 1976/2017



WAS 2020 - 21 Witnesses – Świadcowie – technika mieszana



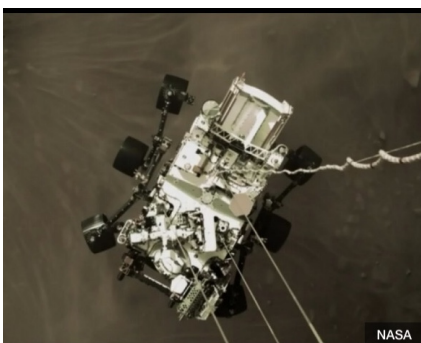
WOJCIECH ANTONI SOBCZYŃSKI

ODBICIE W TAFLI SZYBY OD MARSZA DO ALEKSANDRII Z PRZYSTANKAMI NAD WISŁĄ I TAMIZĄ

18 go lutego, 2021 wchodzi do historii – naszej ziemskiej – choć astronomicznie bardzo względnej.

Po kilku miesiącach lotu, kosmiczny pojazd dotarł do Marsa i szczęśliwie wylądował w rejonie o nazwie 'Jezero'. Nie będę powtarzał prasowych komunikatów, które błyskawicznie dotarły do rozległych zakątków naszej planety. Warto jednak wspomnieć z dumą solidarnej ludzkości, że jest to niezaprzeczalnie wielkie osiągnięcie dla nas 'ziemian'.

Wiadomo jest, że zawdzięczamy to osiągnięcie amerykańskiej agencji NASA, ale pozwolę sobie zająć nieziemskie stanowisko, niczym pasażer kosmicznej stacji badawczej i odnotować w domniemanym dzienniczku nawigacyjnym, że cywilizacja zamieszkująca planetę 'Ziemia' po raz kolejny przezwyciężyła grawitacyjną barierę wysyłając nowy pojazd naukowo – badawczy w daleką przestrzeń kosmiczną. Dlaczego tak się stało i jak wykonaliśmy to zadanie może być zagadką dla kosmicznego obserwatora ziemi, budząc słuszne pytanie „Czy ludzkość stoi u progu wyrojenia się w przestrzeń kosmiczną tak jak pszczoły z przeludnionego ula?”



Perseverance podczas lądowania – fot NASA

Misja badawcza na Marsa zaczęła się wiele lat temu. Sam lot trwał wiele miesięcy. Z prędkością meteorytu pojazd wędrował z góry zaplanowaną trasą, wykorzystując po drodze energię przyciągania innych ciał niebieskich, przyspieszając pojazd i wypuszczając go jak z niewidzialnej wyrzutni w dalszą przestrzeń. Automatyczne sterowanie przeszło najbardziej krytyczną fazę zbliżając się do celu. Wchodząc w atmosferę otaczającą Marsa z szybkością około 300 metrów na sekundę, ziemski pojazd byłby spalony lub wręcz wyparował. Należało więc wyhamować stopniowo jego lot do bezpiecznej szybkości porównywalnej z lądowaniem przeciętnego helikoptera. Dużo się mówi obecnie o tzw. 'A I' czyli *Artificial* Inteligencji. Nie ma lepszego przykładu 'sztucznej inteligencji' jak właśnie to lądowanie. Automatyczne pomiary każdej fazy lądowania przetwarzane były w tzw. 'realnym czasie', uwzględniając gęstość atmosfery, siły grawitacyjne, ruchy i prądy powietrzne i tak dalej, podejmując decyzje gwarantujące sukces misji. Myślę o tym wydarzeniu nie tylko dlatego, że jest



Aleksander Macedoński. Fragment rzymskiej mozaiki



Jan Matejko, *Mikołaj Kopernik*, olej na płótnie

imponujące w sensie technologicznym lecz przypuszczam, że w niedalekiej przyszłości zdamy sobie sprawę z powagi tej daty – 3 dekada XXI wieku naszej ery. To teraz, ludzkość, a szerzej mówiąc, wiodący gatunek ewolucji życia planety Ziemi, osiągnął kolejny przełomowy etap. Stało się to możliwe dzięki rewolucji matematycznej i rozwojowi maszyn obliczeniowych, zdolnych nie tylko do poprawnych odpowiedzi, lecz nawet przewidujących alternatywne strategie.

Jaka szkoda, że nie możemy zrobić wywiadu z Mikołajem Kopernikiem, który z pewnością podziwiałby nasze obecne umiejętności. Może nawet jak wielu ziemian zadałby pytanie jako naukowiec – dlaczego na Marsa? Powiedziałyby pewnie nam jak trudne były jego obliczenia i konstrukcja słynnego modelu orbit ciał niebieskich. Już wtedy obliczył, że Ziemia wędruje wokół słońca w czasie $365\frac{1}{4}$ dni, kręcąc się równocześnie dookoła własnej osi, przynosząc pozorny poranek przy każdym obrocie. Kopernikowska rewelacja opublikowana dyskretnie blisko 550 lat temu była rewolucją w długiej historii badań i obserwacji otaczającego nas firmamentu, pełnego zagadek i sprzeczności.

Od najwcześniejszych czasów praludzkość patrzyła na niebo i zadawała sobie pytania, snując domysły i robiąc praktyczne obserwacje, których świadectwo znajdujemy zapisane pismem klinowym na glinianych tabliczkach Babilonii i datowanych aż na 2000 lat przed nową erą.

Kodyfikacja ruchu planet i cykliczne rytmy ciał niebieskich

intrygowały antyczne umysły stymulując rozwój matematyki, kosmogonii i filozofii. Przełomowy moment w rozwoju nauki nastąpił w wyniku zderzenia kultur Azji Mniejszej z Hellenistyczną w wyniku podboju imperium Perskiego przez Aleksandra Macedońskiego. Punkt ciężkości nauki przeniósł się z Bagdadu do Aleksandrii, nowej stolicy imperium powstałej u ujścia Nilu. Tam już po śmierci Aleksandra powstała słynna biblioteka zawierająca księgozbiór imperium, świadectwo intelektualnej potęgi antycznego świata. Z tamtego źródła znamy dzisiaj odkrycia Archimedesa, Pitagorasa czy też rozprawy greckich filozofów.

Kilka dni temu, zespół badawczy z londyńskiego University College (UCL) rozwiązał kolejną imponującą zagadkę, sięgającą antycznych badaczy firmamentu. W 1901 roku u wybrzeży Greckiej wyspy Antikythera odkryto wrak statku. Z dna morza wydobyto między innymi intrygujące fragmenty mechanizmu wykonanego w brązie, otoczonego mineralną warstwą cementującą całość w bliżej nieokreślonej bryłę. Luźne fragmenty wyłowione w tym samym miejscu przypominały zegarowe tryby, cylindryczne przedmioty i inne mniejsze części.

Od samego początku zasadnicze pytanie 'co to jest' zaprzęgało uwagę szeregu badaczy. Podejrzewano, że jest to może nieznanym dotąd antyczny instrument nawigacyjny. Próby rekonstrukcji nie przynosiły przekonujących rezultatów. Stosunkowo niedawno, zespół specjalistów z wydziału inżynierii mechanicznej UCL poddał wszystkie fragmenty analizie przy



Instalacja z obserwatorium astronomicznego w Jaipur

użyciu trójwymiarowej radiografii promieniami X (3d X - ray Radiography). Rewelacyjny rezultat, ukazał maszynę, której niebywała inżynieria przeszła wszelkie oczekiwania badaczy.

Obiekt został datowany na 4 wiek pne, czyli wiek Platona, Republiki Ateńskiej i najwyższych osiągnięć w rozwoju greckiej sztuki i kultury.

W oparciu o komputerowe pomiary, inżynierowie z UCL postanowili odtworzyć niekompletne urządzenie w nadziei, że znajdą praktyczną odpowiedź na zagadkę tzw 'najstarszego mechanicznego komputera' na świecie.

Z pomocą przyszły szczegółowe pomiary oraz instrukcje obsługi w języku starogreckim doskonale widoczne na elektronicznych skanach. Kluczową rolę odegrały dwie cyfry dotyczące znanych w historii dat na pozycję Venus w 4 – tym stuleciu dawnej ery. Inżynierowie UCL znaleźli więc odpowiedź – mechanizm zwany Antikythera jest instrumentem do przewidywania relatywnych pozycji pięciu wówczas znanych planet, kiedy będą ich zaćmienia, oraz 'ruch' słońca.

Niebywała starożytna inżynieria działała imponująco ale miała jeden podstawowy problem, z którym starożytny konstruktor i matematyk nie mógł sobie poradzić. Wbrew pozorom Ziemia nie jest centralnym punktem świata. Na rozwiązanie ludzkość musiała poczekać w przybliżeniu kolejne 1500 lat, kiedy toruński astronom Mikołaj Kopernik 'wstrzymał słońce i ruszył ziemię'.

Ludzie przywykli mówić – najważniejszy jest grunt pod nogami. Kiedyś to powiedzenie dotyczyło ziemi, gwarantującej nasze podstawowe potrzeby. Współczesny człowiek/podróżnik dobija do celu wielkim odrzutowcem i oddycha z ulgą kiedy maszyna dotyka przysłowiowy grunt.

Czy chcemy czy nie nasz 'grunt' wędruje w przestrzeni z szybkością 67000km/godz. Wraz z naszą planetą jesteśmy kosmicznym pojazdem wirującym w przestrzeni z szybkością 465,1 km/sekundę (pomiar na równiku), a twardy grunt pod naszymi stopami jest tak względny jak tratwa na oceanie.

Jutro, 23 marca, 2021 mija rok od czasu kiedy Brytyjskie władze zamknęły działalność Londynu w związku z pandemią. Od roku patrzę przez okno na wysoki budynek pobliskiego hotelu, który jest pusty. Widok przywodzi na myśl surrealistyczne obrazy De Chirico lub Rene Magritta. Ogromne tafle szkła odbijają dalekie refleksje miasta. Znam ten widok o każdej porze dnia i nocy. Szczególnie o świcie przechodzą one przez kompletną transformację z czarnych i pustych oczodołów zmieniają się w coraz to jaśniejsze barwy porannej zorzy. Zjawisko inspirujące tak samo dzisiaj jak i za najdawniejszych czasów. Od dawna aż do dzisiaj patrzę na ten widok pielgrzymi wędrujący śladami Mojżesza wspinający się na górę Synaju w najkrótszą noc roku jak i astronauta międzynarodowej stacji kosmicznej widząc, wschody i zachody po kilkanaście razy na dobę. Tutaj, w odbiciu hotelowych szyb wędrujące chmury zmieniają swoje barwy jak stroje na pokazie mody. Momentami ubrane są w złoto porannych promieni słońca.

Czuję jak lecę wraz z ziemią w tamtą stronę, na tak zwany wschód. Czuję wtedy, że nie ma różnicy pomiędzy nami tutaj a stacją kosmiczną w naszej przestrzeni czy na Marsie. Jest tylko względność parametrów i punktów odniesienia.

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL NEXTUS W CZASACH PANDEMII



Izabela Jutrzenka - Trzebiatowska



Danae Eleni



Christian Huppert

Dziewięciosobowy zespół muzyków – absolwentów Be Your Own Manager Academy z siedzibą w Wiedniu – podjął się w dobie pandemii zorganizowania i poprowadzenia *online* Międzynarodowego Festiwalu "nexTUS", jeden z największych do tej pory tego typu festiwali na świecie. Wydawało się to zupełnie niemożliwe, bowiem dziewięć osób, wchodzących w skład zespołu nigdy nie spotkało się osobiście, wszystkie natomiast uległy magii słów i perswazji Bernharda Kerresa, głoszącego, że każdy może zostać swoim własnym menagerem. Misją założonej przez niego uczelni jest przekazywanie profesjonalnym muzykom narzędzi pozwalających na skuteczne planowanie i zarządzanie swoją własną karierą.

Idea zorganizowania Międzynarodowego Festiwalu Muzycznego „nexTus” pojawiła się w styczniu tego roku, a wydarzenia festiwalowe odbyły się w dniach 17 kwietnia – 9 maja. Tym samym organizacja całego przedsięwzięcia zajęła nieco ponad trzy miesiące. A było to nie lada wyzwanie, gdyż festiwal obejmował 34 koncerty zrealizowane przez 60 artystów z 29 krajów na całym świecie i prezentowane były w najwyższej jakości *audio-video*. Festiwal obok koncertów *live-stream* zaprezentował nowy format wideo muzycznego. Artyści na zamówienie Festiwalu stworzyli unikatowe produkcje łączące muzykę, sztuki wizualne (m.in. malarstwo) i *performance*. W założeniu krótkie koncerty (trwające około pół godziny) miały tworzyć swoistego rodzaju opowieść, pozwalającą słuchaczowi pomimo fizycznego dystansu poczuć bliskość artysty i muzyki.

"NexTus" festiwal jest niezwykle przykładowym odnajdywaniem porozumienia ponad podziałami, bowiem nie tylko sami artyści reprezentowali wiele kultur, ale również Komitet Artystyczny Festiwalu składał się z osób różnej narodowości: W jego skład wchodziła grecka sopranistka liryczna Danae Eleni, mołdawski akordeonista Ghenadie Rotari, polska pianistka Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska, wiedeńska pianistka Johanna Kam, bułgarsko-węgierska mezzosopranistka Monika Kertesz, ukraińska wiolinistka Myroslava Khomik, rosyjska sopranistka Sofia Livotov, austriacka wiolinistka Susanne Hehenberger i nie będący muzykiem Christian Huppert, jako jedyny wykonujący zawód programisty. Festiwal pod każdym względem był innowacyjny. Komitet Artystyczny funkcjonował niczym doskonały zespół kameralny, gdzie każdy mógł zaprezentować swoje umiejętności i możliwości organizacyjne, a co istotne funkcjonowanie zespołu o niehierarchicznej strukturze pozwalało na otwartą wymianę poglądów i idei, wspieranie nowych pomysłów i wzmacnianie kompetencji przywódczych wszystkich jego członków. A co najważniejsze dla muzyków, którzy nie tylko zaangażowali się w stworzenie tego niezwykle wydarzenia, ale również sami zaprezentowali w nim jako wykonawcy muzyki.

Niezwykle atrakcyjnym elementem festiwalu były wykłady gościnne, takie jak *Making Change Happen* na temat zmian jakie przyniósł rok pandemii w przemyśle



Susanne Hehenberger



Sofia Livotov



Ghenadie Rotari

muzycznym, poprowadzony wspólnie przez Vylę Lejeune Rollins, dyrektor London Business School Leadership Institute oraz Krishnę Thiagarajana, dyrektora Seattle Symphony Orchestra. Szczególnie zapadł mi w pamięć wykład *Making your mark: how to stand out from the crowd* Sary Wedl-Wilson, pełniącej funkcję rektora Hochschule für Musik Hanns Eisler Berlin, która poszukiwała odpowiedzi na pytanie, czym jest indywidualność w sztuce oraz jak wspierać młodych muzyków w odnalezieniu własnej ścieżki artystycznej. Z kolei Alex Osterwalder, przedsiębiorca i autor bestsellerowych książek z dziedziny zarządzania (m.in. *Business Model Generation*, *Testing Business Ideas*, *The Invincible Company*) zadał trudne pytania o jakości muzyki i wydarzeń muzycznych w kontekście kreowania wartości jakie ona przedstawia dla słuchacza w czasie wydarzeń artystycznych. Oczywiście nie zabrakło dyrektora BYOM Academy Bernharda Kerresa w wykładzie *Leading into the Future*. Poruszył on problem opozycji społeczeństwa technokratycznego i humanistycznego, a także roli muzyki w budowaniu społeczeństwa opartego na wartościach humanistycznych.

Kontrapunktem dla każdego z wykładów były dyskusje okrągłego stołu. Okazję do interakcji i ciekawych rozmów na temat muzyki i nie tylko, stanowiła otwarta „kawiarnia” festiwalowa i spotkania z artystami. Pozwoliło to na wymianę przemyśleń i na poznanie osobistych poglądów, a także motywacji muzyków, m.in. w doborze programu koncertów. Co ciekawe to nie organizatorzy, a sami muzycy decydowali o wykonywanym programie. Dzięki pozostawieniu wolności w doborze repertuaru podczas kolejnych odsłon Festiwalu można było usłyszeć zarówno muzykę największych kompozytorów – od Bacha, przez twórczość klasyków wiedeńskich po Chopina i twórców XX wieku, ale też muzykę zupełnie nieznaną i dotąd niewykonywaną.

Austriacki gambista Christoph Urbanetz zaprezentował muzykę baroku w programie *Baroque on the Rocks* wykonanym w niezwykle pięknej górskiej scenerii. Tajwańska pianistka Jui-Lan Huang w koncercie *Dive into infinity* połączyła muzykę Beethovena i Boulanger z własnymi obrazami.

Wśród koncertów *live-stream* szczególną uwagę zwróciły dwa recitale fortepianowe; austriacka pianistka Adriana Paler brawurowo wykonała *Obrazki z wystawy* Modesta Musorgskiego; a polska pianistka Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska zaprezentowała program *Let the Waltz Begin!* z wyborem najpiękniejszych walców XIX wieku. "Urzekła publiczność nie tylko pięknym dźwiękiem i subtelnym frazowaniem, ale również wciągnęła w opowieść na temat osobistych relacji pomiędzy mistrzami klawiatury doby romantyzmu" – pisze w recenzji Fran Wilson.

Niezwykłym przeżyciem było wykonanie *Wilhelm. The silent opera* Petera WesenAuera



Myroslava Khomik



Johanna Kam



Monika Kertesz

w składzie: Peter WesenAuer – kompozytor i pianista, Susanne Hehenberger – skrzypce, Christian Sattlecker – gra aktorska. Ta kombinacja muzyki i pantomimy powstała w oparciu o opowiadanie Arthura Schnitzlera *Das Spiel im Morgengrauen*. W podobnym duchu powstała prezentowana tydzień później *Opera Triptychon: A quarantine story*. Ten multimedialny *performance* na sopran i animację wykorzystał arie operowe do przedstawienia życia kobiety w kwarantannie – jej związków, ale też przemocy kierowanej w stosunku do kobiet. Natalia Hurst zachwyciła głębią interpretacji.

Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że z inicjatywy organizatorów włączono do programu festiwalowego twórczość aż 29 kompozytorek, obok tak znanych, jak Sofia Gubajdulina i Kajia Saariaho również twórczość absolwentek BYOM Academy – Antoniji Pacek, Masy Babic i Kamilli Arku. W tym nurcie festiwalowym zaprezentował wyjątkowo interesujący program akordeonista Ghenadie Rotari, na który złożyły się utwory trzech współczesnych kompozytorek reprezentujących trzy odrębne światy dźwiękowe. R. Saunders – *Flesh* (2018), N. Prokopenko – *Flash - Forward* (2021), D. Rotaru – *Some reeds and the air moving them* (2019).

Artystką, którą stawiasz sobie za cel promowanie twórczości kompozytorek jest gitarzystka Heike Matthiesen. Poprowadziła ona publiczność od muzyki salonowej Madame Sidney Pratten (1821 - 1895), nauczycielki córek królowej Wiktorii – Louise i Beatrice – do współczesności. W *Serenade* Sofiji Gubaiduliny (1931*) pozwoliła zatopić się słuchaczowi w grze dźwięku i ciszy, równie uprawnionych i współdziałających w tym utworze. Niespodzianką była światowa premiera utworu *Au Souffle du temps* Lilith Guegamian, kompozytorki ormiańskiego pochodzenia, poszukującej inspiracji w muzyce tradycyjnej Armenii i Indii. Mówiąc o muzyce nowej, nie można pominąć sopranistki Danae Eleni, która wykreowała niezwykle intymną atmosferę w koncercie *You are not alone*. Szczególną rolę odegrała w nim poezja Emily Dickinson – i dwa utwory mające swoją światową premierę podczas tego koncertu, a mianowicie R. Keeley – *Three poems of Emily Dickinson* (2018/2019) oraz L. Bamon – *The life that tied too tight escapes* (2015). Narracja tego koncertu prowadziła od ciemności do światła, od samotności do poczucia włączenia we wspólnotę, poczucia bycia częścią nie tylko społeczności, ale i całego wszechświata. Takie przesłanie niosła wzruszająca w swojej prostocie pieśń Nadine Benjamin *Bright Star* (2020) zamykająca koncert. I w tym trudnym, zwłaszcza dla artystów, czasie pandemii takie było przesłanie całego "nexTus" festival – pomimo dzielącej nas odległości, mogliśmy przeżywać muzykę wspólnie, dyskutować na jej temat i razem zastanawiać się nad nadchodzącymi zmianami i nad przyszłością muzyki klasycznej w ogóle.

"NexTus" Festiwal postanowił pozostawić po sobie (nie tylko muzyczny) ślad. Zdaniem artystów „dbałość o dobro naszej planety nadaje życiu sens”. Dlatego w tym roku wraz z organizacją Harmonic Progression dzięki wsparciu festiwalowej publiczności muzycy zasadzili dwieście drzew.

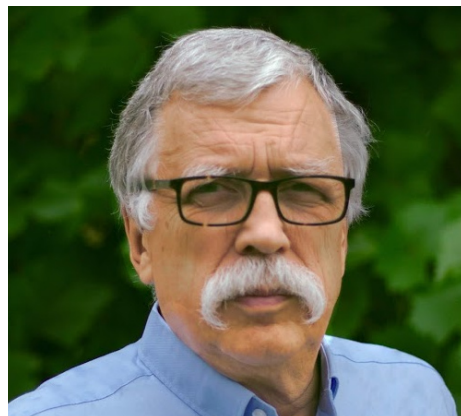
Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska
Joanna Krupińska-Trzebiatowska



Od lewej: Władysław Hasior,
Prof. Aleksander Krawczuk, Rafał Skapski

RAFAŁ SKĄPSKI

SPOTKANIA Z ALEKSANDREM KRAWCZUKIEM



7 czerwca 2021 roku profesor Aleksander Krawczuk ukończył 99 lat

To pretekst i wspaniała okazja by przypomnieć sobie, a Państwu przedstawić, moje związki z Jubilatem, próbując przy okazji odnotować Jego najważniejsze dokonania.

Minęło prawie 40 lat, a wciąż mam przed oczami dzień, gdy z moim kuzynem Piotrem Kaczanowskim szedłem, zaproszony przez niego na obiad, ulicą Gołębią w kierunku Brackiej, do ulubionej przez Niego restauracyjki Guliwer. Nie ma już wśród żyjących mego kuzyna Piotra, ani wielu innych stałych bywalców, których tam widywałem, na przykład: Andrzeja Wajdy czy Sławomira Mrożka. Po drugiej stronie ulicy Gołębiej w stronę Collegium Maius szedł zamyślony, wręcz pogrążony w myślach mężczyzna. To Aleksander Krawczuk - szepnął Piotr i ukłonił się swemu starszemu koledze z Wydziału. Nie trzeba było niczego dodawać. Aleksander Krawczuk już wtedy był gwiazdą telewizji. Dzięki swojemu znakomitemu programowi popularyzatorskiemu był osobą rozpoznawalną tak jak dziś aktorzy telenowel. Tyle że dawał nam znacznie więcej niż oni. W niezwykle atrakcyjny sposób przekazywał swoją wiedzę, dzielił się swoją pasją, pobudzał wyobraźnię, zachęcał do pogłębiania zainteresowania antykiem.

Po kilku latach, w czerwcu 1986 roku, doszło do naszego drugiego, już nie przelotnego, spotkania. Profesor został powołany w skład Narodowej Rady Kultury drugiej kadencji. W trakcie pierwszego posiedzenia Rady (na Zamku Królewskim w Warszawie) wybrano Go wiceprzewodniczącym, co spowodowało konieczność pozostania w Warszawie jeszcze przez kilka godzin. Zaprowadziłem Profesora do sekretariatu dyrektora Zamku prof. Aleksandra Gieysztorą by mógł zadzwonić i zawiadomić żonę, iż wróci do Krakowa kilka godzin później, niż było to planowane. Przypomnę, nie było wówczas

aparatury komórkowych. Profesor nie pamiętał numeru swego domowego telefonu, ale miał go zanotowany na kartce, której szukał dość długo w kieszeniach i w portfelu. Wtedy przekonałem się co znaczy mieć do siebie dystans, czym jest autoironia i poczucie humoru w jednym. Pokpiwał Krawczuk ze swego roztargnienia tłumacząc, iż tacy są właśnie krakowscy profesorowie, a szczególnie on, który myśląc o swoich ukochanych Grekach i Rzymianach nie zwraca sobie głowy współczesnością.

Kilka tygodni później w wyniku decyzji X Zjazdu PZPR nastąpiły zmiany na partyjnych stanowiskach w pionie kultury. Konsekwencją ich było odwołanie, w końcu września 1986, profesora Kazimierza Żygulskiego z funkcji ministra kultury i sztuki. Dla wielu zaskoczeniem była osoba jego następcy. Uważam, że drogę do ministerialnego gabinetu na Krakowskim Przedmieściu, temu znanemu z telewizji, utalentowanemu i lubianemu popularyzatorowi starożytności, uutorowała ponadto funkcja wiceprzewodniczącego Narodowej Rady Kultury. Urząd ministra Aleksander Krawczuk pełnił w rządach Zbigniewa Messnera i Mieczysława Rakowskiego, aż do września 1989 roku. Na Krakowskim Przedmieściu, w gabinecie ministra, zapanował krakowski styl, niezwykła elegancja i kultura osobista, szacunek i życzliwość dla twórców. Niedawny Jubileusz 99. urodzin był okazją by dawni współpracownicy Aleksandra Krawczuka zamieścili w mediach społecznościowych pełne dobrych wspomnień wyrazy uznania dla dawnego przełożonego oraz serdeczności i dobre życzenia.

Ja także z tamtego okresu zachowałem w pamięci najlepsze wspomnienia z naszych kontaktów i współpracy. Byłem początkowo tylko dyrektorem Biura Narodowej Rady Kultury, dopiero od wiosny 1987 jej sekretarzem, a minister Krawczuk zawsze, niemal natychmiast, znajdował czas i ochotę na



Od lewej: Władysław Hasior, Józef Brożek, Prof. Aleksander Krawczuk, Ada Suchodolska, Rafał Skąpski

spotkanie i rozmowę gdy o to prosiłem. Mimo trzydziestu lat różnicy między nami i swej znacząco wyższej pozycji w administracji rządowej, traktował mnie zawsze jak równego sobie partnera. Miało to także wyraz (po załatwieniu spraw formalnych) w dowcipnym, lekkim prowadzeniu dalszej części rozmowy. Dowodził tym profesor swego poczucia humoru ale i wiary, że partner *vis a vis* jest na podobnym poziomie.

Zgodnie z Fredrowską zasadą „znacie to posłuchajcie”, praktykowaną przez pana Jowialskiego, warto odnotować kilka faktów z życia bohatera tego artykułu. Zaczniemy więc od początku. Dziewięćdziesiąt dziewięć lat temu urodził się On w kamienicy na Rynku Głównym w Krakowie; dziś to siedziba znanej restauracji Wierzynek. Czyż można być bardziej krakowskim? Tak więc od urodzenia krakowianin. Podczas II wojny światowej był żołnierzem Armii Krajowej. W 1949 roku ukończył studia na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego i podjął pracę naukową w Zakładzie Historii Starożytnej, uzyskując w 1985 tytuł profesora. Opublikował liczne, tłumaczone na szereg języków, prace naukowe i książki popularnonaukowe, są wciąż z powodzeniem wznawiane, głównie przez warszawskie wydawnictwa Czytelnik i Iskry. Wciąż kojarzony jest jako znakomity popularyzator historii i filozofii antyku w Telewizji Polskiej (tej z lat 70. i 80.), przybliżający rzymskich i greckich bohaterów, tych rzeczywistych i tych mitycznych, milionom

widzów. Swymi wykładami, będącymi swoistą rozmową ze słuchaczem o historii i kulturze, stworzył niedościgniony wzór, swoistą „szkołę Krawczuka”, do której jakże często tęsknimy dziś próbując z pomocą pilota natrafić na program warty oglądania. Antyczny świat profesora Krawczuka przywoływany bywa obecnie jedynie w Jego wywiadach prasowych. Profesor mówi w nich na przykład o najbliższym Mu - Julianie Apostacie. Wspaniałej, jak twierdzi, postaci w historii Rzymu i jednej z najwspanialszych w dziejach Europy. „Imponuje mi – mówi – nie tylko ze względu na swój stosunek do religii, ale przede wszystkim ze względu na wspaniałe cechy charakteru. Proszę sobie wyobrazić młodego chłopaka, który kocha książki, spokojne życie uniwersyteckie i starą kulturę. Tak jak Krawczuk właśnie. I w pewnym momencie staje on przed zupełnie dla niego niepojętym zadaniem. Musi jechać [Apostata] z Aten do Galii i walczyć z Germanami.” Aleksander Krawczuk w drugiej połowie lat 80. udał się ze swoich Aten do Galii, z Krakowa do Warszawy, by walczyć o kulturę polską.

Trudno przecenić, jak bardzo wiedza i doświadczenie Aleksandra Krawczuka przydały się w pracach Sejmu Rzeczypospolitej; trudno także pominąć Jego obecność w Narodowej Radzie Kultury, ale przede wszystkim wiele światłych decyzji, które podejmował pełniąc funkcję ministra kultury.

Jak lata tego ministrowania zostały zapamiętane? Srogo pomylili się ci, którzy sądzą, że ministrem został „pan od przeszłości”, nie potrafiący zarządzać, podejmować decyzji, słabozorientowany w zawołaniach i stosunkach w tak zwanej „Warszawce”. Wszystko odwrotnie. Był to czas niezwykle stabilnej finansowo sytuacji w kulturze, w instytucjach kultury, ale i wśród twórców – głównie za sprawą Funduszu Rozwoju Kultury, którym historyk starożytności gospodarzył jak światły ekonomista. To był czas, kiedy nie odkładano filmów na półki, nie było zatrzymań w cenzurze, a Aleksander Krawczuk był pierwszym reprezentantem władzy, który ku zdumieniu wielu, publicznie powiedział w Parlamencie, iż jest jedna literatura polska, niezależnie od tego gdzie się ukazuje, w kraju czy za granicą, w oficjalnych wydawnictwach czy w podziemnych. Jedyny istotny wyznacznik – to czy literatura ta jest dobra czy zła. Pamiętam konsternację jaką wywołały te słowa. Następnego dnia byłem, z pretensją, indagowany przez radców kultury z ambasad NRD i Czechosłowacji, pytających, dlaczego zmieniamy zasady polityki kulturalnej nie powiadamiając ich o tym wcześniej, nie konsultując się z nimi. Podobną konsternację wywołała decyzja ministra Krawczuka, o utrzymaniu festiwalu młodzieżowej awangardy w Jarocinie, na pewno przy braku osobistej fascynacji tym rodzajem muzyki.

Rozstanie z wysokim urzędem i powrót do Krakowa nie osłabiło aktywności społecznej profesora Krawczuka. Od 1991 do 1997 roku Aleksander Krawczuk sprawował mandat posła na Sejm I i II kadencji z ramienia Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej (SdRP). Nie kandydował przecież dla zaspokojenia swych ambicji, ani dla innych splendorów. W tamtym czasie, w tamtej atmosferze, podjęcie się reprezentowania lewicowych poglądów, nie mając z lewicą związków formalnych – był i jest bezpartyjny – świadczyło o przywiązaniu do tradycji postępowych nurtów rodem z XIX-wiecznej krakowskiej myśli Edwarda Dembowskiego, czy początków krakowskiego PPS-u, przedwojennego i tuż powojennego. To wywołało u Niego impuls wsparcia lewicy i zamianifestowania tego poprzez sprawowanie mandatu posła.

Kolejne pole działalności Aleksandra Krawczuka to Fundacja Kultury Polskiej. Dzięki decyzjom ministra Krawczuka Fundacja miała podstawy organizacyjne i finansowe dla rozpoczęcia działalności programowej. Ale też dalsza działalność Fundacji i jej znaczący dorobek to zasługa Aleksandra Krawczuka, który jeszcze jako minister został w 1988 roku przewodniczącym Rady krakowskiej Filii Fundacji. Miałem sporo okazji do spotkań i twórczej współpracy z Aleksandrem Krawczukiem, gdyż zasiadałem w zarządzie Fundacji od samego początku, a od 1998 kierowałem jego pracami jako prezes zarządu. W tej nowej

sytuacji stałem się formalnie społecznym przełożonym Profesora. Fundacja działała przez prawie 30 lat, a jej Filia w Krakowie tyle samo! Te 30 lat krakowskiej Filii Fundacji przyczyniło się, poprzez różnorodne formy aktywności, do umocnienia poczucia wartości kulturalnej Krakowa, uświadamiania w tej materii prawd oczywistych, lecz nie zawsze funkcjonujących. dzień. Filia bardzo szybko zajęła znaczące miejsce na mapie instytucji kultury Krakowa. Pozyskano grono sponsorów i darczyńców, podjęto i zrealizowano inicjatywy budujące jej autorytet. Szczególnie cenne były przedsięwzięcia pozwalające na wyróżnianie twórców, promowanie młodych artystów, wspieranie działań artystycznych i ratowanie zabytków na Kresach dawnej Rzeczypospolitej w trudnym okresie transformacji ustrojowej i ekonomicznej. Filia pozyskała środki umożliwiające m.in.: fundowanie stypendiów twórczych, nagród pieniężnych, wspieranie publikacji, współorganizowanie festiwali sztuki, konkursów i seminariów, uczestniczenie w dziele ratowania zabytków polskich we Lwowie i innych miejscowościach na Wschodzie. Podjęto także owocną współpracę z innymi organizacjami, zwłaszcza z Fundacją dla Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz stowarzyszeniami twórczymi. Rada Filii opracowała system Nagród, którymi wyróżniała krakowskich twórców i animatorów kultury. Już w 1990 roku ustanowiono coroczną nagrodę pieniężną wręczaną w dwóch kategoriach. Dla młodego (do 35 lat) twórcy i za całokształt dorobku artystycznego. Na czele Kapituły stanął rektor ASP prof. Jan Szancenbach. Pierwszymi laureatami tej Nagrody (za rok 1991) zostali: wybitny reżyser Krystian Lupa i młody artysta plastyk Andrzej Kapusta. Również w tym samym roku Rada Filii postanowiła ustanowić coroczną Nagrodę Honorową dla szczególnie zasłużonych ludzi kultury Krakowa. Wedle opracowanych zasad honorowane osoby otrzymywały statuetkę, okolicznościowe biograficzne wydawnictwo i dyplom. Pierwszym Laureatem został Ludwik Jerzy Kern, wybitny pisarz, dziennikarz publicysta, autor znacznej ilości znakomitych tekstów, przez wiele lat tworzący dla „Przekroju”. W 1999 roku Rada Filii ustanowiła kolejną Nagrodę - „Złoty Laur za Mistrzostwo w Sztuce”. Jury, któremu przewodniczył pisarz i dziennikarz Zbigniew Świątek, po raz pierwszy przyznało te Nagrody cenionemu dziennikarzowi i biografście Józefowi Dużykowi, krytykowi sztuki Jerzemu Madeyskiemu, artyście rzeźbiarzowi prof. Krzysztofowi Nitschowi, poecie i wybitnemu piosenkarzowi Andrzejowi Sikorowskiemu oraz poecie i znanemu dziennikarzowi Adamowi Ziemińskiemu. Łącznie wszystkie rodzaje nagród, wręczanych zawsze przez Aleksandra Krawczuka, trafiły do ponad 130 osób, a stypendia do 27. Warto Czytelnikom "Hybrydy" przypomnieć, iż w 2002 roku Złoty Laur za Mistrzostwo w Sztukach Plastycznych otrzymał malarz, poeta i animator



Od lewej: Tadeusz Witold Młyńczak, Prof. Bogdan Suchodolski, Prof. Aleksander Krawczuk

kultury Janusz Trzebiatowski. Raz tylko w historii Nagród nie wręczał jej profesor Krawczuk, gdyż to On właśnie odbierał ją w osiemdziesiątą rocznicę swoich urodzin. Powiedział wówczas: „Dziękuję swemu duchowi opiekuńczemu (geniuszowi) za to, że urodziłem się w Krakowie, że musiałem przeprowadzać się tylko raz z Rynku Głównego do Podgórza, a moje łóżko, od 65 lat, nie przemieściło się oraz że trafiłem na Uniwersytet Jagielloński, a potem na tak wspaniałą żonę, bez której nie byłoby tych osiągnięć, o których Państwo dzisiaj wspominali. Wszystko, co dobre wywodzi się ze starożytności, a moim przywódcą duchowym jest Sokrates, który nauczył mnie zawsze trwać przy swoich poglądach i często iść pod prąd”. Bogaty dorobek krakowskiej Filii Fundacji Kultury Polskiej to niewątpliwa zasługa Aleksandra Krawczuka, ale też Jego współpracowników, głównie sekretarza Filii Jana Brońka.

Przez wszystkie lata funkcjonowania Nagrody Fundacji Kultury Polskiej „Złote Berło” (1999-2015) Aleksander Krawczuk był członkiem Jury tej Nagrody. Miał znaczący wpływ na werdykt, nawet gdy nie przyjeżdżał do Warszawy na obrady, zawsze będąc w kontakcie telefonicznym, na bieżąco wymienialiśmy opinie o kandydatach.

Aleksander Krawczuk - dla statystyków przywiązujących wagę do dat i liczb - z metryki tylko jest sędziwym mędrce. Dla znających Go - z ducha jest wciąż Apollinem, najmłodszym, najpiękniejszym bogiem, o niezwykłych walorach umysłu. Apollinem, któremu dedykowano wawrzyn szlachetny. Liczne nagrody i wyróżnienia, w tym Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski nadany i wręczony przez Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, ale też Kowadło - Nagroda Kuźnicy są swoistą, współczesną odmianą owego wawrzynu - wieńca laurowego.

Trzeba więc pamiętać o wieloletniej aktywności Jubilata w krakowskiej Kuźnicy oraz jakże istotnej roli, jaką przez lata pełnił przy słynnym krakowskim, profesorskim stoliku

w kawiarni hotelu „Grand”, nadzwyczaj opiniotwórczym, choć nieformalnym, forum dyskusyjnym. To taka kawiarniana akademia nauk, taka „Kana galicyjska”. Dostałem zaszczytu prawa uczestniczenia w tych spotkaniach. Będąc w Krakowie zawsze starałem się usiąść w tym szacownym gronie by przysłuchać się rozmowom, czasem samemu głos zabrać a gdy przychodziła kelnerka zapłacić także za kawę Profesora. Przyjmował to z uśmiechem podkreślając, że dla krakowskiego centusia takie gesty są miłe... Często po spotkaniu odprowadzałem Aleksandra Krawczuka na Rynek 23 gdzie czekał na Niego dyrektor księgarni Wojciech Koranowicz z nowościami książkowymi i kieliszkiem dobrego koniaku.

Dwukrotnie miałem okazję publicznie zwracać się do Jubilata. Raz z okazji Jego 85. urodzin, obchodzonych uroczystie w gabinecie Prezydenta Krakowa, Jacka Majchrowskiego, ponownie, gdy Kuźnica w 2013 roku przyznała, wieloletniemu jej członkowi, Nagrodę Kowadła. Od wielu lat dzwonię do profesora Krawczuka w okolicy 7 czerwca by złożyć Mu życzenia urodzinowe. Kiedyś, w początkowych latach naszej znajomości, wyraźnie zaznaczył iż dla Niego mniej ważnym jest, że w dniu tym kończy On określony wiek, lecz ważniejsze, iż rozpoczyna następny rok życia. Trzymając się tej istotnej dla Profesora zasady, składał Mu, raz jeszcze, za pośrednictwem Hybrydy życzenia z okazji rozpoczęcia 7 czerwca tego roku setnego roku życia.

Z radością, wzruszeniem i wdzięcznością pochylałem się nad długim i jakże owocnym życiem profesora Krawczuka, składając hołd godny tego życia dokonań, dziękując za wszystko, co uczynił dla nas, dla polskiej nauki i kultury. Jednym słowem, oddając cesarzowi, co cesarskie.

„Nie wiedzieć, co się wydarzyło, zanim się urodziłeś, to zawsze być dzieckiem” - te słowa Cyncerona przychodzą mi na myśl, kiedy wspominam przebogaty twórczy dorobek

Jubilata. Ciekawość i docieklivość badacza, profesorska mądrość i rozwaga, temperament popularyzatora wiedzy i doskonały warsztat wybitnego eseisty sprawiły, że każda z książek Aleksandra Krawczuka była wydarzeniem rynku wydawniczego, wydarzeniem czytelnictwem. Każda potwierdzała, że - „historia jest świadkiem czasów, światłem prawdy, życiem pamięci, nauczycielką życia” (też Ciceron).

W dniu tak ważnym i uroczystym, dziękujemy Jubilatowi za to, że z taką regularnością i w takich ilościach dostarczał nam „najdoskonalszego i najlepszego z lekarstw: wiedzy” (Timaios w dialogu „Kristias”).

W „Dialogach” Platona modli się Sokrates „Panie, przyjacielu nasz, i wy inni, którzy tu mieszkacie, bogowie. Dajcie mi to (...) abym zawsze wierzył, że bogatym jest tylko człowiek mądry”. Dostojny Jubilat jest bez cienia wątpliwości bogaczem w takim rozumieniu bogactwa. Bogaczem wyjątkowym, bo chętnym i potrafiącym dzielić się swoim bogactwem, nie tylko przecież poprzez swoje książki.

Przyjmij, Drogi Aleksandrze, także moje najwyższe uszanowanie i wdzięczność za to wszystko, czego mogłem się od Ciebie nauczyć i czego jeszcze nauczyć się będę starał. Kiedyś poradziłeś mi, mówiąc to z zawadiackim uśmiechem, abym wygłaszając laudację na czyjąkolwiek cześć, lub pisząc o kimś, zawsze mówił i pisał jak najwięcej o... sobie. Bywało, że korzystałem z tej rady, dziś jednak tylko Ty jesteś bohaterem tego tekstu, a Twoje dokonania jego treścią.

W jednym z wywiadów Aleksander Krawczuk przytoczył dysputę Konfucjusza z uczniami. Zapytał ich, czego by pragnęli. Pierwszy chciał zostać ministrem, drugi mistrzem ceremonii, trzeci kapłanem. Tylko jeden milczał. Zapytany przez mistrza odpowiedział: „Ja pragnąłbym późną wiosną, kiedy już zrobi się ciepło, pójść z kolegami nad rzekę, wykapać się i wracać do domu śpiewając”. Konfucjusz

westchnął: „I ja też tego pragnąłbym”. Nasz bohater tak tę przypowieść skomentował: „Nauczmy się doceniać tak ulotne piękno codziennych chwil. W gruncie rzeczy tylko ono się liczy. Reszta to walka o byt, kłopoty, manipulacje polityków, dziennikarzy i historyków.” Niech słowa te będą dla nas wskazaniem otrzymanym od dobrego, mądrego, doświadczonego Przyjaciela. A co my możemy zadedykować Wielkiemu Aleksandrowi? Sięgnąłem po Sokratesa, powiedział on: „bogaty jest tylko człowiek mądry”, jakże pasuje to do Jubilata, a dla nas winno stanowić wyzwanie, by do takiego bogactwa dążyć.

Jestem głęboko przekonany, że długo jeszcze Aleksander Krawczuk będzie cieszył się tym, o co prosił Boga Kochanowski i za co mu dziękował we wzruszającej frasce utrzymanej w formie modlitwy:

*„Ja, Panie, niechaj mieszkam w tym gnieździe ojczystym,
A ty mnie zdrowiem opatrz i sumieniem czystym.
Pożywieniem uczciwym, ludzką życzliwością,
Obyczajmi znośnymi, nieprzykrą starością.”*

Zasłużyłeś na to Dostojny Jubilacie, zasłużyłeś na to w pełni!

Post scriptum

Dwukrotnie rozmawiałem telefonicznie w czerwcu bieżącego roku z Aleksandrem Krawczukiem i Jego Małżonką Panią Barbarą. Zapytałem o zainteresowania i aktualne lektury Jubilata. Bieżące wydarzenia polityczne nie ciekawią Go. Najchętniej sięga po Ody Horacego. Czyta je w oryginale... A może to wskazówka dla mnie, dla nas? Może warto znaleźć w Horacym, a są wspaniałe tłumaczenia, spokojną samotnie, bezpieczną odskocznnię od codziennego zgiełku i popolitości...



Od lewej: Prof. Aleksander Krawczuk wraz z Julianem Kawalcem i Józefem Baranem na Walnym Zgromadzeniu Członków POLART-u w Hotelu Europejskim - maj 2001 (fot. J. Rubiś z arch. Redakcji)

WYSTAWA MALARSTWA REINE FORM JANUSZA TRZEBIATOWSKIEGO W MUSEUM IM SCHAFFSTALL W NIEMCZECH



"Bogata kolorystyka, dzikie kształty i powracające motywy: artysta Janusz Trzebiatowski tworzy wiele różnych prac w kilku cyklach. Prace polskiego artysty Janusza Trzebiatowskiego można oglądać w wielu ważnych muzeach na całym świecie: Londyn, Sankt Petersburg, Szanghaj, Paryż: A teraz także w Muzeum im Schafstall w Neuenstadt" – pisze Katharina Müller w Heilbronner Stimme. Umożliwił to zbieg okoliczności, relacjonuje na łamach gazety dyrektor muzeum Hubert Sawatzki, który spotkał córkę artysty, Izabelę Jutrzenka-Trzebiatowską w 2018 r. w Paryżu, gdzie oboje odbierali Medale Societe

Academie Art Sciences Lettres. On złoty, a ona srebrny. Sprawy przybrały swój dalszy obrót, po koncercie polskiej pianistki w Muzeum im Schafstall w Neuenstadt am Kocher, gdzie Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska wystąpiła najpierw z chopinowskim recitalem solowym, a dwa lata później zagrała wraz z niemieckim kwartetem Andreea Winnena *Koncert fortepianowy C-dur* Franciszka Lessela.

"Sawatzki skomponował wystawę *Reine Form* z ponad dwustu obrazów olejnych i pastelowych krakowskiego artysty, którą można oglądać od 6 czerwca" – pisze dalej Katharina Müller



i dodaje, że pozytywne opinie na temat poprzedniej wystawy *Pop Art* zachęciły Huberta Sawatzkiego do pokazania nowoczesnych obrazów, Janusza Trzebiatowskiego.

Ciekawe, że Janusz Trzebiatowski nie nazywa swoich prac indywidualnie, lecz maluje cyklicznie. Cykl składa się z kilku obrazów, które powstają na przestrzeni wielu lat. Cykl wodny, który można zobaczyć obok innych w muzeum Muzeum im Schafstall, powstał np. między 2005 a 2015 r. Inne cykle to ptaki głowy, pokoje, katedra, woda czy chmury. Obrazy opowiadają historie. Ale można też rozumieć je jako poezję. Są dynamiczne, wyraziste i opowiadają anegdoty poprzez powracające motywy, takie jak gotyckie okna, ptaki czy płomienie. Łatwo zagubić się w zakrzywionych, czasem dzikich, a potem znowu precyzyjnie geometrycznych kształtach. Wyobraźnia nie ma tu granic i kiedy widzisz kształt echa przed ptasim dziobem, masz prawie wrażenie, że słyszysz pieśń. Rzadko jednak można naprawdę wyraźnie zobaczyć, co przedstawia obraz znajdujący się przed tobą. Artysta na to nie pozwala – tłumaczy Bernhard Stumpfhaus : „*Nigdy nie można powiedzieć, że jest to źle lub dobrze*” – cytuje znanego krytyka sztuki Katharina Müller.

Janusz Trzebiatowski ma własne pomysły i maluje świat tak,

jak go widzi, interpretuje Hubert Sawatzki. „Mam wrażenie, że ma w głowie migawkę, którą odtwarza”. Widać to także na aktach, które również są częścią wystawy. Po ich obejrzeniu zwiedzający odkryje kobiece kształty ciała również w wielu innych pracach.

„Jeśli spojrzysz na obrazy , zobaczysz również, że Janusz Trzebiatowski to świetny designer, który ma elegancję ” – mówi Bernhard Stumpfhaus (cyt. za Heilbronner Stimme). Wiele osób z pewnością chciałoby powiesić w swoich domach sporo z tych obrazów. To, że te najwyższej klasy dzieła można zobaczyć w Neuenstadt, jest czymś wyjątkowym, podkreśla Bernhard Stumpfhaus. W ogóle Muzeum im Schafstall jest jedyną instytucją kultury w Niemczech, która w takim zagęszczeniu pokazuje sztukę polską i francuską.

(JKT)

<https://www.stimme.de/heilbronn/nachrichten/region/echte-farbdramen-in-oel-neue-ausstellung-im-museum-im-schafstall-in->

Echte Farbdramen in Öl: Neue Ausstellung im Museum im Schafstall in Neuenstadt - STIMME.de



Redaktor Naczelny:

Joanna Krupińska-Trzebiatowska
e-mail: joanna.kt@poczta.fm
tel. 12 429 70 40



Sekretarz Redakcji:

Barbara Korta-Wyrzycka
e-mail: wyrzycka@pk.edu.pl



Sekretarz Redakcji:

Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska
e-mail: trzebiatowska.izabela@poczta.fm



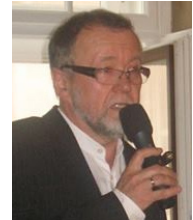
Józef Baran,



Bolesław Faron,



Ignacy S. Fiut,



Wacław Krupiński,

Kolegium Redakcyjne



Irena Kaczmarczyk,



Ferdynand Nawratil,



Tadeusz Skoczek,



Marek Sołtysik

Wydawca:

Janusz Trzebiatowski
Stowarzyszenie Twórcze POLART

Redakcja:

30 -250 Kraków, ul. Gajówka 25
tel. 12 4297040
ISSN 1731 - 9668
ISBN: 83 - 8664855 - 11 - 6

<http://polart - stowarzyszenie.pl/>

Skład i łamanie tekstu:

Joanna Krupińska -Trzebiatowska

Projekt okładki:

Janusz Trzebiatowski
na 2 i 3 reprodukcje plakatów

Korekta:

Barbara Korta-Wyrzycka

Zdjęcia:

Andrzej Makuch
Jerzy Nowakowski
Izabela Jutrzenka -Trzebiatowska
Jan Zych
Dariusz Kołakowski
Benedykt Jeż

Druk:

Bikstudio Krzysztof Marek Szwaczka
Brzeście 30, 28 - 330 Wodzisław

Naukowa Rada Redakcyjna:

dr Edward Chudziński

prof. dr hab. Stefan Dousa

prof. dr hab. Bolesław Faron

prof. dr hab. Ignacy St.Fiut

prof. dr hab. Józef Lipiec

prof. dr hab. Ewa Okoń-Horodyńska

prof. dr hab. Jerzy Nowakowski

prof. dr hab Elżbieta Stefańska-Kłys

prof. dr hab. Zdzisława Tołoczko

prof. dr hab. Andrzej Ziębliński

Numer konta:

Stowarzyszenie Twórcze POLART
30 -250 Kraków, ul. Gajówka 25 A
40 1240 4533 1111 0010 3142 4771



REINE FORM

Janusz Trzebiatowski

Museum im Schafstall in Neuenstadt a. K.
30.5.2021 – 11.7.2021

Sonntags 10.00–17.00 Uhr | Eintritt: € 5,- / ermäßigt € 3,- | www.museum-im-schafstall.de

